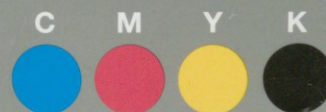


Grey Scale #13



A 1 2 3 4 5 6 M 8 9 10 11 12 13 14 15 B 17 18 19





7

POWSTANIE 1831 R. NA LITWIE

POWSTANIE

1831 ROKU NA LITWIE

WSPOMNIENIA UCZESTNIKÓW

WYDAŁ

HENRYK MOŚCICKI

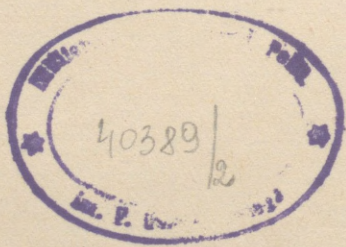


W I L N O

NAKŁADEM I DUKIEM JÓZEFA ZAWADZKIEGO

1 9 3 1

Okładkę rysował
Jerzy Floppen



POWSTANIE LISTOPADOWE NA LITWIE.

*„Jęliśmy się oręża w duchu jedności
z Królestwem Polskim“.*

Uchwała powiatu rosieńskiego,
15 kwietnia 1831 r.

Wiadomość o nocy 29 listopada w Warszawie, przywieziona do Wilna przez uciekającego z Królestwa Nowosilcowa, wstrząsnęła Litwą. Serca ogarnęły „oczekiwania tęskne i radosne“, jak w onym roku „niebieskim oznajmtonym cudem“. Wyteżone ku niebu oczy widziały o północnej godzinie srebrnego na koniu rycerza, który przelatywał z Ostrejbramy na kościół katedralny; wiercono, że to św. Kazimierz, patron Litwy, w znaku Pogoni wzywa do czynu; wiercono, że rozpoczęta walka zakończy się zwycięstwem, a „co Polak zaczął — dokończą Litwini“. W Wilnie każdej prawie nocy znajdowano w różnych miejscach kartki z wezwaniem do naśladowania Warszawy, napisy patryjotyczne i karykatury. Budziły się zaścianki, po dworach na tajemne zjeżdżać poczęto narady, niecierpliwa młodzież wydobywała z ukrycia oręż. „Za powinność poczytując zgodnie z Polską jeden składać naród“, święta Litwa sposobila się do walki. Młodzież wileńska pierwsza dała przykład; na jej czele stanął młody profesor uniwersytetu, głośny później poeta, Wincenty Pol. Przy współudziale kilku studentów utworzył niebawem związek tajny złożony z paruset osób.

Wkrótce powstaje w Wilnie Komitet Główny, który miał kierować całą akcją na Litwie; weszli do niego: marszałek powiatowy wileński Stanisław Szumski, poeta Antoni Gorecki, Ludwik Zambrzycki, Edward Römer, Justyn Hrebnicki, Michał Baliński, Leon Rogalski, profesor uniwersytetu w Wilnie Walerjan Pietkiewicz, później Pol. Zbierano się w mieszkaniu Pietkiewicza, w domu zwanym „Kardynałką“, naprzeciwko kościoła św. Jana, — tam, gdzie przed kilku

laty odbywały się posiedzenia filaretów, a gdzie znowu po kilku latach schodzili się na konspiracyjne zebrania Szymon Konarski z towarzyszącymi. Tu radzono nad planem akcji, tu przybywali wysłańcy z prowincji dla składania sprawozdań i otrzymywania instrukcyj, tu też był skład oręża, nabojów, pieniędzy i mała fabryka broni i amunicji.

Komitet nawiązał stosunki z Warszawą i z całą Litwą. W tym celu każdy powiat miał swego przedstawiciela w Wilnie, który winien był w odpowiedniej chwili powiadomić organizację prowincjonalną o postanowionem przez Komitet Główny rozpoczęciu działań.

Niestety, kraj nie był przygotowany: brakowało broni, pieniędzy, organizacji; nadewszystko zaś nie było człowieka, któryby mógł objąć naczelne dowództwo. Wskazywani przez patriotów na to stanowisko — Józef ks. Giedroyc, były generał napoleoński, i porucznik inżynierów, Józef Chodźko, już w połowie grudnia zostali wywiezieni przez władze rosyjskie z Wilna. Wogóle rząd rosyjski miał się na baczności. Zaskoczony i przerażony wybuchem powstania w Warszawie, świadomy jednak łączności duchowej Litwy z Królestwem, wydał niezwłocznie szereg zarządzeń, mających na celu przerwanie wszelkich stosunków z obu prowincjami. Wszyscy przybywający z Królestwa, bez różnicy stanu i narodowości, poddawani byli surowym badaniom przez władze wojskowe, obostrzono rewizje celne, ustanowiono ostry nadzór nad wszystkimi osobami podejrzanymi o „buntownicze“ zamiary; wszędzie po miastach i wsiach konfiskowano broń, nawet myśliwską, wreszcie wywieziono w głąb Rosji szereg wybitnych obywateli; oprócz więc wspomnianych wyżej Giedroycia i Chodźki, zesłano: Michała Römera, b. marszałka gub. wil. i b. prezydenta m. Wilna w r. 1812, ojca Edwarda, członka Komitetu powstańczego; Józefa Billewicza, b. marszałka pow. rosieńskiego, Ignacego Zawiszę, b. marszałka pow. kowieńskiego, Karola Ferdynanda Wagnera, aptekarza i b. prezydenta Kolegium Ewangelickiego w Wilnie, Puciłowskiego, adwokata wil., Kaliksta Daniłowicza, marszałka pow. telszewskiego. Wywiezionym oświadczone, że rząd rosyjski „wcale ich nie podejrzewa, a zastosowuje

ten środek jedynie w celu oddalenia od nich nieprzyjemnych skutków współczesnej sytuacji, które zwłaszcza dla nich mogą być szkodliwe“.

Władze wileńskie przerażone były wielką manifestacją nad brzegiem Niemna po stronie polskiej, gdzie wśród licznego tłumu wywieszono chorągwie narodowe i wznoszono okrzyki: „Niech żyje wolność, niech żyje Ojczyzna!“ Przestraszeniem również napawały alarmujące pisma feldmarszałka Dybicza, który donosił, że według otrzymanych przezeń wiadomości z Królestwa 10 grudnia szykuje się na Litwie powszechne powstanie. Spodziewając się ruchawki wśród młodzieży akademickiej, rozciągnięto nad nią baczny nadzór. Ster opieki policyjnej ujął Nowosilcow. „Zażądał naprzód od gubernatora wojennego, aby przysłał na szpiegów kilku oficerów, młodych, przezornych, rodem z prowincyj zabranych i mówiących po polsku, ale doświadczonej dla cara wierności, a od policmajstra raportu względem ludzi cywilnych, mających stosunki z akademikami. Oprócz tego miała policja rozkaz śledzenia młodzieży różnego stanu, a szczególnie akademików i aresztowania ich za najmniejszym podejrzeniem“. Profesorom uniwersytetu polecił Nowosilcow dokonać rewizyj w mieszkaniach studentów i sam w towarzystwie rektora Pelikana, oraz kasjera uniwersyteckiego, Rodziewiczza, obchodził ze strażą wojskową główne ulice miasta. W brudnej tej robocie policyjnej brali udział członkowie instytucji naukowej; przytem „szczególną odznaczeni się gorliwością“: prof. Znosko i prof. Aleksander Woelck, a nawet siedemdziesięcioletni starzec, b. rektor, Szymon Małewski nie uchylił się od spełnienia rozkazu senatora. Aresztowania wśród akademików odbywały się ustawicznie. Jednego z podejrzanych o należenie do spisku, późniejszego znakomitego pisarza, Józefa Ignacego Kraśzewskiego, skazano na zesłanie „w sołdaty“ do armji kaukaskiej i tylko dzięki protekcji nowego generał-gubernatora, ks. Dołhorukiego, zatrzymano go w szpitalu, gdzie doczekał się amnestji.

Najpotworniejszym wszakże czynem Nowosilcowa, godnym poprzednich jego znęcań się nad młodzieżą fila-

recką, było sprowokowanie spisku wśród młodzieży wileńskiej przy pomocy chorążego staroingermanlandzkiego pułku, Jana Kudrewicza. Nicpoń i hulaka dał się Kudrewicz wciągnąć obietnicą znacznych zysków do działań prowokatorskich i spowodował uwięzienie kilkunastu nieopatrnych młodzieńców. Gdy niecna robota Kudrewicza została ujawniona i on sam, jako rzekomy buntownik, stanął przed sądem wojennym, Nowosilcow wyparł się wszelkiego w tej akcji udziału. Dnia 27 marca st. st. 1831 r. rozstrzelano Kudrewicza i wskazanych przez niego uczestników mniemanego buntu: podoficera pułku biełozierskiego, Przewłockiego, dymisjonowanego porucznika wojsk polskich, Baczyńskiego, pisarza magistratu, Sorokiewicza; destynatora w uniwersyteckim gabinecie fizycznym, Finka, księdza Wojtkiewicza i kilku innych.

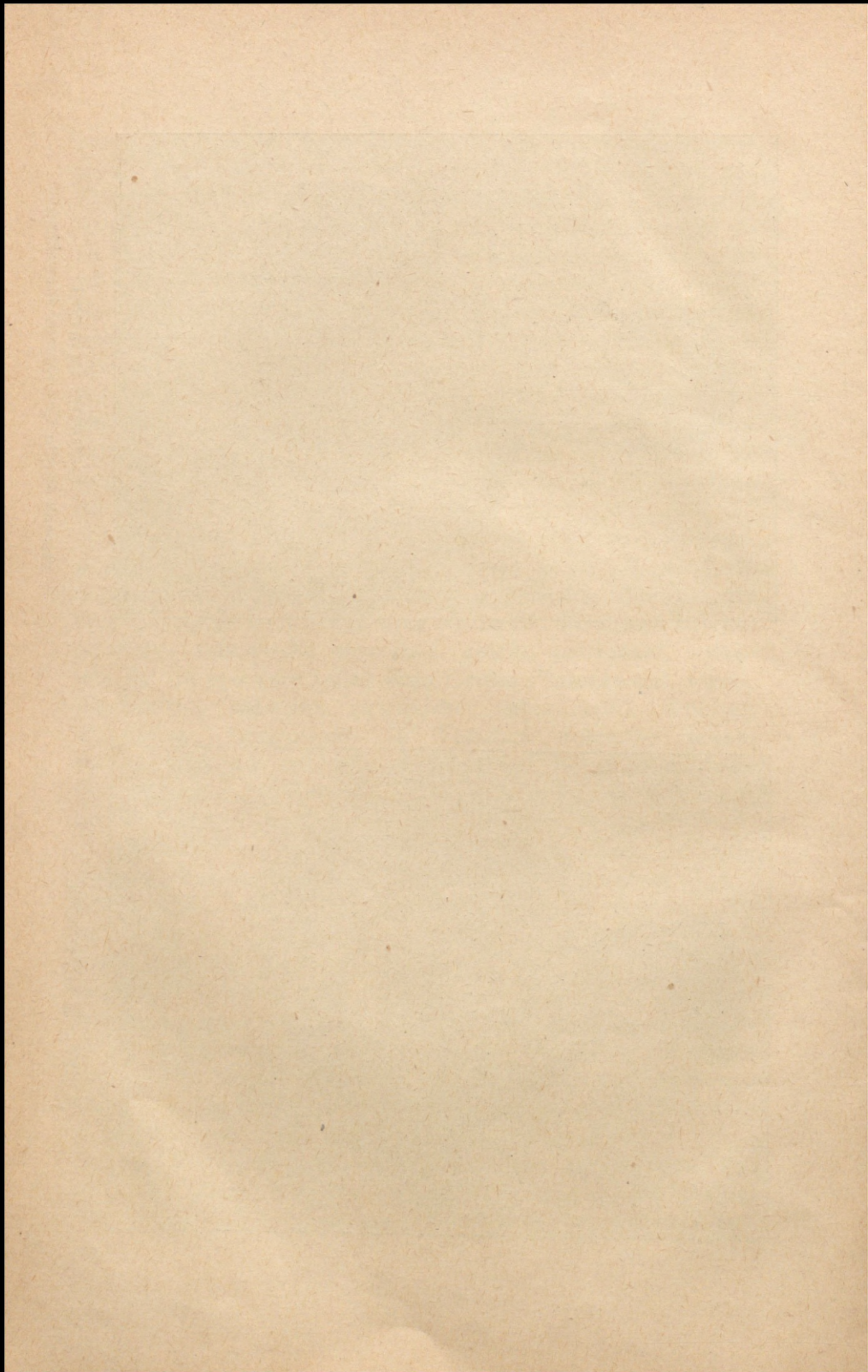
Surowe zarządzenia uniemożliwiały rozpoczęcie akcji. A tymczasem, pisze Pol: „od korpusów gwardji rosyjskiej aż do azjatyckich hord Kozaków, Czerkiesów, Baszkirów, waliła się codziennie czerń groźna, ponura i milcząca przez ulice Wilna, podobna raczej do kry idącej na rzece, niż do żywej rzeki narodu... Przez Wilno ku Niemnowi i Wiśle ciągnęła ta czerń — i straszne przygotowania do wielkiej politycznej zbrodni przerażały wszystkich. Całemi dniami ciągnęły pułki przez ulicę Grodzką (Zamkową) ku Ostrejbramie. Całemi nocami jęczały bruki Wilna pod parkami artylerji i kiesonami z amunicją, a przechód wojska tamował ruch miasta, dowóz żywności i paliwa, bo nikt nie poważył się traktami jechać, któremi szło wojsko, zalewające gościńce. Każdy dom bez wyjątku, całe Wilno, było jedną wielką koszarą“.

Komiteta w oczekiwaniu rozkazów od Rządu Narodowego z Warszawy usiłował tymczasem nawiązywać stosunki ze wszystkimi powiatami Litwy. Wysyłano emisariuszów do Grodna, na kontrakty mińskie, w Witebszczyznę. Czynili przygotowania: w powiecie szawelskim — Franciszek Szemioth; w rosieńskim — Juljusz Grużewski, Dobrosław Kalinowski, Ezechjel, Ignacy i Zenon Staniewicz; w upickim — Kazimierz Truskowski; w oszmiańskim — Porfiry Ważyński. „Wszystko więc, — pisze współczesny

pamiętnikarz — oczekując dalszych wypadków i wiosny, sposobilo się w domowych ustroniach, a gorliwsi obywatela częstokroć z niebezpieczeństwem własnem starali się utrzymywać związek między różnemi stronami kraju i upowszechniać dobrego ducha“.

Z Warszawy tymczasem żadnego nie podawano hasła, spodziewane nie nadchodziły wojska. Jest doprawdy jakiś niezwykły tragizm w owym wielotygodniowem oczekiwaniu na zew Korony; tragizm tem większy, że wojna 1831 r. w swem głębszem ideowem założeniu była walką nie o konstytucję Królestwa, lecz przedewszystkiem walką o Litwę, o niepodległość całej ojczyzny. Ale tej idei, jako też strategicznej konieczności przeniesienia działań wojennych za Niemen i Bug, nie zdołano w porę nad Wisłą ocenić i zrozumieć. „Pod Warszawą tylko bronić się do czasu i ginąć możemy, nigdy zwyciężać“, — pisał wprawdzie Mochnacki, ale nikt słów jego proroczych nie słuchał. Zawiodł instynkt wodzów, zawiodło niemyślne, zda się, czucie litewskie Czartoryskiego, któremu Litwa ufała przedewszystkiem, a który poza bezpłodną troską o „biednych Litwinów“ nie umiał wznieść się do należytego zrozumienia doniosłości litewskiego terytorjum. Spóźnione w poparciu przez polską armję regularną powstanie litewskie było tylko beznadziejnym odruchem, krwawą demonstracją, zgóry skazaną na niepowodzenie.

Tymczasem napięcie polskości było tam ogromne i to nie tylko wśród szlachty, lecz nawet u włościan, zwłaszcza na Żmudzi, która za kościuszkowską idącą tradycją, pierwsza porwała się do broni. Jeszcze w lutym zaczęła się ruchawka wśród włościan powiatu telszewskiego. Część popisowych tego powiatu, uprzedzając termin poboru rekruta, wyznaczony na 27 marca, chwyciła za oręż pod dowództwem szlachcica Borysewicza i włościanina Giedryma. Ulęgła jednak przeważającym siłom rosyjskim i zmuszona była schronić się do Prus, skąd niebawem wydano zbiegów rządowi rosyjskiemu. Wkrótce potem, 17 marca, na zebraniu w Cytowianach u Przeciszewskiego spiskowcy rosieńscy, na wniosek Dobrosława Kalinowskiego, postanowili 26 marca rozpocząć powstanie. Dnia 25



wstańcze, tworzyły się coraz sprawniej oddziały, w starciach z nieprzyjacielem odnoszono sukcesy.

W kwietniu też podjęto próbę zdobycia Wilna. W tym celu powiaty upicki, wiłkomierski i trocki połączyły swe siły pod dowództwem Karola Załuskiego, naczelnika powstania upickiego i wyruszyły 17 kwietnia na Wilno; innym powiatom polecono bądź otoczyć miasto, bądź też odciągać i zatrzymywać siły nieprzyjacielskie. Niestety, wyprawa ta skutku nie osiągnęła. Skończyło się na niewielkiej utarczce pod Owsianiszkami (w pobliżu Kowgan), pod naciskiem znacznych sił z Kurlandji powstańcy zmuszeni byli do odwrotu i znów rozpoczęli beznadziejną walkę partyzancką. Nie udało się również zdobycie Połangi, dokąd miał nadejść transport broni i amunicji, zakupionej przez Rząd Narodowy w Londynie.

Pomimo jednak tych niepowodzeń i całej słabości wojskowej powstanie litewskie postawiło Rosjan w położeniu niezwykle trudnem. Powstańcy przecięli drogi wiodące z Petersburga do Królestwa, zabierali transporty broni, amunicji i żywności. Mikołaj poważnie obawiał się utraty Wilna, skąd całemi tygodniami nie otrzymywał wiadomości. Co najmniej 30 tysięcy ludzi, idących na Królestwo, Litwa swoim powstaniem unieruchomiła. Dzięki tej sytuacji doszło na terenie Królestwa do równowagi sił materialnych obu stron walczących, która zapewniła armji polskiej w tym czasie poważne widoki zwycięstwa.

Dopiero w końcu kwietnia Rosjanie, otrzymawszy znaczne posiłki, rozpoczęli planową okrutną walkę z partyzantką litewską. Nadszedł ciężki okres dla powstania. W połowie maja prawie wszystkie oddziały powiatowe były rozbite. Zabrakło broni i najkonieczniejszych sprzętów wojennych. Lud, zniechęcony i prześladowany przez wroga, począł gromadnie opuszczać szeregi. Komunikacje z Królestwem ustały prawie zupełnie. Ogołocone ze środków materialnych, moralnie zgnębione, przywalone przeważającą siłą wroga, powstanie litewskie zaszyło się w głuche bory, przycisnęło się po niedostępnych kryjówkach i, nabierając świeżej mocy, czekało pomyślniejszej pory. Wtedy

to w warszawskiej gazecie Seweryn Goszczyński drukował swój „Marsz za Bug!“:

Już tam niejeden z zabużańskich braci
 Uchem przy ziemi każdy tętent ima,
 Tysiąc go razy i schwyta i straci,
 A nas jak niéma, tak niéma!

*

Nareszcie po tylu miesiącach próżnego wyczekiwania Litwa ujrzała upragnione, wytęsknione wojsko polskie. Pierwszy wkroczył na Litwę gen. Dezydery Chłapowski, wyprawiony przez Skrzyneckiego wskutek kilkakrotnych nalegań Rządu Narodowego, na czele niewielkiego, gdyż tylko z 700 ludzi złożonego korpusu. Dn. 29 maja przeszedł Niemen, mając „od każdego właściciela, od każdego chłopa potrzebne i ciągłe wiadomości o nieprzyjacielu“, złączył się wkrótce z oddziałami powstańczymi. Siły jego wzrosły do pięciu tysięcy ludzi. Przerażeni Rosjanie zamierzali już opuścić Wilno. Jednocześnie z drugiej strony dążył również na Litwę gen. Antoni Giełgud. Po bitwie ostrołęckiej jego dywizja, licząca 11.609 ludzi i 26 dział, została odcięta od armji głównej. Nie mając innego dla niej wyjścia, Skrzynecki posłał przez gen. Dembińskiego rozkaz maszerowania na Litwę. Wyruszywszy z Łomży 27 maja i po stoczeniu bitwy pod Rajgrodem, Giełgud stanął w Suwałkach, gdzie 1 czerwca ogłosił odezwę „Do mieszkańców Litwy i Żmudzi“. Wzywał w niej do nieoszczędzania „majątków i życia, aby wrogów naszych nanowo przekonać, iż Ojczyzna, którą tylko tym sposobem wskrzesić i w rządzie pierwszych państw Europy postawić możemy, jest Polakowi droższą nad wszystko. Ufność w Bogu, który prawe nasze usiłowania tak widocznie pomyślnym uwieńcza skutkiem, niech będzie naszą tarczą; jedność, wytrwałość i ziemi polskiej niepodległość — naszym hasłem i zasadą. Tak zadrży przed Orłem i Pogonią najeżdźca...“

Wieść o przybyciu upragnionych wojsk polskich w jednej chwili obiegła całą Litwę. „Przybycie do Litwy oddziału wojska polskiego z gen. Chłapowskim na czele, a niebawem też całej dywizji pod rozkazami gen. Gieł-

guda — pisze Karol Załuski, były wódz naczelny zjednoczonych powstańców litewskich — zrobiło na mnie wrażenie, jakiego na widok słońca żeglarz doznaje po długim walczeniu z falami rozhukanego morza“. A inny powstaniec, Leon Potocki, tak opisuje spotkanie Litwinów z Polakami: „W jednej chwili pomieszały się szeregi; powstańcy, ściągając ułanów z koni, rzucali się w ich objęcia, ściskali się, całowali nawzajem, radosne okrzyki wzbijały się w niebo, łzy rozrzewnienia płynęły — była to nowa unja Litwy z Koroną“.

Pochód Giełguda stał się jednym marszem triumfalnym. Duchowieństwo w szatach pontyfikalnych spotykało wojsko. Ludność płakała z radości, sypała żołnierzom kwiaty po drodze i zaopatrywała gorliwie wszystkie ich potrzeby, chętnie, a w dwójnasób nawet dostarczając wszystkiego, czegokolwiek od niej zażądano. Ziemianie wypręgali swoje cugi, by je oddać do artylerji. Wieśniacy łzami skrapiali polskie pieniądze. Wszyscy ochotnie śpieszyli do szeregów wojskowych. A na odezwę Giełguda jeden z dowódców litewskich odpowiedział:

„Od dziewięciu tygodni, bez broni, bez amunicji walczyliśmy z wrogami naszymi, raz zwycięzcy, drugi raz zwyciężeni i tułacz. Ani nędza, ani śmierć nas nie zastrasza, niewoli tylko i despotyzmu lękamy się... Dzieci, starcy, kobiety w modłach swoich błagają Najwyższego o przybycie twoje, a gdy Polska z Litwą się połączy, cała potęga Rosji nas nie zatrwoży, żadne ofiary, żadne klęski nie zrażą: znoje, tułactwo i śmierć męczeńską zniesiemy i albo razem dobijemy się wolności, albo razem z chlubą umrzemy“.

Tymczasem Giełgud marnował drogi czas na próżne marsze, uczty i festyny, gdy mijała sposobna pora do zajęcia Wilna i Kowna. Chłapowski, młodszy od Giełguda rangą, musiał, acz niechętnie, poddać się pod jego rozkazy. Dopiero 8 czerwca odbył Giełgud w Kiejdanach naradę z Chłapowskim i Dembińskim w sprawie dalszej akcji; postanowiono też podjąć próbę opanowania Wilna, co jednak zostało zwichnięte wskutek karygodnej opieszałości Giełguda. Dn. 10 czerwca Giełgud ustanowił w Żejmach, „Polski Tymczasowy Rząd Centralny w Litwie“, pod prze-

wodnictwem Tadeusza hr. Tyszkiewicza. Rząd ten miał zająć się organizacją cywilną kraju oraz dostarczeniem odpowiednich środków wojennych. Atoli wskutek fatalnego przeważnie doboru ludzi, oraz niesłychanego uporu Giełguda, uważającego siebie za władcę nieograniczonego, Rząd Centralny nie spełnił swych zadań. Podobnie nie doszła do skutku, spóźniona zresztą inicjatywa gen. Szymanowskiego zjednoczenia władz powstańczych na Żmudzi i ustanowienia tam Rządu Centralnego.

Nieudolnie przeprowadzona akcja, mająca na celu zdobycie Wilna, pomimo męstwa żołnierzy i osobistej odwagi Giełguda zakończyła się klęską, stratą przeszło dwóch tysięcy ludzi w zabitych i rannych, wreszcie ogólną demoralizacją wojska. Odtąd korpus Giełguda znajdował się już w ciągłej rejteradzie i tylko nieudolności dowództwa rosyjskiego zawdzięczał swoje ocalenie od zupełnego rozbicia. Jednak Rosjanie wkrótce się opamiętali i niebawem rozpoczęli pościg za Giełgudem; 28 czerwca zajęli Kowno i Janów, nazajutrz zaatakowali Dembińskiego w Wiłkomierzu, 3 lipca wyparli Szymanowskiego z Szawel, 5 t. m. uderzyli na Giełguda pod Płemborgiem i na Dembińskiego pod Poniewieżem. Giełgud, otoczony zewsząd przez nieprzyjaciela, opuścił Rosienie i cofał się dalej w głąb Żmudzi.

Rozprężenie w wojsku doszło do najwyższego stopnia, duch wśród żołnierzy upadł zupełnie, o subordynacji nie było mowy. Przybywających ciągle jeszcze dość licznie rekrutów nie było czasu ani możności umundurować i uzbroić. W takich warunkach odbyła się w Cytowianach, 6 lipca, narada pomiędzy Giełgudem, Chłapowskim, Rohlandem i Szymanowskim. Aby ratować honor wojska i podnieść upadającego ducha postanowiono zdobyć Szawle, dopiero co opuszczone przez Szymanowskiego. Atak niedoświadczony, mimo męstwa żołnierzy zakończył się przegraną. Wojsko cofnęło się w zupełnym nieładzie. Nazajutrz, 9 lipca, odbyła się ostatnia narada wojenna w Kurszanach. Przebieg jej był bardzo burzliwy. Zaczęto od wzajemnych wyrzutów. Gdy jeden z pułkowników próbował zwalić odpowiedzialność za klęskę na

Litwinów, odpowiedział mu Załuski, że „powstańcy litewscy z kosą w ręku dotrwali do końca, który zgotowali dla nich wodzowie wojsk regularnych“. W końcu postanowiono podzielić korpus na trzy oddziały pod dowództwem: Chłapowskiego, Dembińskiego i Rohlanda. Do tego ostatniego miał się przyłączyć Giełgud. Każdemu z oddziałów wytknięto inny kierunek marszu, aby zmylić wroga.

W rezultacie jeden tylko Dembiński, przedzierając się wśród tysiąca niebezpieczeństw i staczając pomyślne potyczki, zdołał po przebyciu 120 mil powrócić do Królestwa. Ale powrót jego do Warszawy był dowodem, że wszystko kończy się na Litwie, że siły rosyjskie, tam zgromadzone, wejdą niebawem do Królestwa i przechylą ostatecznie szalę zwycięstwa na stronę nieprzyjaciela.

Oddziały Chłapowskiego i Rohlanda z Giełgudem udały się w kierunku granicy pruskiej i naciskane przez Rosjan, doszczętnie wyczerpane i zdemoralizowane, przeszły do Prus: Chłapowski pod Gudawą (Schlaugsten) w dniu 13 lipca, Rohland pod Deguciami w d. 15 lipca. Tragiczny strzał zakończył kampanję litewską — pod wpływem zrozumiałego rozgoryczenia, jakie opanowało żołnierzy na widok wodzów, składających broń w ręce Prusaków, oficer siódmego pułku piechoty, Kazimierz Skuński, wystrzałem z pistoletu zabił Giełguda w chwili przekraczania granicy.

„Taki był smutny koniec tych dwóch ekspedycji, które mogłyby przynieść znaczne rezultaty — pisze gen. Prądzyński. Katastrofa ich, spowodowana brakiem karności w wojsku i nieudolnością wodzów, była niezawodną zapowiedzią katastrofy warszawskiej“.

Partyzanci, widząc bezcelowość dalszej walki, rozchodzili się do domów, przedzierali się do Królestwa lub emigrowali do Prus. Jednakże jeszcze od czasu do czasu powstawały po lasach drobne oddziały i usiłowały wznowić rozpaczliwą walkę. Ale ścigani, musieli iść w rozsypkę, schwytanych zaś bezlitośnie karano. „Litwa jest obrazem spustoszenia, — pisały gazety warszawskie — a jednak nie upada w nadziei“. Oddając hołd męstwu i ofiarności Litwinów, „rodu Giedymina, wolności mścicieli“, pewien poeta warszawski wołał do nich:



Dla was Polska wszystkim w świecie,
 Wy tylko dla niej życie,
 Ona pociechą jedyną,
 Ona wam domem, rodziną...

Znaleźli się też dowódcy, którzy nie stracili jeszcze nadziei w możliwość utrzymania nadal powstania. Do tych wytrwałych należeli najofiarniejsi i najdzielniejsi wodzowie litewscy: Ezechjel Staniewicz i Onufry Jacewicz. Jacewicz, ścigany przez Rosjan, a „widząc upadłe wszelkie nadzieje“, przeszedł do Prus ze swym podkomendnym Onufrym Kamińskim, w połowie sierpnia. Staniewicz wytrwał jeszcze dłużej. Wraz z kilku towarzyszami krył się na Żmudzi aż do późnej jesieni, dopiero w listopadzie, gdy wszelkie oczekiwania zawiodły z upadkiem powstania w Królestwie, przeszedł również granicę pruską. Obok tych było niewątpliwie wielu jeszcze innych, którzy, jak Kazimierz Truskowski w wiłkomierskim, długo tułali się po lasach i niedostępnych moczarach, uchodząc przed pościgiem, a nie chcąc się poddać wrogowi. Ostatnim z przywódców, który zszedł z placu boju z orężem w rękę, był kapitan Stanisław Paszkowski, jeden z wodzów powstania oszmiańskiego; z oddziałem swoim, liczącym około 400 ludzi, trzymał się w puszczy Nalibockiej do 25 września, następnie przedarł się do Królestwa, lecz trafił tu już na epilog powstania i zmuszony był 10 października, w Modlinie, oddział swój rozwiązać.

Tak skończył się ruch powstańczy na Litwie.

Złożył dań wierną Ojczyźnie. Za trafnym idąc instynktem i niemylnem czuciem narodowym, że „na Litwie była i jest cała zagadka naszej niepodległości“, zrywał się lud do walki w znaku Orła i Pogoni. Nie myliła się też lotna myśl poety-żołnierza, który naprzekór bezwładowi polityków wołał w natchnieniu modlitewnym: „Do Litwy, wodzu, do Litwy!“ Nie mylili się też ci, którzy prastarą unję pragnęli uświęcić i wzmocnić wspólną walką o wolność na śmierć i zwycięstwo.

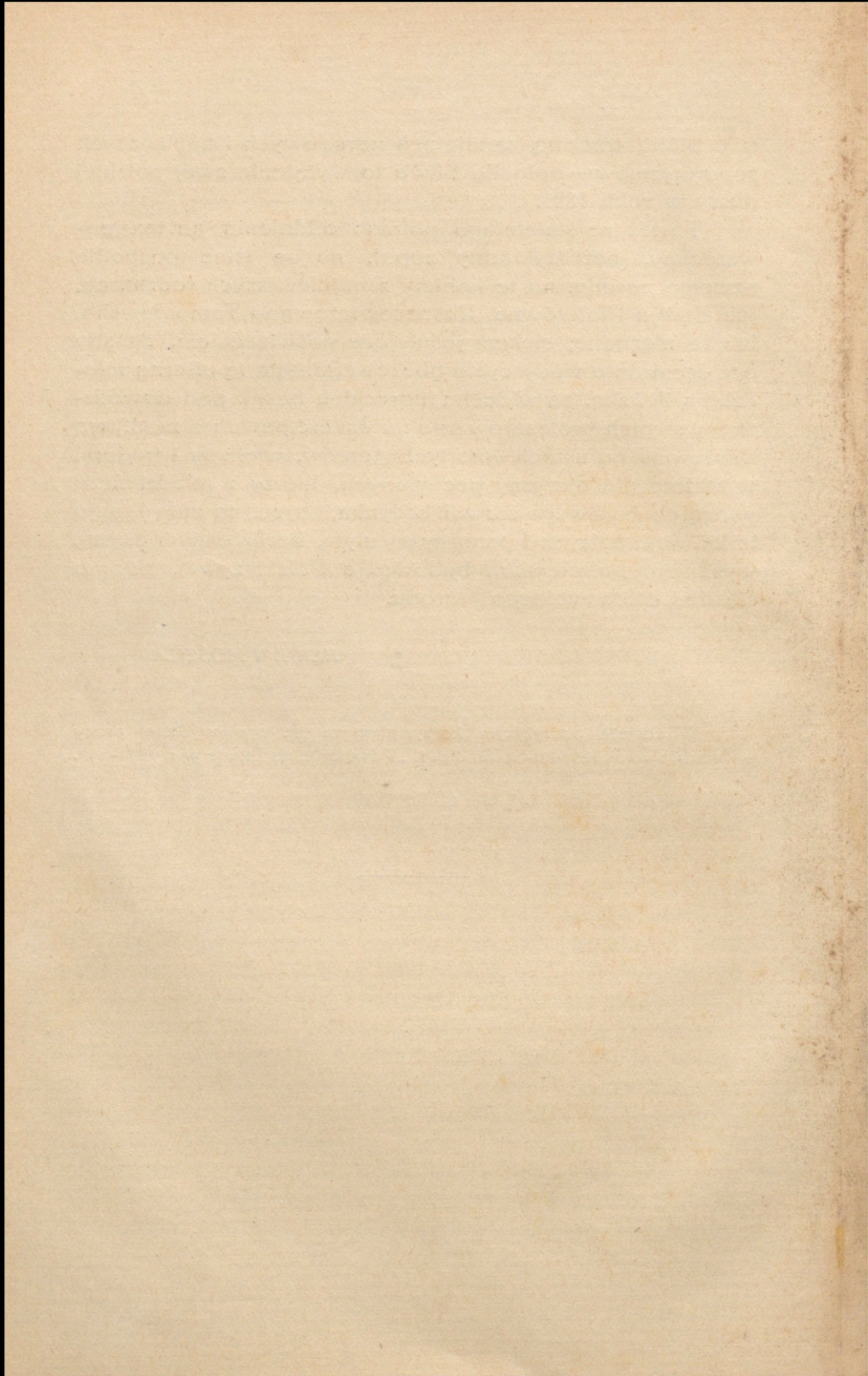
Krwią Oszmiany, okrutnem pastwieniem się zwycięzcy, szatańskim kraju złupieniem, setkami włók wydartej ziemi, zgaszeniem oświaty, męczeństwem Kościoła, przemysłnie

szczepioną trucizną wszelakich narodowych i spofecznych separatyzmów — opłaciła Litwa to wytężenie swej polskiej duszy w roku 1831.

To też ze stuletniego patrząc oddalenia na ten powszechny, bezprzykładny zapaf, na to istne pospolite ruszenie narodu, na te kobiety z najpierwszych rodzin, co, jak Emilja Platerówna, Raszanowiczówna i Tomaszewska, lub te nieznane, cichem jaśniejące poświęceniem, znosiły bez szemrania trudy życia obozowego,—na tę ofiarną młodzież wileńską, co w duchu filareckich haseł, pod dowództwem swoich profesorów szła na śmierć pewną z modlitwą i śpiewem na ustach,—na tych starców, wiekiem i trudami w służbie dla ojczyzny pochylonych, którzy z młodzieńczą wiarą do bojowego stawali ordynku,—przed tą całą litanją imion najdroższych i przed tym całym, bezimiennym często, wysiłkiem bohaterskim budowania Polski żywej, skłania się dziś czoło wolnego Narodu.

HENRYK MOŚCICKI

W zarysie powyższym korzystałem m. in. z niewydanej pracy p. Stanisława Pereświat-Sołtana p. t. „Powstanie na Litwie w r. 1830-31“.

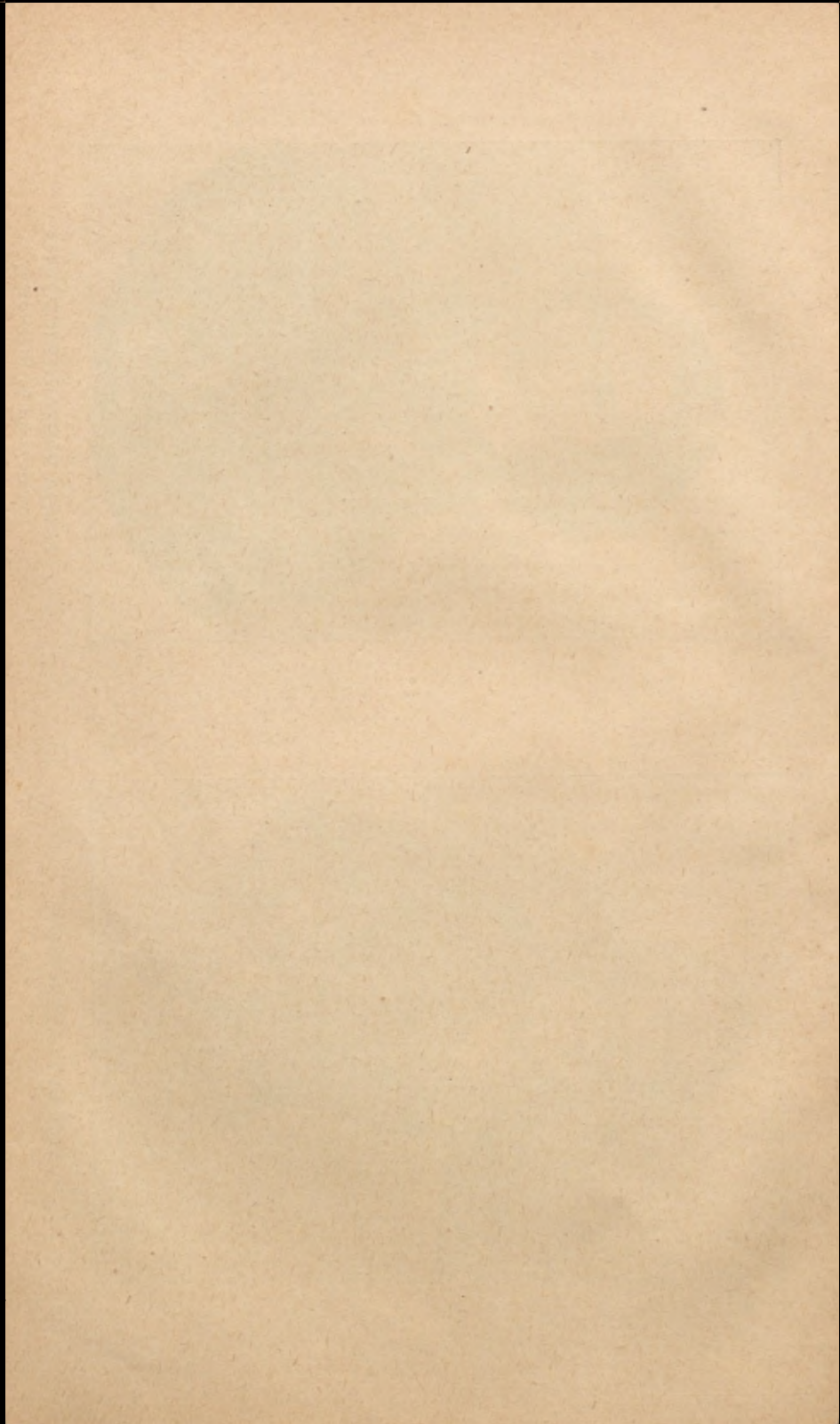




EMILJA PLATERÓWNA.



MARJA RASZANOWICZÓWNA
towarzyszka E. Platerówny.



POWSTANIE 1830—31 R. NA LITWIE

(Z PAMIĘTNIKÓW IGNACEGO DOMEJKI).

I.

Było to roku 1830, a dwudziestego dziewiątego mego życia, że zaświeciła pogněbionemu narodowi naszemu nadzieja oswobodzenia się i powrotu do niepodległego życia. W nocy 29 listopada garstka młódzieży dała hasło do boju, a już na nowy rok 31 mieliśmy wojska 30 tysięcy i rząd narodowy. Roztoczył skrzydła orzeł biały na czerwonych chorągwiach przed kolumną Zygmunta, poruszyły się w grobach popioły Batorego, Jana III, Czarnieckich, Żółkiewskich, Kościuszki.

Błyskawicą przeleciała wieść z nad Wisły do Niemna i Dniestru po Dniepr i Dźwinę i zapaliła do boju Litwę naszą i Żmudź. Nie przeszło święto Bożego Narodzenia tak spokojnie, na zabawie i wylaniu się rodzinnem, jak bywało od 20 lat od napoleońskiej wojny. Schadzała się nocami młódzież w Wilnie i po mniejszych miastach, zjeżdżali się na narady starzy i młodzi patryjoci; zapaleńsi już zbierali broń, łali kule, gotowali konie na partyzankę, a tymczasem ciągnęły pod naszym okiem coraz liczniejsze oddziały jazdy i piechoty z Rosji na Warszawę; pułki z wojskowych osad i gwardja cesarska.

Zima była sroga; biegły złe i dobre wieści. Komunikacje z nad Wisły stawały się coraz trudniejsze. Ogarniały naprzemian, to trwogą, to nadzieją; nieczynność z każdym dniem zdawała się coraz bardziej występna, niepokoiła sumienie. Zaledwo topnieć poczęły śniegi, gruchnęła wieść o grochowskiej bitwie, wraz potem o Stoczku, a z zarażeniem wiosny o zwycięstwie pod Dębem Wielkim...

...Nasza gubernja grodzieńska przez cały kwiecień nie była poruszona; toczyły się tylko narady i robiono przygotowania. Był gościem u nas W. Ks. Konstanty z żoną, Księżną Łowicką, i niemałym oddziałem wojska; były garnizony po powiatowych miastach i podwajała się czujność policyjna, a codzień to nowe roty i szwadrony armji rosyjskich nadciągały z za Dniepru.

Powiat lidzki, w którym mieszkalem, był jeszcze niedo-
łęźniejszym może na ten czas od innych. Niecierpliwość
mię brała; z dnia na dzień trudniejsze położenie; wiadomo-
ści dochodzące z za Narwi i Bugu coraz to pomyślniejsze
i gorętsze; wstyd brał i hańba, o rachubie i rozwadze —
ani myśleć.

Miałem już i broń i konia. Nie pocieszała mię piękna
i wczesna ruń tej wiosny, zapowiadająca obfity plon na
lato, ani gospodarstwo domowe, ni dom zapolski zaciszny
i książki. Dniem i we śnie nasuwały się przypomnienia
młodości z filomackich, z filareckich lat wileńskich na uni-
wersytecie, kiedy to tyle marzyliśmy o dobru kraju, o jego
przeszłości świetnej i przeznaczeniu, o obowiązkach oby-
watela i owem: „mierz siły na zamiary, nie zamiar podług
sił”; nie byłoż naówczas jakby sprzysiężenie zobopólne
dać życie za Ojczyznę, gdy godzina wybije *nunc et olim et...*

A czas upływał; dawni przyjaciele już pod bronią;
wielu już może chwalebnie poległo, odpłaciło dług matce-
ojczyźnie; gorzała głowa, sumienie jak wulkan buchało.

Kiedy jednego rana w czas słotny koło godziny
12-ej zajeżdża przed ganek zapolski wózek chłopski,
i z niego wysiada ktoś z obwiązaną prawie do oczu twa-
rzą. Poznaje — to Kozakiewicz, dawny współfilomat, filaret,
mój od serca przyjaciel. „To ty? — skądże jedziesz?” „Jadę,
prędko odpowiedział, jakby zadyszany, jadę z Wilna
i wiozę dla ciebie słowny rozkaz od Rządu Tymczasowego
(czy komisji generalnej wileńskiej), abys co najspieszniej
starał się przedrzeć do naczelnego wodza, który musi mieć
teraz główną kwaterę koło Płocka, i donieść mu, że już
powstanie zawiązało się w wielu miastach gubernji wileń-
skiej, a młodzię akademicka wileńska wychodzi na powsta-
nie do puszczy Rudnickiej i przyległych lasów. Masz tedy

donieść o tem i prosić o oficerów i instruktorów dla powstańców, jako też o rozkazy i instrukcje dla dowódców komisji wileńskiej i dla naczelników powstania“. „A jakże mnie uwierzytelnią?“ „Oto masz, przerwał, nie dał dokończyć, masz oto na znak te dwa pieniążki miedziane, jeden z roku 1812, które pokażesz Skrzyneckiemu, a one ciebie uwierzytelnią, bo już naczelny wódz jest uprzedzony“.

„Dobrze, ależ ogrzej się, zjedz co“. Nie mam czasu, jechać muszę najspieszniej na Wołyń, zajęty już przez wojska nasze po batalji pod Stoczkiem i muszę tam porozumieć się z naczelnikami powstania w imieniu wileńskiej komisji; nie trać czasu i ty, chodzi tu bowiem o dobro ojczyzny; daj mi co lepiej do jedzenia na drogę“.

Opowiedział mi dorywczo Kozakiewicz o przygotowaniach do powstania w Wilnie, o ruchach powstańczych w Oszmianie, w Kiejdanach, w Krożach: wszystko w najżywszych, wesołych kolorach.

Nie uszło godziny, a już Kozakiewicz był na trakcie do Radziwoniszek, a ja w parę godzin na trzykonnej bryczce z młodym moim furmanem Łukaszem ruszyłem do Grodna, nie zostawiwszy najmniejszej instrukcji dla mego rządcy w domu, nie uwiadomiwszy stryja, ani kogobądź dokąd jadę...

... Nie trudno przypomnieć, ale nie łatwo opisać, co się to w duszy działo, kiedym powrócił do Zapola, jaka w niej wrzała żądza iść czempredzej na partyzantkę, przyłączyć się do jakiego powstania, lub zaciągnąć się do pierwszego jakiego pułku czy szwadronu narodowego, których się od dnia do dnia spodziewano. Jeździłem konno do bliższych sąsiadów, do małego zaścianka, do miasteczka, szukając ochotników; nigdzie na nich nie brakło, ale „czekać, to jeszcze nie czas, obaczymy“ było pospolicie odpowiedzią. Tymczasem codziennie nowe pogłoski dochodziły o zwycięstwach, poświęceniu się, odwadze naszego żołnierza w Królestwie; już i na Litwie ruch się rozszerzał: rzeź w Oszmianie i odwet na czerkiesach Matuszewicza; akademicy biją się w Rudnickiej puszczy; powstania na Żmudzi; Francuzi jakoby w pomoc i broń od Anglików zapewniona. Maj

upływał w próżnem oczekiwaniu; nie pocieszały mię zieleńjące runie, lipy rozkwitłe, drzewo do budowania domu świeżo przygotowane; rdzewiała szabla w kacie; na strzelanie do mety marnowałem proch i kule.

W tym stanie coraz trudniejszym do wytrzymania znalazł mię przybyły do mnie w gościnę mój krewny Putkamer (mąż Maryli); rozmawialiśmy z nim o tem, jak wyjść z owej beczynności, kiedy, widzę, zajeżdża przed ganek bryczka kryta, z której wysiadają dwaj młodzi podróżni jakby z dalekich stron; rozpytują się u służącego, czy jestem w domu, czy niema kogo z przyjezdnych i czy mogą ze mną sam na sam rozmówić się. Wychodzę i poznaję mego wileńskiego kolegę, Konstantego Zaleskiego, a z nim był znajomy mi tylko z widzenia Niepokojczycki. Jechali z puszczy Białowieskiej, wraz po batalji pod Hajnowszczyzną wysłani od generała Chłapowskiego z rozkazem, aby o jego wejściu na Litwę ostrzegli powstańców wileńskich i innych, gdzie ich nie bądź napotkają; mieli też polecenie ogólne do naczelników powstań, aby się starali łączyć z korpusem tego generała, ku czemu wiadomą była Zaleskiemu droga, którą Chłapowski miał iść, kierując się ku Wilnu.

„Masz tedy Ignacy — rzecze Zaleski — ułatwić natychmiast nam sposób do spełnienia rozkazów naczelnego na Litwie wodza. Niepokojczycki ranny musi dotrzeć do Wilna, a dla mnie daj powóz i przewodnika, abym dojechał do najbliższych oddziałów powstania; sam zaś masz jechać prosto do Słonima, gdzie jutro znajdziesz cały nasz korpus, piechotę, pułk ułanów, legjon instruktorów, artylerję i jeńców zabranych w ostatniej wygranej batalji. Tam odbierzesz dalsze rozkazy od generała“.

Wszystko to tak prędko, z przyciskiem, głośno i stanowczo powiedział Zaleski, adjutant Chłapowskiego, że mi się w głowie zakręciło, nie wiedziałem, od czego począć. Na szczęście obecny Wawrzyniec Putkamer był dla mnie skuteczną w tym momencie radą i pomocą.

Po niedługiem namysłaniu się, bo dwaj podróżni ledwo na godzinę odpoczynku i posilenia się przystali, w ten sposób uradziliśmy: Niepokojczycki, przebrany za furmana, powiezie Putkamera do Wilna; Konstantego Zaleskiego

zawiezie mój ekonom do puszczy Rudnickiej, gdzie na ten czas miał się znajdować oddział powstańców i akademicy wileńscy; a ja natychmiast mam ruszyć do Słonima.

Zaledwie upłynęła godzina, powóz Putkamera już był na wileńskim gościńcu; Zaleski z ekonomem puścili się kałamazką na Hołdów ku Ejszyszkom, a ja tego dnia nocowałem w domu stryja mojego w Żybartowszczyźnie, o sześć mil od Słonima.

Zdziwiła sędziwego stryja mego, od dziecinnych lat opiekuna, ta niespodziana wizyta. Dokąd jedziesz? — Do Słonima. Po co? Bój się Boga, tam W. Ks. Konstanty z licznym oddziałem wojska, rzekł starzec. Kiedym mu opowiedział spotkanie się z Zaleskim, mocno był wzruszony, ale mnie nie zatrzymywał. Jadę do Słonima w przekonaniu, że tam już nasz korpus znajdę; o ćwierć mili od miasta słyszę bębnienie, wracający z targu chłopci donoszą mi, że tam Moskale. Zatrzymuję się na nocleg w domu jednego obywatela i tam się dowiaduję, że Chłapowski od Świsłoczy ciągnie na Lidę.

Wracam tedy ku Zdzięciołowi; na moment zatrzymuję się u stryja, z którym i ze stryjenką żegnam się na zawsze, śpieszę przez Bielicę do Radziwoniszek i stamtąd gościńcem ku Żołudkowi.

Nie ujechałem był mili, kiedym usłyszał trębaczy naszych ułanów i widzę zdaleka chorągiewki nasze białe z amarantem.

Było to koło godziny czwartej popołudniu, słońce czyste, piękny dzień wiosenny, trębacze grali pieśń „Nasz Skrzynecki mążny“.

Opodał za przednią strażą z kilkunastu ułanów jechał nielicznym otoczony sztabem Chłapowski, odznaczający się piękną, marsową postawą; wąs zawieszisty, skromny miał na sobie mundur bez złocistych ozdób, płaszcz na ramiona zarzucony i biały orzełek (jeżeli sobie dobrze przypominam) na czapce. Obok niego jechali: senator gen. Tyszkiewicz, Loga z kanonicznym krzyżem na piersi, doktor Marcinkowski i kilku adjutantów, między którymi poznałem mego kolegę Wrotnowskiego. Ten mię zdaleka poznał i przedstawił generałowi. Opowiedziałem jak najkrócej,

co mi polecił powiedzieć Zaleski; oświadczyłem, że jestem gotów na usługi. „Dobrze, rzekł Chłapowski; czekam na ciebie jutro jak najraniej w Lidzie“; przemówili też do mnie po kilka słów Loga, Marcinkowski i pojechali za generałem.

Stanąwszy na uboczu przy drodze, przypatrywałem się radośnie przeciągającemu gościńcem całemu korpusowi, który nie tysiące, jak mniemano, ale, jeżeli się nie mylę, 700 do 800 zaledwie liczył żołnierza i szedł w porządku.

Najprzód za generałem jechał szwadron 1-go pułku ułanów w granatowych mundurach z amarantowymi rąbactwami pod dowództwem dzielnego oficera Borkowskiego; ludzie dobrani, na dobrych koniach, tak czysto, elegancko wymuskani, jak gdyby dziś wyszli na paradę na Saski Plac w Warszawie, a jednak już od trzech tygodni byli w marszu, a przed pięciu czy sześciu dniami tęgie starcie mieli z nieprzyjacielem. Za tym szwadronem postępował legion pieszych strzelców na chłopskich konikach, 180 do 200 wyćwiczonego ze starej służby żołnierza liczący i tuż za nim, też na koniach, mały oddziałek instruktorów, oficerów ze starej służby rozmaitej broni, przeznaczonych do formowania regularnego wojska z naszych powstańców; między nimi był waleczny Żmudzin, major Macewicz, i dawny mój znajomy filaret, kapitan Stawiarski.

Za tymi instruktorami i po części z nimi pomieszani szli, jedni pieszo, drudzy na koniach, jak kto mógł, powstańcy świeżo do służby zaciągnięci i gromada partyzantów, którzy od puszczy Białowieskiej i po drodze łączyli się rozmaicie uzbrojeni i w najrozmaitszego kroju i koloru ubraniach. Między nimi byli i chłopci i szlachta zaściankowa, mieszczenie i służba dworska: ten ze strzelbą, ów z pałaszem, ów przy starej karabeli, z pistoletami u pasa, a był i niejeden z paniczów na dobrym koniu i niejeden ksiądz z brewjarzem. Cała ta gromadka powstańcza była, o ile sobie przypominam, podzielona na mniejsze oddziały, każdy ze swym instruktorem; między nimi było też kilkudziesięciu strzelców leśniczych z kuglami piórami pod dowództwem pocziwego nadleśniczego z białowieskich lasów Ronka, może ze stu ochotników

ubranych i uzbrojonych w mundury i karabiny wziętych w niewolę i wypuszczonych na wolność żołnierzy rosyjskich pod Hajnowszczyzną; zostały na zabranych kaszkietach orły moskiewskie, tylko z oderwaną jedną głową z każdego orła. Zamykała ten cały korpus, może na pół wiorsty rozciągnięty, tylna straż konnych strzelców, ze starej służby nie pamiętam jakiego pułku.

Wróciłem późnym wieczorem do Zapola, a nazajutrz (była to niedziela) rano przybyłem do Lidy. Już było po zawarciu się korpusu z garnizonem lidzkim, który prawie bez wystrzału poddał się, do 180 żołnierza piechoty liczący. Jeden oficer Litwin Michałowski i kilkunastu żołnierzy tego garnizonu, też Litwinów, przyłączyło się do korpusu Chłapowskiego; broń i amunicja poszły na korzyść i użytek dla naszych nowozaciecznych powstańców, a więźniów na wolność puszczono, bo nie było sposobu ich zatrzymać, żywić i wozić za sobą.

Generała Chłapowskiego, gen. Tyszkiewicza i liczny orszak oficerów ugościł porządnem śniadaniem w Lidzie marszałek powiatowy Wążyński, było pod dostatkiem wina i patriotycznych uniesień. Tu poznałem lepiej generała i dłużej z nim rozmawiałem. Generał w całej sile wieku, średniej urody, łączył w sobie powagę i ujęcie polskiego obywatela i nieco surowości charakteru z naturalną, niewymuszoną grzecznością, mianowicie w obejściu z przybywającymi do niego patriotami; mało mówiący, wysłuchał każdego przyzwolicie; zalecał obywatelom poświęcenie się, ostrożność i niemarnowanie sił. Nie ogłaszał proklamacyj, ani nie wywoływał byle jakiego ruchu. W przejściu przez zajęty Rosjanami kraj, wiedząc, że za nim goni nieprzyjaciół, nie narażał na jego zemstę spokojnych mieszkańców; z wojskowymi był surowszy, zalecał karność, porządek; okazywał się raczej smutnym niż wesołym, ale pospolicie wszystkich ujmował swoim obejściem się.

Tu miałem też sposobność zawiazać przyjaźń z kanonikiem Logą i lekarzem Marcinkowskim. Uczony, odważny, gorliwy patriota i bardzo miłego charakteru, Loga był popularny i wywierał dobry wpływ tak na wojskowych starej służby oficerów, jak i na przybywających do służby

ochotników i zalecał im wiarę i miłość, a lubił szczerze nas Litwinów. Toż i Marcinkowski był dla nas wielce uprzejmy i pożyteczny, ułatwiał przystęp do generała powstańcom, dopomagał surowszą radą, zachętą i nauką.

Śpiewano w kościołach „Te Deum“; było niemałe ze wszystkich stron zbiegowisko ludu; nikogo nie przesładowano; znany nawet z uczciwości strapczy chodził bezpiecznie po mieście.

Pobył Chłapowskiego w Lidzie był zbyt krótki, aby mógł wywołać powstanie; tegoż dnia po południu koło godziny 4-tej czy 5-tej wyszedł cały jego korpus z Lidy gościńcem wileńskim do Żyrmun — mnie zaś pozwolił generał pobiec jeszcze na krótko o milę stąd do domu. Wiedziałem, że go dogonię nazajutrz rano między Żyrmunami a Werenowem.

Po raz ostatni o zmroku wróciłem do Zapola i tegoż wieczora powiedziałem moim trzem służącym, że są wolni, a jeżeli mają chęć i ochotę, niech jadą ze mną jutro do powstania. Łukasz i Grzegorz wnet oświadczyli, że idą ze mną; Wincenty był chory na febrę; musiałem go zostawić samego w domu, bo i ekonom jeszcze był nie powrócił z podróży do puszczy Rudnickiej.

Jaka to była ta moja ostatnia noc w Zapolu, to tylko Panu Bogu wiadomo. Uporządkowałem naprędce rejestra gospodarskie i papiery, książki na górę pod dach zaniesiono. Zdrzemałem się na chwilę.

O wschodzie słońca były już konie osiodłane; stała czeladź przy ganku na pożegnanie. Jakoś mi było niedobrze; na wyjściu nieznana mi dotąd trwoga ogarniała. Zatrzymałem się i do pokoju wróciłem, myśląc, żem czego zapomniał; spojrzałem na zegarek — już czas. Idę i znowu na progu jak gdyby mnie kto za poły przytrzymał. Stała mi na myśli matka moja, jakby z ostrzeżeniem, że źle poczynam, nie poradziwszy się Boga, nie wezwawszy Go na pomoc. Odszedłem do izby sypialnej, zawarłem drzwi za sobą i ukłękawszy zmówiłem „Ojcze nasz“ i modlitwy, których za dziecinnych lat mnie nauczono; w końcu przysły mi do duszy te słowa, które wyrzekłem: Panie Boże Wszchemogący, w Trójcy Świętej Jedyny, spraw, aby myśli moje, słowa i uczynki ku Twojej służbie i chwale były obrócone i nigdy się woli Twojej Świętej nie przeciwify.

Ucałowałem ziemię ukochaną i wstałem trzeźwo i ochoczo, przypasałem szablę, wsiałem lekko na mego kasztana i — z Panem Bogiem. Za mną Łukasz i Grzegorz.

Zaledwośmy wyjechali z domu o pół wiorsty między Zapolem i Sukurczami w kierunku ku Żyrmunom, spostrzegamy daleko na drodze idący ku nam oddział konnych żołnierzy. Wiedziałem, że Chłapowski musi być w marszu z Żyrmun na północ ku Wiśnu, a w całej okolicy, nawet powiecie, nie było powstańców; byłżeby to nieprzyjaciel? Ależ i wojsko rosyjskie, które kwaterowało w Żyrmunach, musiałyby raczej popędzić za naszym korpusem, niż iść w przeciwnym kierunku od Żyrmun. Zatrzymaliśmy się na moment, byliśmy przy brzegu lasu, konie mieliśmy dobre. Łukasz pierwszy poznał, że to byli nasi ułani,

których już był widział w Lidzie i dniem pierwszej na Radziwoniskim trakcie.

Podjeżdżamy przeto z całą ufnością i od pierwszego oficera, którego napotykam, dowiaduję się, że po wyjściu z Lidy wpadł nasz oddział nocą na zasadzkę piechoty rosyjskiej w Żyrmunach, że stracił w potyczce kilkunastu żołnierzy i że Chłapowski, otrzymawszy wieść, że większe siły nieprzyjaciela ciągną na niego od Wilna, zmienić musiał kierunek marszu i tą drogą na Hołdów, Myto będziemy się przedzierać do połączenia się z powstańcami na północ.

Zameldowałem się generałowi jako już jego zaciężny i przy jego sztabie jechałem obok Logi, który mi opowiedział szczegóły nieszczęsnego spotkania z nieprzyjacielem tej nocy. Jadąc koło domu, kiedyś powiedział kanonikowi, że to moja siedziba, rzekł: „Dobrze to, zajdziemy na moment do ciebie; pobłogosławię Twemu domowi“. Pobiegłem z nim w galop raz już ostatni do domu; tam Loga, wielki miłośnik poezyj Mickiewicza, z przyjemnością czytał listy jego do mnie pisane, i po małej przekąsce puściliśmy się wnet za korpusem naszym, żegnani przy wiosce przez wybiegających naprzeciw nas włościan.

W taki sposób opuściłem na zawsze Zapole, rzucając po raz ostatni okiem na piękne, zielone runie, których plon kto inny zbierze.

Droga, którą obrał do marszu Chłapowski, oddziela się od głównego traktu z Lidy do Wilna, od Żyrmun na prawo przechodzi najdalej w milę na zachód od tego traktu i nie dochodząc do Radziwoniszek, zawraca się na prawo, idzie na Hołdów, Myto, ku Ejszyszkom, Olkienikom. Była to część kraju najmniej zajęta przez siły nieprzyjacielskie. Nigdzie też nie byliśmy napastowani, aniśmy spotkali nieprzyjaciela.

Mieliśmy pierwszy nocleg, jeżeli się nie mylę, między Hołdowem i Mytem; deszcz lał obfity, żołnierz był całodziennym marszem strudzony. Była karność i porządek w obozie; stawiano strażę, wysyłano szpice i podjazdy.

Toż i przez trzy czy cztery dni następne marsze były utrudzające, mianowicie dla nowozaciężnych ochotników,

pieszo idących, a których liczba powoli zwiększała się, bo korpus nasz na parę godzin tylko zatrzymał się około południa, a na leżach nocnych niełatwo był przystęp do niego, przez strażę i posterunki, niezbędnie potrzebne; zdarzyło się, że do zbliżających się do obozu pojedynczych lub małych oddziałów partyzantki strzelano, biorąc ich za nieprzyjaciela, czy szpiegów. Gdziekolwiek zatrzymać się dał rozkaz generał, natychmiast bito woły, znoszono chleb, mleko, gorzałkę ze wsi i dworów — a wszędzie przestrzegano porządku.

Żołnierze ze starej służby swoich trzymali się oddziałów; karność nie pozwoliła mieszać się zbyt z przybywającymi rozmaitego stanu, ubioru i broni ochotnikami. Instruktorowie pilnowali powierzonych im nowozaciecznych, z małymi może wyjątkami dobrze się, po ludzku, z nimi obchodzili. W czas gorący, kiedy jaka gromadka biedniejszych, niemających częstokroć dobrego obuwia, zdawała się być znużoną długim bez odpoczynku marszem, byli tacy, co im ustępowali koni swoich, a sami szli piechotą; drudzy intonowali pieśń jaką patryjotyczną czy religijną, i to nadzwyczaj podnosiło ducha i ochotę, umacniało siłę i rozweselało. Nie było czasu do ćwiczeń wojskowych; dzielono tylko ochotnika na małe szeregi.

Gdy ich liczba powiększać się znacznie poczynąła, a wkrótce mieliśmy się połączyć z liczniejszymi oddziałami powstańców, Chłapowski postanowił, a miał do tego upoważnienie od Rządu narodowego, formować pułk 25 piechoty i dwa szwadrony jazdy z samych zacieźnych Litwinów. To mu zjednało natychmiast wielką popularność i przychylne uczucia u naszych patryjotów.

Trzeciego czy czwartego dnia po wyjściu z Żyrmun, kaze już tworzyć pierwszy bataljon do nowego pułku, mianuje do niego komendantem majora Macewicza, Żmudzina, ze starej służby, potrzebną liczbę oficerów na instruktorów, a mnie adjutantem pułkowym. Macewicz był od wielu lat w czynnej i jak wiadomo surowej służbie za W. Ks. Konstantego; przeto wyćwiczony służbista, a gorliwy patryjota, nie był zbyt wymagający; przyuczył mnie, co mam robić i nie brakło mi pomocy w oficerach. Począłem od

utrzymywania kontroli wpisów, pełnienia służby, jakiej wymagała organizacja tworzącego się bataljonu; niebawem zawiązała się przyjaźń moja ścisła z Macewiczem.

W tym czasie zaprzyjaźniłem się z walecznym kapitanem naszej artylerji Januszem Czetwertyńskim i jego nieodstępnym kolegą Przeździeckim. Przybyli do naszego korpusu pułkownik Sołtan i dwaj Mikulscy, Józef i Lzydor. Przychylni dla nas byli sztabowi Chłapowskiego, mianowicie Loga, Marcinkowski, a nie przestawał nowe dawać, nam Litwinom, dowody szacunku i przychylności generała. Służba szła regularnie i przestrzegana była karność, jak należy; sam Chłapowski objeżdżał nocami posterunki; — niekiedy fałszywy alarm robiono w noc późną do boju, dla poznania, czy wszystko było na pogotowiu.

Niektórzy starzy oficerowie z regularnego wojska, przybyli z Warszawy, przebąkiwali czasem, patrząc na nowo zaciężnych z ukosa, że nie widzą zapowiadzianych im powstań i legjonów. Markotno to było naszym, ale ich szanowali, unikali zajścia.

Jednego dnia widzimy przylatującego ku nam na pięknym koniu w towarzystwie kilku towarzyszków zabarmoszonej postaci, w burce, powstańca. Był to Matuszewicz, o którym już mówiono, że był pogromcą Czerkiesów w Trokach, czy gdzieindziej. Przywiózł dokładną wiadomość o powstańcach w gubernji wileńskiej. Chłapowski uprzejmie go przyjął i wysłał do nich z poleceniami.

W Niegościu przednia nasza straż zwarła się z kozakami, eskortującymi powstańca, wiozącego depesze z głównej kwatery rosyjskiej do generała-gubernatora wileńskiego. Było około 30, a może więcej kozaków; nie poddali się, pokłuli naszych żołnierzy i dali się pozabijać; dwóch czy trzech tylko ocalało i ci potem spokojnie za nami jechali, choć ich nie pilnowano; z naszych Litwinów Zabiełło, oficer wielkiej nadziei, dostał ciężką ranę w tem spotkaniu.

Z depeszy dowiedział się generał o batalji pod Ostrołęką, o odcięciu dywizji Giełguda i o jakimś oddziale Moskali, idących na wzmocnienie załogi wileńskiej. Zarzucano potem Chłapowskiemu, że nie poszedł uderzyć na ten oddział, lub nie starał się mu przeszkodzić przejścia

do Wilna. Zarzut był niesłuszny, bo nasz generał miał zaledwie sześćset żołnierza zdolnego do boju i trzy działa Czetwertyńskiego, reszta źle uzbrojona lub bez zbroi, ciężarem raczej niż pomocą była; i cała garstka lepszego żołnierza szła bez odpoczynku, bez jednej dniówki od Białowieskiej puszczy; ludzie i konie w zmęczeniu.

Pierwszy nieco dłuższy odpoczynek, bo prawie przez dzień cały mieliśmy w majątku Ogińskiego (jeżeli się nie mylę w Gabrjelowie). Tam sztab Chłapowskiego i wielu oficerów szczerze podejmował w pięknym pałacu gospodarz, a o południu nadszedł i uszykował się w szereg legion tak nazwany akademików wileńskich.

Ach! jakież to wejście miał ten legion, po długiej partyzantce w puszczy i za puszczą, po wielokrotnem spotkaniu się i utarczkach z nieprzyjacielem; liczył więcej sta młodzieży wychudłej, odartej, ale rażnej, wesołej. Miało z niej wielu strzelby myśliwskie, jakby z obławy na niedźwiedzia, niektórzy karabiny, wzięte na nieprzyjaciela; niejeden z pałaszem, czy z oszczepem, z pistoletem u pasa; ten w czapce z piórem koguciem, ów w kaszkiecie, a obuwie ledwo się trzymało na nogach.

Wyjechał do nich przed front na pięknym koniu w mundurze generała, w orszaku licznych oficerów; potrójny okrzyk daliśmy na cześć akademji wileńskiej; dobrze wyprostowani w linii stali jej waleczni uczniowie, sprezentowali broń, jaką kto miał, pod komendą (jeżeli się nie mylę) Giedrojcia, kapitana z napoleońskiej służby.

Wnet przed linię wyszedł z przemową do generała gimnazjalny profesor Gronostajski, w szarej kapocie, słomianym kapeluszu i jakby po rzymsku w posznurowanych, po prostu mówiąc, naszych chłopskich łapciach. Wymownie się spisał nasz profesor, poddając w krótkich wyrazach cały legion swoich towarzyszy pod rozkazy Chłapowskiego, gotowych umrzeć za ojczyznę.

Na to donośnym głosem wymownie odpowiedział generał, pochwalił miłość ojczyzny, poświęcenie się i gotowość do boju; „daliście dowód, rzekł mniej więcej w tych wyrazach, że nie licząc nieprzyjaciela, walczyliście z nim, dopełniając obowiązku dobrych obywateli; ale

bądźcie przekonani, nie dosyć jest kochać ojczyznę, nieść miłość i zapas na jej wskrzeszenie, trzeba wprawy, karności, posłuszeństwa dowódcom i militarnej umiejętności w szeregach do boju. Te przymioty posiada nasz wróg, choć nie z miłości ni zapasu, lecz naoslep, złej sprawie poddany; tych i nam przymiotów trzeba, aby się zasłużyć ojczyźnie“.

„Niech żyje generał“, wykrzyknął legion; „niech żyje Litwa i Polska“, odrzekł Chłapowski; zagrali trębacze „Jeszcze Polska nie zginęła“; odjechał generał, a wielu z naszego korpusu, koroniarze i Litwini, ułani i nowozaciężni, poszli bratać się z akademikami i częstować, czem kto mógł i cieszyć się: był to jakby obchód uroczystości Unji Litwy z Koroną.

Tegoż dnia starano się nieco opatrzyć potrzebniejszych w odzież i obuwie. Chłapowski jeszcze się wahał, czy miał ten legion wcielić natychmiast do formującego się pułku, czy zostawić go osobno przy sobie, opatrzywszy w broń i dobrych instruktorów.

Na parę godzin przed zachodem słońca ruszyliśmy dalej i przy pierwszej jakiejś zamożnej wsi stanęliśmy obozem; tu przyłączył się do nas dość liczny, dobrze ubrany, uzbrojony w piki i pałasze oddział jazdy powstańców pod dowództwem Platerówny. Z nią przybyli Cezar i Władysław Platerowie, niemało obywatelskiej młodzieży i pie-szych ochotników.

Nie mogła mieć więcej nad 24 lat Platerówna; niskiej urody, blada, niepiękna, ale okrągłej, przyjemnej, sympatycznej twarzy, błękitnych oczu, kształtnej, ale niesilnej budowy; była poważną, bardziej surową, niż ujmującą w obejściu się, mało mówiącą i spojrzeniem nakazującą dla siebie należne względy i przyzwoitość; nikt też w obozie nie dopuścił się w jej obecności wymówić jakiego niedorzecznego słowa, żartu, lub uchybić w grzecznem obejściu się. Miała na sobie szaraczkowy po kolana surdut z czerwonym kołnierzem, a koło szyi koronkowy kołnierzyk, co było jej bardzo do twarzy. Przytem miała na głowie kaszkiecik męski, włosy ucięte, szerokie do ziemi szarawary, puginał i małą szablę u pasa, ostrogi srebrne przy

bucikach. Skromna, bez żadnej nienaturalnej pretensji, trzymała się zgrabnie na koniu, a przy niej nieodstępną była także co ona urody jej przyjaciółka, przystojna, wesół, wszystkim podobająca się panna Raszanowiczówna.

Grzecznie i uprzejmie przywitał Chłapowski hrabiankę, która też miała staranne wyższego świata ujęcie i wychowanie.

Codzień śpieszniej pomnażał się nasz korpus, dochodził już do półtora tysiąca ludzi, kiedy nadeszła w marszu wiadomość o zbliżającej się ku nam dywizji Giełguda. Podniosła duch i zapął w każdym żołnierzu, czy to starej, czy powstańczej służby.

Już mieliśmy z nowozaciecznych i tych, którzy od Białołęczy przyszli z Chłapowskim, utworzone dwie kompanje 25 pułku piechoty i dwa czy trzy szwadrony jazdy. Pierwszej kompanji był mianowany szefem rzeczywistym Stawiarski, a honorowym panna Plater, a drugiej jeden z instruktorów, którego nazwiska nie pamiętam; dowódcą pułku, jakem powiedział, był Macewicz, przy nim zaś pełnił obowiązek adjutanta pułkowego. Nowych szwadronów był mianowany pułkownikiem Sołtan; przy nim pełnił służbę adjutanta Izydor Mikułski.

Opuszczam wiele szczegółów przymglonych w mojej pamięci i przechodzę do ogólnego połączenia się wszystkich prawie powstań i partyzanckich oddziałów z dywizją Giełguda w jego majątku na Żmudzi; było to pod koniec czerwca.

Przyszedł tam i nasz korpus Chłapowskiego z formującymi się oddziałami jazdy i piechoty. Wielka była radość; nadeszły uformowane powstania z Kiejdan, Kroź, szawelskie; przyprowadził i wilejskie Brochocki, Chodźkowie; i z Inflant ukazał się partyzanci, aż dopiero kiedy się przypomniał, ile się tam ukazało przybyłych z Giełgudem bataljonów piechoty i szwadronów jazdy, z których niejeden walczył pod Grochowem, Wawrem, Dębem Wielkim, a ledwo nie od wieczora był w ogniu pod Ostrołęką.

Do cztertnastu tysięcy mieliśmy zebranego wojska, a jakąż tam była różnaitość broni, oręża i ubrania!

Ze wszystkich dzielnic starożytnej Polski znajdowali się tam partyzanci: Poznańczycy, Galicjanie, Podolanie i Ukraińcy; stary żołnierz i powstańcy. Trzy dni mieliśmy odpoczynku i radości; a choć deszcz padał, biły grzmoty i pioruny, bawiono się, niestety, jakby po wygranej; w pałacu grała muzyka, zjechało się wiele pań i obywateli ościennych.

Postanowiono jednak na radzie iść natychmiast i całą siłą uderzyć na Wilno, gdzie nieprzyjaciel gromadził ku obronie liczne oddziały. Oprócz Chłapowskiego było pod rozkazami Giełguda, jako starszego w randze, wielu innych generałów i pułkowników, jako też dowódców powstań, znanych dobrze z imienia i zasług.

Wśród tak niejednorodnych elementów, z których się składało wojsko nasze, niepowodzeniem i forsownymi marszami strudzone, trzeba było czasu do uorganizowania sił i przygotowania się do takiej wyprawy, jaką była wyprawa na Wilno. Może niesłusznie szemrano na Giełguda, że czas traci. Dał więc rozkaz do wymarszu i po trzech dniach zaledwie odpoczynku ruszyła śpiesznym marszem ku Wilnu cała dywizja Giełguda, pomnożona oddziałem, który przyszedł był z Chłapowskim z Królestwa, i niektórymi legjonami lepiej uzbrojonych powstańców, mianowicie jazdy. Macewiczowi dano rozkaz prowadzić dwie nasze tworzące się kompanje do Kowna, a przyłączono do nas jeden szwadron strzelców i jakiś mały oddziałek świeżo przybyłych ochotników.

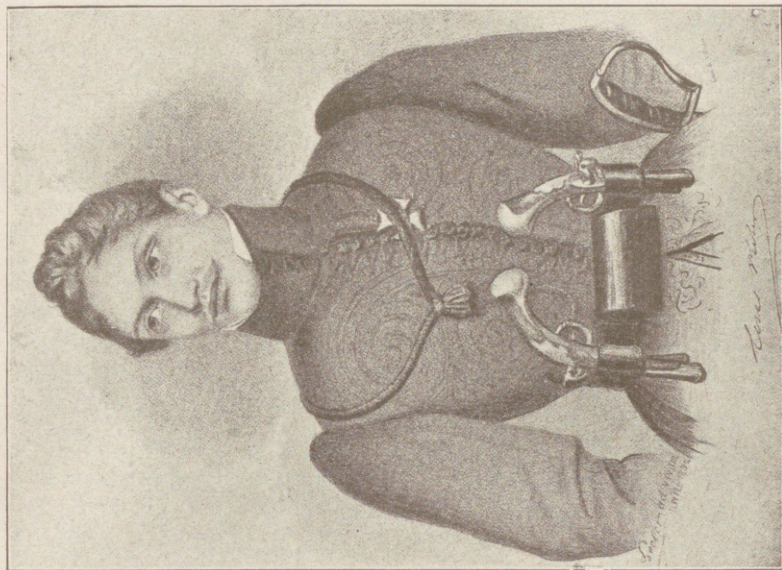
Nie moją rzeczą przywozić tu szczegóły, dotyczące się niefortunnej wyprawy na Wilno i odniesionej tam porażki; nie odstępiałem na jeden dzień od mojej służby i obowiązków pod dowództwem Macewicza.

Po dwudniowym marszu weszliśmy do Kowna. W mieście ani jednego nie było żołnierza; w szpitalu tylko wojskowym leżało niewielu Rosjan rannych i chorych, nad którymi urząd miejski miał opiekę. Nie było też ani za Niemnem od strony Augustowa, ani na całym obszarze kraju od strony Wilna sił nieprzyjacielskich; te bowiem już zostały ściągnięte do Wilna.

Rozłożyliśmy się na przedmieściu, a liczyły na ten czas dwie nasze kompanje 25 pułku 500 do 600 ludzi i kilkun-



KONSTANTY PARCZEWSKI
wódz powstańców w pow. wileńskim.



CEZARY PLATER
wódz powstańców żmudzkich.

frontu, tyraljerskich ćwiczeniach bez broni, kiedy jej brakowało połowie naszych ochotników. Nie mieliśmy więcej nad 300 lepiej uzbrojonych, wyćwiczonych żołnierzy. Już drugi tydzień naszego w Kownie pobytu upływał. Niezłe wiadomości z początku dochodziły od czynnej naszej armji koło Wilna, a pochlebiało to naszym oficerom, że zakrywaliśmy jej prawe skrzydło od Augustowa.

Tymczasem rozchodzi się wieść niedobra między żydami o przegranej batalji pod Wilnem; nasze przednie straże i podjazdy ochotników ostrzegają, że na trakcie wileńskim ukazuje się wojsko. Była to przednia część naszej armji pod dowództwem Chłapowskiego; ci sami ułani i strzelcy piesi na chłopskich konikach i działa trzy Czetwertyńskiego, które przywiódł był z sobą generał na Litwę; ale też z nim szło kilka oddziałów powstańczych i może jeszcze co nie mało żołnierza ze starej regularnej służby.

Wszedł Chłapowski do Kowna z muzyką i dobrym rezonem, jakby się nic złego nie stało; lecz trudno było zataić przegraną, a przybywający z orszakiem generała oficerowie zwalali winę na nieczynność i nieudolność Giełguda. Nasi też z tworzącego się pułku oficerowie i żołnierze i inni z załogi zostawionej od wielu dni w Kownie ochotnicy skarżyli się, że zapomniał był o nas głównodowodzący, nie mianował naczelnika siły w Kownie i zostawił nas, wobec nadchodzącego nieprzyjaciela, bez broni i amunicji.

Cezary Plater dał tego dnia obiad dla oficerów; było nas może czterdziestu przy stole; rozmawiano przeważnie o przegranej i stratach pod Wilnem i jak się pospolicie przy niepowodzeniu dzieje, narzekano na wodza. „Pocóż było — rzekł jeden z obecnych wyższej rangi oficerów — sprowadzać powstańców i partyzanckie oddziały z obronnych miejsc po całej Litwie i przerabiać ich na regularne wojsko, kiedy do tego ani broni, ani czasu do omusztrowania i organizacji sił nie było“. „Prawda — ktoś dodał — oczyszczono tym sposobem kraj z pojedynczych oddziałów partyzanckich, utrudniających ruch na każdym miejscu nieprzyjacielowi, przecinających mu komunikację, mogących

walczyć przeciw przeważnej sile po lasach, po bagnach, nocami“.

Ogólna skarga była na Giełguda, a ufność ku Chłapowskiemu, na którego cześć piliśmy, dopóki nie zabrakło wina. Przyszło prędko do tego, że poczęto wołać: „niech żyje wódz nasz Chłapowski“ i na to się jednomyślnie zgodzono, aby nazajutrz przed wymarszem wysłać komisję do Chłapowskiego w imieniu oficerów z prośbą i naleganiami, aby nad całą zbrojną siłą na Litwie objął dowództwo z usunięciem Giełguda.

Nazajutrz też zrana udaliśmy się w znacznej liczbie oficerów do obszernego salonu, z którego drzwi wiodły do pokoju generała i delegowaliśmy od siebie trzech zapaleńszych do niego z propozycją. Weszli i w parę minut ujrzelśmy zagniewanego Chłapowskiego: „Gdyby przyszło do tego, rzekł, iżby żołnierze w kompanji, czy ich oficerowie mieli zrzucać mianowanych przez rząd, starszych dowódców, a obierać sobie tych, co im się podobają, to pierwej pałnąłbym sobie w łeb, niż służył wojskowo. Panowie, zalecam karność i posłuszeństwo, nadzieję i wytrwałość!“ Odszedł i zatrzasnął drzwi za sobą.

Tegoż dnia przed południem ruszył ze swoim korpusem Chłapowski głównym traktem ku Kiejdanom, zostawwszy w Kownie oprócz naszego pułku ze trzysta jazdy i piechoty rozmaitej broni. Było naszym obowiązkiem zakrywać uchodzącą przed nieprzyjacielem armję, a zapomniano nawet mianować na cały nasz kowieński garnizon dowódcę.

Sami zaradzając sobie z Macewiczem, rozstawiamy warty w mieście i na drugim brzegu Niemna; jeden szwadron powstańców w porozumieniu się z nami wysyła pod jazdy i na trakt ku Wilnu.

Na trzeci dzień po wyjściu Chłapowskiego z Kowna dochodzą wieści, że i od Augustowa nadciąga nieprzyjaciel; nieliczną straż utrzymaliśmy w Aleksocie pod dowództwem jednego oficera; a kiedym o północy przeprowił się łódką do Aleksoty, znalazłem śpiących naszych żołnierzy, a tylko oficera czuwającego z zupełną pewnością, że nie było niebezpieczeństwa. Zrana uszykowaliśmy

naszych lepiej wyćwiczonych żołnierzy i lepiej uzbrojone posterunki jak do obrony za miastem i w mieście na placu i na ulicach od strony Wilna; tych zaś, co nie mieli palnej broni, uzbroiwszy w piki, a niektórych w kosy, ustawiliśmy przy obronie mostu na Wilji.

O południu poczęli o parę mil ukazywać się kozacy na trakcie wileńskim; odpędziła ich nasza jazda powstańcza; a był niemały alarm w mieście i gotowość do boju.

Nad wieczór przyjeżdża z nominacją od Giełguda na dowódcę szczupłej naszej siły militarnej kowieńskiej ze starej służby wojak, pułkownik Kiekiernicki. Poszedłem zdać mu na piśmie raport o ilości broni i amunicji (nie mieliśmy więcej, jak po trzy ładunki na każdego żołnierza), liczbie żołnierza i zapasie żywności; zmarszczył się i nic nie powiedział. O dziewiątej w nocy daje Macewiczowi rozkaz do zdjęcia straży z Aleksoty i z najdalszych posterunków na trakcie wileńskim; spełniłem jego rozkaz, i cała prawie nasza piechota przechodzi na drugą stronę mostu.

Noc ciemna, spokojna. O wschodzie słońca nowy odbieramy rozkaz Kiekiernickiego; każe piechocie naszej wracać z za Wilna i szykować ją na ulicach do obrony miasta. Przed południem pierwsze strzały na trakcie wileńskim ostrzegają o zbliżaniu się nieprzyjaciela.

Atak był tak prędki i silny, że po kilkakrotnym wystrale i po starciu się z naszą, Stawiarskiego, jeżeli się nie mylę, kompanją i z drugą na placu, większa ich część poszła w niewolę, reszta zaledwo zdołała przejść przez most nad Wilją; nie przygotowano sposobów do zniszczenia mostu. Sam Kiekiernicki i komendant placu zostali wzięci w niewolę.

Nie chcę przypominać bolesnych strat i niemiłych wypadków dnia tego. Ledwośmy przeszli z Macewiczem i poławą może naszych żołnierzy za most nad Wilją, poczęły nad nami przelatywać kule i pękać granaty, a okręzać sotnie kozaków.

Niezbyt rozległa równina ciągnie się od Wilji do przyległego lasu, do którego zdążyć potrzeba było przed nacierającą za nami jazdą nieprzyjacielską. Tu się zdarzyło,

że panna Plater, którą przed chwilą widziałem nieustraszoną, pełną odwagi pod kartaczowym ogniem, spada z konia; i w tym momencie dopędza jej konia Macewicz, sam zsiada, wsadza ją na koń i uprowadza ją z jej przyjaciółką przed biezącymi za nią kozakami do lasu.

Tej nocy przez kręte dróżki i błotniste manowce zdołaliśmy zdążyć do, nie pamiętam jak się nazywa, folwarku, gdzie przestraszoną znaleźliśmy rodzinę, wiele pań i dzieci. Przyjęto nas najgościnniej, litowano się nad panną Plater; opowiadała ona spokojnie o bitwie, o przegranej, o wypadku, jaki jej się zdarzył i wyratowaniu przez dzielnego Macewicza. Przypominaliśmy, że ostatniego wieczora, przy obozowym ognisku, kiedy w poufnej rozmowie toczyła się rzecz, czy kobiety mogą brać udział czynny na placu boju w bataljach, a wielu oficerów i ja może przez grzeczność potwierdzaliśmy opinię walecznej hrabianki, że kobiety powinny mieć udział w niebezpieczeństwach, a nawet w boju za ojczyznę, Macewicz tylko był przeciwnego zdania; a jednak, gdy przyszedł moment, on się sprawił po kawalersku, a myśmy na to patrzyli.

Tego dnia przybyłem z Macewiczem do Kiejdan. U wejścia do miasta wisiał na szubienicy żyd, a drugi żyd stał opodal z karabinem na straży; u tego zapytał Macewicz: „Żydzie, kogo pilnujesz?” — odpowiedział nieco bąkając i jakby dla przypodobania się z uśmiechem żydek: „Ojczyzny, Jaśnie Panie“.

W Kiejdanach był rząd narodowy centralny, a jego prezesem Zaleski, dawny patriota z czasów czteroletniego sejmu; wysoki, poważny, pełen godności obywatel. Przy nim znajdował się ministrem dawny z uniwersytetu wileńskiego bibliotekarz, mój dawny znajomy, Kontrym, gorliwy Polak, bij zabij na szlachtę i panów. Trafiliśmy na pobór ochotników do wojska, nakazany przez ów rząd, do którego składu wchodził i marszałek powiatowy, jeden z gorliwych naczelników powstania.

Było już z tego poboru około trzystu włościan, czekających na broń i uformowanie z nich szeregów do boju. Powzięliśmy z Macewiczem zamiar użyć ich do zreformowania na nowo naszego 25 pułku piechoty, bo i z rozbitego

w Kownie nadeszło na drugi dzień po przybyciu naszym do Kiejdan ze stu niezłych żołnierzy, zebranych w rozsypane i przywiezionych przez jednego z naszych oficerów; do tego i niejednen z tych co przyszli byli z Chłapowskim, przyłączył się do nas i spodziewaliśmy się znaleźć nieco broni w miasteczku.

Udałem się więc z Macewiczem do rzeczzonego rządu, czy jak go też nazywano, komisji narodowej, domagając się wydania nam owych trzystu ochotników i utworzenia z nich dwóch kompanij piechoty. Pokazał Macewicz mianowanie siebie przez Chłapowskiego za przybyciem do Litwy dowódcą formującego się pułku, a mnie adjutantem pułkowym. Zaleski nie był przeciwny naszym zamiarom; marszałek chciał z rzeczonych ochotników mieć oddział miejscowy z imieniem powiatu, do którego należeli; największego i najupartszego przeciwnika mieliśmy w Kontrymie; skarżył się na generałów, skarżył się na oficerów i żołnierzy koronnych ze starej konstantynowskiej służby, że pogardzali powstańcami i młodymi żołnierzami; powstawał i na panów i na szlachtę, że im braknie zapasu.

Wziąłem na siebie udobruchać Kontryma, przypominając mu dawne uniwersyteckie czasy, jego stosunki z młodzią, dobro powszechne i potrzebę zapomnienia uraz. Na trzeci dzień zaledwie przełamałem upór starego zapaleńca demokracji. Wzięliśmy się natychmiast konwulsyjnym prawie ruchem i zapasem do formowania na nowo pułku. Do owych trzystu włościów z poboru i więcej sta ludzi uratowanych z Kowna, przyłączyło się do nas niemało młodzieży obywatelskiej i partyzantów, którzy się już byli znaleźli nie w jednej z nieprzyjacielem utarczce i nie brakło instruktorów.

O pół mili od miasta rozłożyliśmy się obozem; znalazło się ze sto strzelb i karabinów; tym co ich nie mieli, rozdano piki i kosy. Po żmudzku przemówił Macewicz z wielkim zapasem do nowych żołnierzy i to się im wielce podobało. Z nadchodzącą nocą zakonnik bernardyn, który do nas przysłał na kapelana, przemówił także po żmudzku, za nim cała nasza gromada, na dwie kompanje podzielona, zmówiła pacierz wieczorny.

Rozstawiono strażę i objechaliśmy je po północy z jednym ze starszych oficerów. O świcie brano się do ćwiczeń, kiedy jeden zadyszany w biegu mieszczanin daje znać, że już całe nasze wojsko przeszło nocą przez Kiejdany, że o pół mili uciera się jeszcze nasza jazda z kozakami, że komisje opuściły miasto.

Formujemy się natychmiast do marszu i podwójnym krokiem idziemy na trakt wiodący z Kiejdan do Szawel.

Przechodziła właśnie przez Kiejdany tylna straż korpusu generała Chłapowskiego, kiedyśmy dochodzili do miasta. Pojechałem naprzód obaczyć się z generałem, zdać mu raport i dowiedzieć się w sztabie o zaszłych wypadkach.

Z równą, jak zawsze, uprzejmością przyjął mię Chłapowski i choć był wypogodzonej twarzy, widać było na niej strudzenie i bezsenność. Smutniejszy jechał przy nim i mało mówiący Loga; podjechał do mnie, uściśnął za rękę i rzekł: „Winszuję tobie i cieszę się; widziałem wczora prześliczną szarżę jednego szwadronu waszych, nowej formacji, powstańców litewskich; niedobrze się dzieje, ale nie tracmy nadziei, mamy jeszcze dosyć sił do oparcia się i do kroków zaczepnych“.

Szliśmy cały ten dzień bez odpoczynku i połączyliśmy się z Giełgudem.

Przypominam dziś jeszcze jeden szczegół, który na mnie smutne po sobie wrażenie zostawił. Zatrzymało się nasze wojsko, z wielu oddziałów regularnego żołnierza i nowozaciecznych szeregów złożone, w miejscu, gdzie okoliczne wsi poddostatkiem żywności dla ludzi i karmu dla koni dostarczyły. Giełgud miał w niewielkim domku na wzgórku kwaterę; koło tego domku był ruch niezwyčajny oficerów, szemrzących, narzekających na nieczynność, na brak porządku i planu w obrotach; oskarżano głównodowodzącego, że myśli o układach z nieprzyjacielem i nas do Prus prowadzi.

Schodzili się oficerowie ze wszystkich oddziałów, zebrało się nas może do 60-ciu, jeżeli się nie mylę. Stała warta przed domem, a głośno mówiono o tem, czyby nie zmusić lub uprosić Giełguda, żeby zdał dowództwo na Chłap-

powskiego. Giełgud zaś prawie po batalji pod Wilnem był chory na różę, nie wsiadał na konia, jechał w małym kocyku. Nie było zgody między oficerami: jedni przestrzegali, że to się zanosi na bunt; drudzy, że Chłapowski nie przyjmie dowództwa; inni zapaleńsi, niesforni, do gwałtowniejszych sposobów rzucać się radzili, na ratunek, jak mówili, ojczyzny.

Giełgud, gdy mu doniesiono o tem, co się tuż przy jego kwaterze działo, wyszedł na ganek, chromiąc i nacierając sobie obwiązaną nogę. Był to mężczyzna wysoki, dobrze zbudowany, nie pięknej, ale militarnej twarzy; defigurowało ją to, że miał tylko jedno oko, którem patrzył, a drugie było szklane; miał sławę dobrego żołnierza jeszcze z napoleońskiej armji, był nieposzlakowany w charakterze, uczciwości, a przytem majątny obywatel. Widać było w starym generale oburzenie; zrazu jakieś tylko słowo do przybocznego adjutanta przemówił, a potem z trudnością obróciwszy się do nas, rzekł przerywanym, przycichłym, lecz dobitnym głosem, mniej więcej to: „Posądzacie mnie, że myślę o układach z nieprzyjacielem — wieście — gdyby w moich żyłach jedna tylko kropła krwi została z myślą o układach z kim nie bądź, to i tę byłbym sam wycisnął“. Odszedł blady, wzruszony. Krzyknęli niektórzy: „niech żyje generał, niech żyje Giełgud“, drudzy spokojnie odeszli.

Jeszcze o pół dniówki od Szawel, koło Rosalina gdzie się dwa główne gościńce schodzą, w miejscu, które się zdawało obronnem, usiłowano wstrzymać przednie siły armji rosyjskiej i uderzyć jednocześnie na Szawle, gdzie był nieprzyjacielski garnizon, i spodziewano się tam zdobyć zapasy broni i amunicji. Tuśmy stracili niemało ludzi i artylerji; odcięto nam nowozacieżnych kosarzy, którzy spokojnie do domów odeszli i tu o mało z Macewiczem nie byłem wzięty do niewoli.

Przechodząc tego dnia z Macewiczem i małą drużyną ostatnich naszego oddziału koło Szawel, widzimy o pół mili od miasta żołnierzy naszych, grzebiących ciała poległych tej nieszczęsnej godziny. Nasi byli pewni wygranej, już byli weszli do Szawel; nieliczny garnizon piechoty

rosyjskiej, po krwawej walce, schronił się za mur otaczający kościół. Po trzykroć rota naszych żołnierzy usiłowała zdobyć to obwarowane miejsce i była odpartą; w jednym z ataków sam Loga z karabinem w rękę prowadził do szturm piechotę i padł trupem: nie posłano asekurację nowego posiłku; nie było w zamiarze generała opanować Szawle i zatrzymać się w tem miejscu przed nadchodzącą za nami armją nieprzyjacielską.

Po klęsce szawelskiej przyszliśmy z oddziałem Chłapowskiego tej nocy do Kurszan, gdzieśmy znaleźli zebrane całe nasze wojsko i to co pozostało z korpusu Giełguda i co wprowadził na Litwę Chłapowski, i reszty naszych litewskich powstań, złożone po większej części ze szwadronów jazdy, nieźle uzbrojonej i na dobrych koniach.

Przez całą noc trwała narada w głównej kwaterze Giełguda, do której wchodziłi generałowie: Dembiński, Chłapowski, Roland, Szymanowski, Tyszkiewicz, wielu pułkowników i do której byli też przypuszczeni celniejsi nasi dowódcy powstań. Nie ustawały po całym obozie skargi i podszepty na naczelników; przypisywano im marnowanie sił i czasu, nieporządek, brak energii i jedności w wojennych działaniach.

Było jednak, wyznać trzeba, już widoczne tak w oficerach jak w żołnierzu osłabienie ducha i ufności w siebie. Oddalenie od głównej narodowej armji i zupełne z nią przerwanie komunikacji, ukazywanie się na licznych punktach, od czasu batalji pod Wilnem, przeważnych sił regularnej armji nieprzyjacielskiej, ciągłe niepowodzenia, marsze nużące bez widocznego celu, bezradność głównodowodzącego: jakże to wszystko nie miało wpłynąć na osłabienie karności i zapasu w starej służby żołnierzu, przyzwyczajonym do surowego porządku i posłuszeństwa. Nasz zaś ochotnik, powstaniec z lasów i partyzantki, do taktycznych zaciągnięty szeregów, widział pomarnowane trudy swoje i ofiarność.

Około roznieconego na polu ogniska siedziało wielu nas Litwinów w towarzystwie Platerówny i nieodstępnej

od niej przyjaciółki. Był tu z nami Macewicz, ponury, smutny, milczący; nieweselsi też byli nasi instruktorowie, z których już ledwo trzech czy czterech zostało i przychodziło do nas wielu z innych pułków i szwadronów towarzyszy. Przez całą noc ciągnęła się naprzemian smutna i niepokieszająca, naprzemian weselsza, ożywiająca rozmowa; pytano się wzajemnie, dokąd idziemy? wszakże już niedaleko brzegi Bałtyku; tu się rozprawić musimy z Moskałem. Mamy siedm do ośmiu tysięcy żołnierza i artylerję i dobrych generałów — a choćby i nam wszystkim wyginąć przyszło, toć nasi już tam pod Warszawą pobili już tylokrotnie — a interwencja Francji! Wszak i Anglicy posyłają nam do Połagi broń i amunicję. Prusacy też nie nam nieprzychylni — wszakże w Memlu, w Królewcu kupcy nam sprzyjają; od nich mamy proch i kule. Takie były rozmowy, do których mało się mieszała Platerówna, blada i spokojna; a kiedy widziała weselszych: „cieszcie się, rzekła, wprowadzą was do Prus na hańbę narodu“. Nie odstępował jednak zupełnie humor właściwy nam Polakom; pozwalano sobie i żartów i gadatliwości, która niekiedy na kłótnie zakrawała.

Czekaliśmy niecierpliwie skutku narady wojennej; przychodziły ni te, ni owe wieści z głównej kwatery. Jednym razem ruch w całym obozie. Uradzono: na trzy korpusy ma się rozdzielić nasze wojsko: najliczniejszy w piechotę, koło trzech tysięcy żołnierza, pod dowództwem Rolanda i Szymanowskiego pójdzie na północ, kierując się ku Memlu czy Lipawie, licząc, jak powiadano, na broń i amunicję z Anglii; Dembiński z półtora tysiącami jazdy i konną artylerją przedzierać się będzie do głównej naszej armji pod Warszawą; Giełgud zaś z Chłapowskim powiedzie resztę sił naszych traktem do Telsz ku granicy pruskiej.

We trzy godziny już każdy z tych korpusów był w marszu, tylko niewiadomą była droga, którą Dembiński miał iść do Warszawy.

Ja trzymałem się mego generała i towarzyszy niedoli.

Ten sam szwadron 1-go pułku ułanów, nieco zmieniony, który z taką radością spotkałem w Zapolu, szedł na przedzie, za nim Chłapowski jechał w towarzystwie

dwóch czy trzech przyjaciół. Przyłączył się do niego legion konny kaliski i drugi nieliczny, złożony z wielkopolanów; tuż za nimi dążył Janusz Czetwertyński z trzema działami konnej artylerji, jako też niewielki oddział powstańców jazdy litewskiej, pułkownik Sołtan i niejeden z luźnych oficerów.

Nie liczył może 1200 ludzi korpus tych, co poszli za Chłapowskim, a byli wszyscy w mniemaniu, że idą pod rozkazami tego generała, kiedy tymczasem przy tylnej straży ujrzelśmy w małym kabriolet jadącego generała Giełguda w towarzystwie brata swego i dwóch czy trzech adjutantów. Wnoszono, że pod rozkazami jego, jako wyższej rangi generała, byliśmy i z tem się nie tał Chłapowski.

Zaraz po wymarszu z Kurszan poniszczyć kazał, nie wiadomo Giełgud, czy Chłapowski, wszystkie wozy, na których były oficerskie bagaże; służbę tylko prywatną zostawiono i to na koniach. Z przyczyny, że główny korpus armji nieprzyjacielskiej popędził za Rolandem, jako najliczniejszym, a jedna część tego korpusu za Dembińskim, nikt nas nie goił.

Podchodząc pod Telsze, słyszymy huk dział daleki za miastem; była to potyczka żmudzkich powstańców z Rosjanami; wymijamy to miasto; widzimy biegnący ku nam poczet ochotników z miejscowego powstania; witają nas radośnie, a po krótkiej rozmowie z Chłapowskim wracają do miasta.

Ach cóż to za miła ta Żmudź! Kraj piękny, żyzny; włościanie zamożni i pobożni; ich domy dobrze budowane, wewnątrz obrazy świętych, zegary, stoły i ławy czyste; gościnność. Smutny przejeżdżałem koło kościółka, gdzie był lud zebrany. Wszedłem pomodlić się i ulżyło mi na sercu. Kiedym wsiadał na konia, starzec, który mi go pilnował, przytrzymując cugle, pocałował w strzemię i podniósł rękę do nieba.

Na trzeci dzień po wyjściu z Kurszan pożegnała się ze mną i Macewiczem Platerówna z wejrzeniem pełnem dumy szlacheckiej i wyrzucając nam gorzko, dlaczego dajemy się prowadzić do Prus, chociaż jeszcze dobrze nie wiedzieli, co nas czeka. Została we wsi ze swoją nadobną towa-

rzyszką i odtąd nikt z pewnością nie wiedział, co się z nią stało i dotąd niewiadomo.

Po południu chmurzyć się poczynąło i obaczyliśmy nienawistny słup na granicy z czarnym namalowanym orłem. Szliśmy jeszcze ze trzy godziny coraz powolniej i zatrzymując się po za granicą pruską.

Około czwartej z wieczora cała nasza kolumna stanęła. Chłapowski posłał adjutanta swego do Giełguda po rozkazy, a gdy posłaniec ów wrócił, poczęło się przejście nasze haniebne do Prus...

W POWIECIE TELSZEWSKIM

(PAMIĘTNIK ONUFREGO JUCEWICZA).

Zdaje się, że przed powstaniem Warszawy, nikt w Litwie i na Żmudzi nie miał ani związku z jego twórcami, ani wcześniej nie był uwiadomiony. Pierwszą wieść o tem przyniosły w grudniu 1830 roku rozkazy do pułków moskiewskich po powiatach konsystujących przysłane. Wprawiała ona w zdumienie wszystkich przywykłych znać nieubłaganą w tej mierze srogość rządu i uważać za niezwykłą potęgę państwa rosyjskiego; lecz obok tego jakby iskrą elektryczną obudziła w sercach wszystkich zatajoną miłość ojczyzny i pamięć dawnej swobody. Pomimo najsurowszą baczność policji, uczucie wolności komunikowało się szybko i cichy ruch rozszerzał się powszechnie. Nikt jednak w początkach nie mógł przypuścić sobie, żeby bez nadejścia regularnych wojsk polskich, Litwa i Żmudź podniosły zakute w kajdany ręce. Każdy niejako przez instynkt domyślał się tylko, że Anglja a szczególnie Francja są sprężyną poruszeń, że wesprą je silnie i że rychło ujrzymy pośród nas wojska, przynoszące swobodę i pierwsze ogniwo siły narodowej. Gdy potem armja moskiewska, posuwając się ku Warszawie, oczyściła znacznie Litwę i Żmudź, gdy raporty Dybicza, które naturalnie za bardzo ubarwione w gazetach rządowych uważać należało, i tak nic jeszcze korzystnego dla ciemieńców nie zawierały; zaczęło w nas tworzyć się przekonanie o mocy i dzielności powstania, słabości sił moskiewskich. Zwycięstwo braci naszych nadwiślańskich zdawało się bliskie i niezawodne; ruch serc i umysłów w Litwie i Żmudzi wzmagał się coraz bardziej, zawsze atoli nie śmiano myśleć o powstaniu bez przybycia wojsk polskich. Tymczasem rząd moskiewski zajął się czynnie i surowo zabieraniem broni wszelkiego rodzaju od szlachty,

włościan i mieszkańców miast. Cesarz wydał srogie ustawy wojenne przeciwko wszystkiemu, co pod jakimkolwiek względem do powstania odnosić się mogło. Od tygodnia do tygodnia wojska polskie nie przychodziły. Niecierpliwość rozżarzała umysły; pomiędzy pospółstwem okazały się najprzód symptomy poruszeń obudzonych przez urojone wieści, na których nigdy gminowi nie zbywa. Sekretnie dostawane niekiedy z Prus i z Warszawy gazety polskie, oraz krążące z rąk do rąk proklamacje i pisma patryjotyczne, działały też zwolna na inne klasy mieszkańców; poczęto nareszcie w Litwie i na Żmudzi myśleć powszechnie o powstaniu własnymi siłami, żeby okazać ducha narodowego i nie dać upośledzić się w sprawie ogólnej.

Tak więc jeszcze w lutym 1831 roku wielu młodych włościan w powiecie telszewskim w parafjach gintylickiej i safantskiej, uprzedzając termin naznaczanego poboru rekruta, wzięło się do oręża pod dowództwem szlachcica Borysewicza i włościanina Giedryma. Lecz prędko zaskoczeni od policji, wspartej przez garnizon miasta powiatowego, nie mogli dotrzymać placu. Ubiwszy kilku nacierających, cofali się w porządku przez mil cztery i weszli do Prus, skąd prócz dowódców i małej liczby, którym skryć się udało, rządowi moskiewskiemu wydani zostali.

Ten niepomyślny koniec pierwszego poruszenia nie zraził bynajmniej patryjotów. Uważano je albowiem raczej za skutek zwykłych usiłowań uniknienia rekructwa, niż za początek ogólnego powstania. Rząd moskiewski jednak inaczej mniemał. Skoro zwyczajnym porządkiem poszły o tem raporty do władz wyższych, z rozkazu samego cesarza Mikołaja, adjutant jego przyboczny, pułkownik Mantejfel i urzędnik wileńskiego wojennego gubernatora, pułkownik Kachowski, wysłani zostali do Telsz, żeby wysledzić i w zarodzie stłumić powstanie. Dla wsparcia zaś ich działań kazano ruszyć z Kowna na Żmudź pułkownikowi Bartholomejowi z bataljonem piechoty, z dwoma szwadronami pionierów gwardyjskich, z setnią kozaków i z czterema działami.

Tymczasem nim te kroki ze strony rządu przysły do skutku, zapal i niecierpliwość umysłów wzrosły do najwyż-

szego stopnia. Przyczyniło się do tego niemało naznaczenie na dzień 15-go marca st. st. poboru rekruta i nakazanie magazynów zbożowych z całej Litwy i Żmudzi do Dolistowa za Grodno. Zaczęli przybywać emisariusze z Warszawy, zawiązały się rady i komunikacje między obywatelami miejscowymi; poczęto powołać, mianowicie na Żmudzi, przysposabiać i zakupować broń, proch i ołów; słowem powstanie przyszło nieznacznie do dojrzałości i czekało tylko iskry, któraby je zapaliła. Z pomiędzy najczynniejszych patryjotów żmudzkich, Ezechjel Staniewicz, obywatel powiatu rosieńskiego, pojechał sam pod koniec marca do miasta portowego kurlandzkiego Lipawy, niby dla sprzedaży zboża, w istocie zaś dla zakupu prochu. Za powrotem jego miał być umówiony dzień do rozpoczęcia jednocześnie na wszystkich punktach powstania.

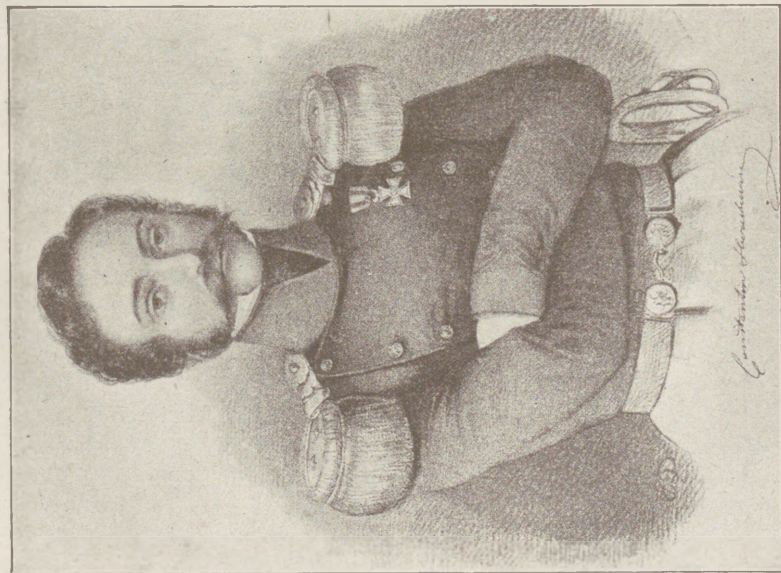
W tym czasie bardzo już mało było sił moskiewskich na Żmudzi. Znajdowały się tylko po miastach powiatowych garnizony z komend inwalidnych złożone, w każdym do 150 ludzi, a nad granicą pruską od Jurborga do Połangi, straż z dymisjonowanych huzarów, w ogóle mniej więcej 600 ludzi wynoszące.

Gdy Ezechjel Staniewicz z powodu choroby na czas zadeterminowany z Kurlandji nie wracał, i przeto zaczęto lękać się o jego uwięzienie i wykrycie się osnowy powstania; gdy termin poboru rekruta zbliżał się, a włościanie rachując na niezawodne powstanie, poodbijali w niektórych większych dobrach ludzi na rekrutów pobranych; gdy Mantejfel i Kachowski pod koniec marca zjechali do Telsz na śledztwo i Bartholomej wybierał się już z Kowna; to wszystko pobudziło obywateli powiatu rosieńskiego: Juljusza Grużewskiego, Józefa Rymkiewicza, Ignacego i Zenona Staniewiczów, Dobrosława i Stanisława Kalinowskich, Strawińskiego i innych do rozpoczęcia dzieła, nie czekając powrotu Ezechjela Staniewicza.

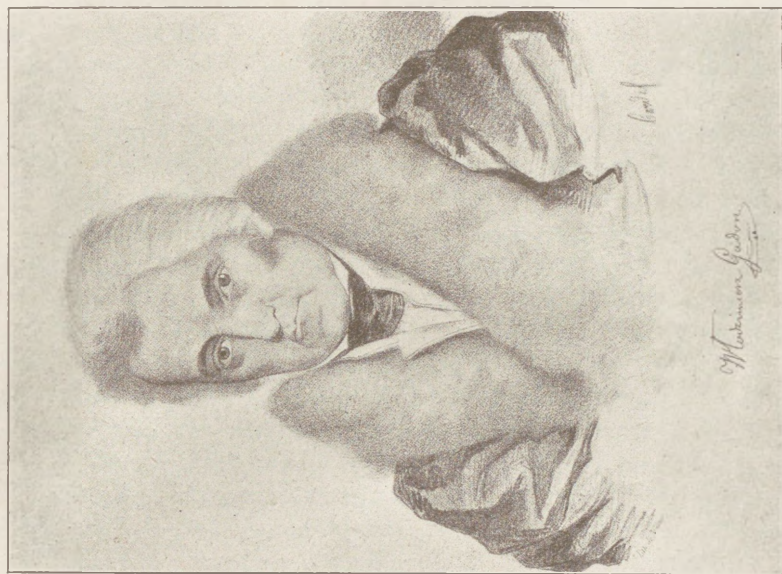
Jakoż zebrawszy naprędce lud ile można było uzbrojony, dnia 26 marca n. st. rozbroili i zabrali garnizon, oraz straż pograniczną, z której ledwo 200 ludzi zdołało się schronić do Prus. Wnet wysłani zostali z Rosień emisariusze do Telsz i Szawel z uwiadomieniem o tem. W powiecie

telszewskim, w parafjach janopolskiej i worniańskiej, Józef Syrewicz, zgromadziwszy do stu uzbrojonego na jak się udało na pierwszy raz ludu, 27 marca podsunął się już o półtrzeciej mili pod Telsze. Nazajutrz wieczorem Dominik Dowbor, zebrawszy w mieście młodzież i niektórych mieszkańców, wsparty przez przybyłych z powiatu, Jakóba Tomkiewicza, Józefa Gedrojcia i innych, wystąpił zbrojnie. Skoro dano kilka wystrzałów, Mantejfel i Kachowski, otoczeni na wozach częścią garnizonu i policjantami opatrzonymi w broń bagnetową, uciekli zaraz do Kurlandji drogą na Siady i Tryksze; reszta komendy inwalidnej z dwoma oficerami zamknęła się w turmie miejskiej, gdzie napadnięta w nocy rozbrojoną została. Zdobyto tym sposobem około stu karabinów z bagnetami i dwa tysiące ładunków. Dniem przed wypłoszeniem urzędników moskiewskich, Ezechjel Staniewicz, powracając z Lipawy, przejechał przez Telsze i udał się na Szawle. Pobudzone przez niego powstanie w powiecie szawelskim, w kilka dni później pod dowództwem Franciszka Szemiotha i Konstantego Herubowicza wykonane zostało.

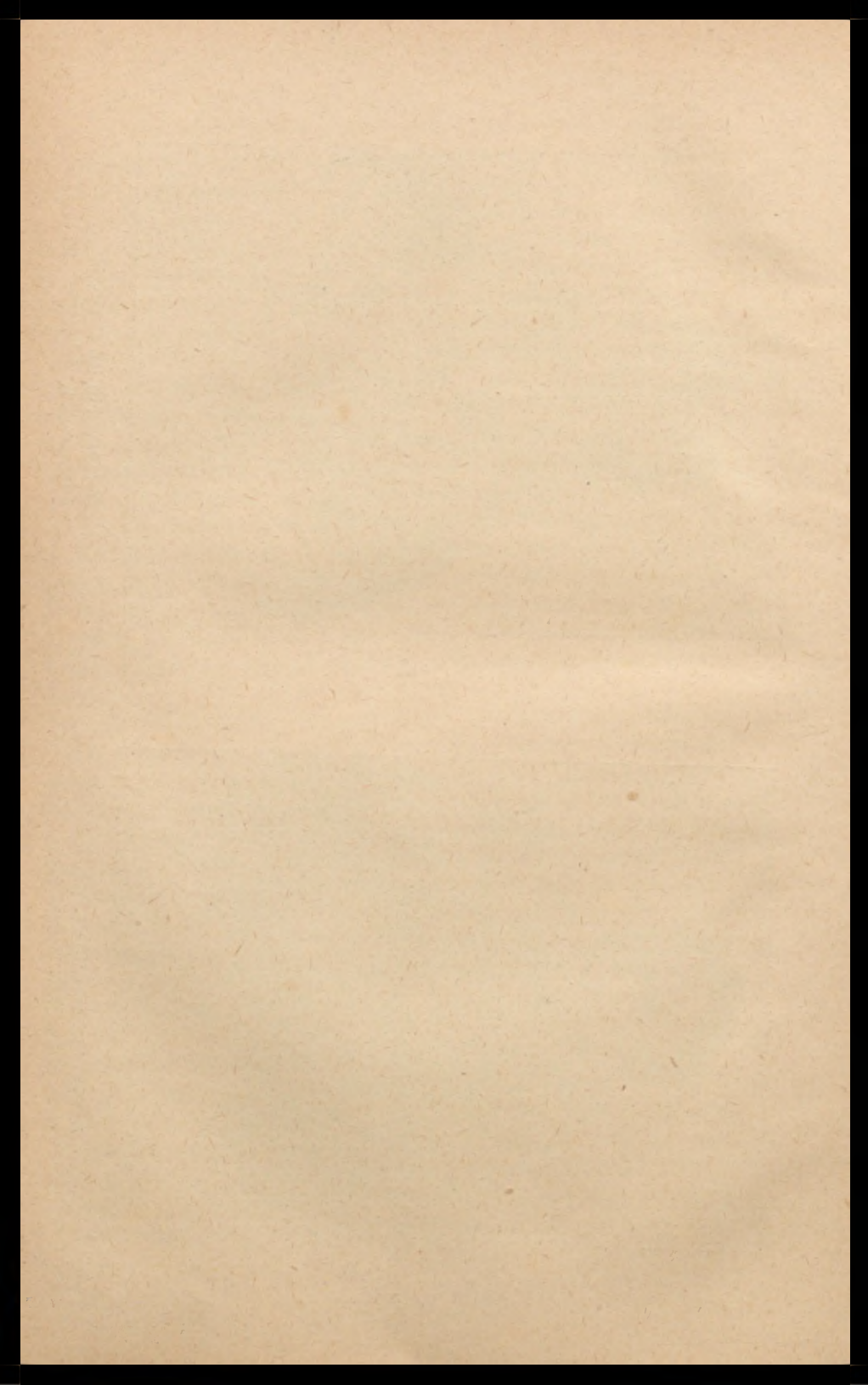
W Rosieniach na czele rządu powiatowego stanęli: Józef Rymkiewicz, Juliusz Grużewski i Ignacy Staniewicz; dwaj ostatni bardzo jeszcze młodzi ludzie. Dopiero w dni kilkanaście potem, już po wejściu do Prus pułkownika Bartholomeja, zebrane obywatelstwo powiatu rosieńskiego, powołało na naczelnika swego Ezechjela Staniewicza i powierzyło mu władzę dobrania dalszych członków rządu. Staniewicz wezwał ku pomocy sobie obywateli sędziwych, a uprzedni przeszli na dowódców oddziałowych siły zbrojnej. W Telszach nazajutrz po dopełnionem powstaniu zebrali się obywatele z powiatu i udawszy się do kościoła księży bernardynów, w patriotycznym uniesieniu sporządzili, podpisali i przysięgą stwierdzili formalny akt powstania, a mnie jako od wielu zaszczyconego ich ufnością, obrali i jednogłośnie wezwali na swego naczelnika czyli dowódcę w przedsięwziętem dziele. Na moje zaś przełożenie, tak dla załatwienia czynności w rozmaitych gałęziach administracji wewnętrznej, jako też dla ciągłej reprezentacji narodowej, ustanowili rząd w powiecie, mający tymcza-



KONSTANTY HERUBOWICZ
wódz powstańców szawelskich



WŁODZIMIERZ GADON
wódz powstania telszewskiego.



sowe atrybucje najwyższej władzy narodowej, powierzając go obywatelom z wieku, cnót i zasług najgodniejszym. Pierwszym członkiem tego rządu był obywatel Włodzimierz Gadon, który w trzecim już powstaniu dał dowody poświęcenia się i patriotyzmu, a który dopiero przez cały ciąg był jednym z najczynniejszych urzędników cywilnych. W kilka dni potem, gdy potrzeba utrzymania porządku w powiecie i zaprowadzenia karności wojskowej wymagały tego, rząd powiatowy na fundamencie uchwał narodowych 1794 roku, zaszczycił mię rangą generała majora, z władzą nadawania stopni oficerskich aż do pułkowniczych. Nieco później zaś udzielił mi prawo miecza, czyli karania śmiercią, na mocy ustaw hetmańskich W. X. Litewskiego, każdego od najwyższego do najniższego stanu ludzi. W Szawlach, naczelne dowództwo dzielili między siebie Franciszek Szemioth i Konstanty Herubowicz, a rząd cywilny składał się podobnie z obywateli powiatu. Po powstaniu szawelskiem poszły zaraz z kolei powstania na Litwie: w upitskim, w wiłkomierskim, trockim, wileńskim, oszmiańskim i zawilejskim, które w części połączyły się później pod dowództwem Karola Zafuskiego. Od tych zbrojne poruszenia rozciągnęły się dalej w gubernję mińską, grodzieńską, na Ruś i t. d.

Organizacja powstania w każdym prawie powiecie była różna. Wszystkie jednak powiaty dały niezaprzeczone dowody, iż nie anarchja rewolucyjna, ale prosta chęć odzyskania swobody i bytu narodowego, były gruntem ich przedsięwzięcia. Wszystkie bowiem natychmiast po podniesieniu broni zaprowadziły administrację i porządek, ile możność pozwalając, ubezpieczając osoby i własność prywatnych. Mimo różnicę form wszystkim to było wspólne, iż młodszy i zdolniejsi mieli sobie powierzona się zbrojną, starszych wiekiem wzywano do rządów. Tym sposobem każdy powiat stanowił niejako osobną rzeczpospolitą, a jeden cel i jednakie chęci łączyły je nieprzerwanym ogniwem. Wewnętrzne te urządzenia zmieniły się wprawdzie niezadługo z powodu napływu i rozsypania się po kraju znacznych wojsk nieprzyjacielskich. Natenczas rządy powiatowe nie mogły ostać się w swoim kształcie i rozpięchły się jedne

po drugich, a z ich władzą cały ciężar obowiązków złał się na samych naczelników siły zbrojnej, którzy i kierunek obrotów wojennych i zadośćuczynienie potrzebom administracyjnym na siebie przyjąć musieli.

Otrzymawszy naczelné dowództwo siły narodowej powiatu telszewskiego, wziąłem się natychmiast całą mocą duszy i ciała do utworzenia wojska jako istotnej i najpierwszej zasady przedsięwziętego dzieła. W tym celu nominałem zaraz zdolniejszych i zaufańszych obywateli na szefów oddziałowych; przeznaczyłem dla każdego z nich po kilka parafij, w których powinni byli zebrać i ukształcić wojsko podług regularnego rozkładu w miarę ludności, to jest wybierając z dwóch dymów po jednym pieszym, a z dziesięciu dymów po jednym konnym żołnierzu, z bronią i ubiorem, ile można uniformowym, co miało wynieść na cały powiat telszewski pięć tysięcy piechoty i tysiąc jazdy. Dałem tym szefom ogólne instrukcje względem organizacji siły zbrojnej i środków obrony w nagłych razach. Naznaczyłem każdemu punkta i przestrzenie działań; dla jedności i większego skutku w obrotach, włożyłem obowiązek przysyłać mi o zasłanych wypadkach raporty dwa razy na dzień, a jeśliby potrzeba wymagała i częściej; we wszystkim zaleciłem stosować się do rozkazów, jakie odemnie odbierać będą. W każdym oddziale mianowałem oficerów; dawnych wojskowych, tak polskich jak i rosyjskich, znajdujących się w powiecie, a godnych ufności, użyłem w części za dowódców oddziałowych, w części za instruktorów po oddziałach i w mieście Telszach, gdzie założyłem ogólną szkołę instrukcyjną dla oficerów, podoficerów i żołnierzy, w której ćwiczyło się wojsko ze wszystkich oddziałów, częściami brane naprzemian. Zgromadzeni z całego powiatu rzemieślnicy, tak w mieście jako i przy oddziałach, zatrudniali się ciągle pod najlepszym dozorem, reparacją nędznej włościańskiej broni, sporządzaniem wozów, skrzyń amunicyjnych, tornistrów, patrontaszów i dalszych potrzeb dla żołnierza. Z sukna ze starych mundurów i kaszekietów, któreśmy znaleźli w magazynach porzuconych przez Moskali, robiły się głównejsze części ubiorów wojskowych. Ofiarowane przez

księży dwa stare czterofuntowe działa, odesłałem do osadzenia na lawety do fabryki armat w powiecie telszewskim, w miasteczku Worniach założonej. A gdy rząd powiatowy przy najgorliwszej pracy obywatela Włodzimierza Gadona zajmował się właściwemi sobie czynnościami, ja tymczasem, skutkiem ciągłych trudów i dzielnej pomocy moich podwładnych, zdołałem dokazać tyle, iż pomimo ustawiczne walki od samego początku do końca powstania, w przeciągu krótkiego czasu miałem całą prawie siłę podług uchwalonego rozkładu zebraną z powiatu i wszędzie odpierałem wdzierającego się z Kurlandji i od Połangi nieprzyjaciela.

K Trzeciego dnia po dopełnieniu powstania w Telszach pewien szlachcic, zebrawszy z własnej woli w znakomitych dobrach Dorbiany zwanych, które łączą się z Połagą, kilkuset włościan prawie bez broni, a zgoła nieorganizowanych, umyślił uderzyć na Połagę, gdzie się zebrało do dwóchset huzarów straży granicznej przeszłych przez Prusy, i gdzie była tamoźnia czyli komora celna. Lecz w znacznej jeszcze odległości wzniósłszy krzyki, a tym sposobem ostrzegłszy Moskali o swoim zbliżaniu się, wpadł w ich zasadzkę i przy nierównie większych od nieprzyjacielskich siłach, rozproszony został ze stratą niemałą w ubitych i ranionych. Ten lubo patriotyczny, lecz nierozważny postępek jego sprawił wielce szkodliwy wpływ na ducha ludu w tamiecznych okolicach i sparaliżował obszerne parafje na cały czas powstania.

Lecz że Połaga, miasteczko odwiecznie żmudzkie, nad brzegiem bałtyckiego morza w wąskim klinie między Prusami i Kurlandją leżące, tylko przez ukaz cesarza Aleksandra w ostatnich latach jego panowania do Kurlandji przyłączone, było teraz punktem nader ważnym, tak ze względu komunikacji lądowej między Rosją a Prusami, jako też z przyczyny obiecywanych nam dostaw morzem, rozkazałem więc szefowi oddziałowemu parafji przyległych, Jagiełłowiczowi, żeby z urządzonym ile możności naprędce oddziałem, opatrzywszy się w broń i amunicję, Połagę zdobył, garnizon moskiewski zabrał lub przynajmniej wyparł. W początkach kwietnia Jagiełłowicz zaatakował Połagę,

ale z powodu osłabionego ducha w tamecznym ludzie przez pierwszą niepomyślną wyprawę, po krwawej utarczce i znacznej z obu stron w poległych i ranionych stracie, zmuszony został cofnąć się o mil dwie ku Kretyndzie i Dorbianom. Za powtórzonem jednak na trzeci dzień (5 kw.) usiłowaniem, opanował miasteczko i po bitwie, w której podobnie obie strony poniosły szkodę, załogę moskiewską wpędził do Prus. Wkrótce atoli (8 kw.) Moskale w Prusiech wzmocnieni przez zasiłki z Kurlandji, wrócili do boju, dla wyparcia powstańców ze wszech stron zapalili Połagę, zniszczyli ją ze szczętem i, zmusiwszy Jagiełłowicza do odwrotu, kilkakrotnie atakowali go w Dorbianach i Kretyndzie. Wsparty poruszeniami dalszych formujących się oddziałów Jagiełłowicz, zawsze z korzyścią odganiał nieprzyjaciela. W tych akcjach Moskale również jak Połagę, spalili miasteczko Dorbiany z kościołem; Kretynę zaś jako własność moskiewskiego szlachcica Zubowa oszczędzili od ognia; przytem wielu włościan, kobiet i dzieci pomordowali najniewinniej, czy to z rozkazu swoich zwierzchników, dla przerażenia powstańców, czy z instynktu własnego barbarzyństwa.

Nie można w tem miejscu pominąć czułego wspomnienia i wdzięczności dla kupców miasta pruskiego Memla, którzy przejęci słuszością naszej sprawy, przyjeżdżali często do oddziału Jagiełłowicza i z największą ryzyką własną dowozili mu w darze broni, prochu, skałek, ołowiu i sukna na umundurowanie się oficerów, a biednych mieszkańców, wyszłych z pogorzelsk i osiadłych pod gołym niebem u granicy pruskiej, opatrywali w pierwsze potrzeby życia.

Wśród namienionych wyżej około Połagi potyczek, pułkownik moskiewski Bartholomej, posuwając się, jak się już rzekło, do Kowna, wkroczył szóstego czy siódmego dnia po powstaniu w powiat rosieński. Powstańcy rosieńscy zastąpili mu drogę nad rzeką Dubissą pod Plemburgiem, lecz po żwawej utarczce odparci zostali. Bartholomej, który przez cały czas działania na Żmudzi, oznaczył pobyt swój rabunkiem i rozmaitemi okrucieństwami, spalił zabudowania dworne w Plemburgu, dobrach obywatela Dowgirda, spokojnie siedzącego w domu, i nie znajdując już dalej oporu

zajął Rosienie. Wkrótce dowódcy powstania, zebrawszy lud z parafji, otoczyli Bartholomeja w mieście powiatowem, lecz ten napadłszy niespodzianie na Widukle, miasteczko o mil dwie od Rosień odległe, rozproszył główne ich siły i wzniciwszy pożogę, wielu ludzi spalił w domach, które umyślnie zamykać kazał. W tym napadzie zginął waleczny Narbut, oficer z korpusu inżynierów, który podczas powstania znajdując się na Żmudzi, dobrowolnie przyłączył się do szeregów narodowych; oficer powstańców zaś Bowblewicz, skłuty, zraniony i za nieżywego na placu zostawiony, powrócił potem do życia. Po tej klęsce naczelnicy powstania rosieńskiego: Ezechjel, Ignacy i Zenon Staniewiczowie, Józef Rymkiewicz, Dobrosław i Stanisław Kalinowscy, Juljusz Grużewski i jego pomocnik, waleczny Karol Jawtok, Józef Urbanowicz, Suchorzewski, Strawiński, Bohdanowicz, Surkontowie i dalsi, podwoiwszy usiłowania, zebrali lud rozpierzchnięty, a wsparci posiłkiem z Szawel pod dowództwem Konstantego Herubowicza i Franciszka Szemiotha nadeszłym, znowu ze wszech stron opasali nieprzyjaciela. Bartholomej w kilku próbach odporu spustoszywszy znaczną część swojej amunicji działowej, stracił ducha i w niepewności czy ma zdać się, czy uciekać, zdecydował się wkońcu na rejteradę do Prus, bardziej przed własnym strachem, niż przed istotną siłą przeciwników. Lubo bowiem oblegało go więcej trzech tysięcy ludzi, ale ci zgola jeszcze nie byli uorganizowani, mało mieli broni i ledwo po kilka ładunków na strzelbę. Oblegający, przeprowadziwszy z pół mili uchodzącego Bartholomeja, wrócili do Rosień; on zaś w dalszej drodze napastowany przez inne oddziały powstańców rosieńskich, pośpieszył odbudować zrujnowany most na rzece Szołtonie i około Jurburga wszedł do Prus, gdzie opatrzony w amunicję, niezwłocznie wkroczył przez Memel do Połagi. Po ujściu Bartholomeja do Prus, siła zbrojna szawelska wróciła w swój powiat i tak ta, jak rosieńska, zostając odtąd przez kilka niedziel w spokojności, miały czas organizować się i wzmacniać, aż nim generał-gubernator ryski Pahlen, generałowie Szyрман, Суліма, Malinowski, pułkownik Bartholomej i inni, wspólnie

obrócili atak na powiat szawelski i rozprzestrzenili się po całej Żmudzi...

Nieco przed temi ostatnimi wypadkami, emisariusze przysłani z Warszawy nalegali usilnie, żeby koniecznie zdobyć Połagę, ponieważ pod koniec kwietnia, lub w początkach maja, broń i amunicja miała podpłynąć na okręcie angielskim. Do dziś dnia pojąć nie mogę, czy się mylono, czy też nas tylko łudzono tą nadzieją, nic bowiem nie stwierdziło, aby w tym czasie jaki statek zawinął, albo chciał zawinąć z zasiłkiem dla nas. Cokolwiekbydź, wszyscy poczęli skłaniać mię natarczywie, żebym z główną siłą mojego powiatu zdobywał Połagę. Widziałem bardzo dobrze, iż z wojskiem powstania wtedy tylko można coś zdziałać, kiedy to jest rozprzestrzenione na wielu punktach; przeciwnie zaś skupione w jedno miejsce i wyprowadzone do otwartego boju, za pierwszą porażką niepowetowanej klęsce ulec może. Nie mogłem jednak oprzeć się naleganiom emisariuszów i rządu powiatowego. Zatrzymawszy więc w Telszach dla miejscowej straży do 150-ciu ludzi z oddziału J. H. sprowadzonych, a resztę jego oddziału zostawiwszy na obserwacji od granicy kurlandzkiej koło Pikiel, równie jak część oddziału A. G. koło Szkud, i wyżej wymienioną załogę 180 ludzi w Worniach, całą rezerwę w Telszach będącą, a złożoną z czterech oddziałów piechoty pod dowództwem Onufrego Kamieńskiego, Dominika Dowbora, Jakóba Tomkiewicza i Leonarda Urbanowicza, w ogóle 600 ludzi, oraz z dwóch szwadronów jazdy pod dowództwem B. R. i S. w ogóle 300 ludzi, nieco w ćwiczeniach wojennych udoskonaloną i po większej części w niejakowe uniformy ubraną, razem też wszystkie dalsze oddziały znacznie już, jak się rzekło, zmniejszone, posunąłem w początkach maja do Dorbian, dla wspólnego działania z oddziałami ciągle utrzymującymi się koło Kretynki. Na to przedsięwzięcie przygotowałem ze 20.000 ładunków karabinowych; miałem już osadzone na lawety w Worniach dwie armaty, do których z fabryki wspólnem staraniem powiatów żmudzkich założonej w Retowie, przysłano mi 40 nabojów kulowych i kartaczowych, a oficer z weteranów artylerji

Królestwa Polskiego, usposobił na prędcę drugiego oficera, Nędzińskiego, tudzież podoficerów i kanonierów.

Siła tedy moja na zdobycie Połągi była taka: w Kretyndze S. T. miał piechoty z jazdą do 600, Dobrosław Kalinowski samej jazdy rosieńskiej do 200 ludzi; w Dorbianach cztery kompanje piechoty i dwa szwadrony jazdy z Telsz przybyłe, nadto oddziały M. W., M. Ł., K. H., A. G. i Józefa Moncewicza, w ogóle przeszło 1.800 ludzi. W tej liczbie, piechoty w broń ognistą uzbrojonej było do ośmiuset, reszta miała tylko kosy i piki.

Nie mając żadnych już prawie komunikacji z innymi powiatami Żmudzi i nie wiedząc co się w nich działo, po skoncentrowaniu 5 maja sił moich w Kretyndze i Dorbianach, uczyniłem potrzebne rozrządzenia do ataku Połągi na dzień 9 tegoż miesiąca o świcie, jednocześnie z obu stron od Kretynki i Dorbian. Ulewny deszcz, wzbraniający użycia najważniejszej naszej broni, to jest strzelb bez bagnetów, przeszkodził temu postanowieniu. W nocy z dnia 8 na 9 maja wydałem rozkazy do marszu na noc następną, lecz nieustanna ślota zmusiła mię wstrzymać się jeszcze. Gdy zaś 10 maja rano wypogodziło się nieco, postanowiłem nie zwlekając dłużej, atakować w dzień Połagę. Poślawszy więc o świcie stosowny rozkaz do Kretynki, zająłem się w Dorbianach uporządkowaniem oddziałów do szturm. Pośród tej czynności, patrol doniósł mi, że we wsi Sękajciach o półtorej mili od Dorbian między Kretynką i Połagą, pokazało się kilkadziesiąt jazdy moskiewskiej w zamiarze jakoby rabunku. Poślałem natychmiast oficera z mojego sztabu A. C. w pięćdziesiąt koni dla odpędzenia wycieczki. Oficer ten zbliżywszy się ku Sękajciom, postrzegł, że nie kilkadziesiąt jazdy dla rabunku, ale nadto bataljon piechoty z kilku działami wyruszył z Połągi na Kretynkę, wyparł stamtąd nasze oddziały i opanował miasteczko; wyprowadziwszy więc do mnie raport o tem, stanął sam na drodze od Kretynki do Dorbian w obliczu wedet nieprzyjacielskich. W chwili kiedy otrzymałem to doniesienie, druga kolumna moskiewska z dwóch bataljonów piechoty, szwadronu jazdy i dwóch dział złożona, przez niebaczność patrolu często zdarzającą się w wojsku powstania, podeszła od Połągi

pod same Dorbiany. Ponieważ oddział Moncewicza ze wszystkich najliczniejszy, bo do 400 ludzi liczący, miał pozostać w Dorbianach, tak dla straży przy bagażach, jako też dla obserwacji od wsi Rycyszek między Połągą a Rucawą, u samej granicy kurlandzkiej położonej, gdzie nieprzyjaciel pilnujący oszańcowanego mostu na rzece Świętej, podczas działania pod Połągą mógłby uderzyć na moje wojsko ztyfu, a dla tej przyczyny oddział takowy nie był ruszony ze swego stanowiska, które zajmował przy drodze z Połągi do Dorbian w lasku kilkaset kroków szerokim i przytykającym do miasteczka; kazałem więc natychmiast Moncewiczowi, żeby rozstawiwszy w lasku strzelców swoich, wstrzymywał nieprzyjaciela przynajmniej póty, póki dalszych oddziałów nie wyprowadzę z ogrodzonego placu, w którym dla uszykowania zgromadzone były. Również oficerowi, który z pięciudziesiąt jazdy stanął na drodze od Kretynki, posłałem rozkaz, żeby ile możności dawał odpór w swojej stronie. Niezwłocznie zaś oddział piechoty Onufrego Kamińskiego, dodawszy mu część oddziału A. G., ruszyłem na lewo na drogę od Połągi przeciw głównej sile nieprzyjacielskiej. Artylerję z oddziałem piechoty Dowbora i kilkudziesiąt jazdy dla zasłony, umieściłem w środku linii na wzgórku koło gruzów kościoła. Oddział Tomkiewicza posunąłem w prawo ku młynowi wodnemu pod las, kędy prowadziła do miasteczka mała drożyna, na której ukazywała się już jazda moskiewska. Urbanowicza posłałem na koniec prawego skrzydła ku mostowi rzeki Świętej, dla odpierania nieprzyjaciela, jeśliby zamierzał obejść nas tędy. Resztę piechoty zostawiłem w rezerwie, a kawalerję rozdysponowałem na obu skrzydłach w stosownych miejscach.

W ciągu tych rozrządzeń nieprzyjaciel atakował już Moncewicza. Żołnierze jego, jak się wyżej namieniło, skłonni do rozsypki, po krótkim, chociaż gęstym ogniu, rozpieczętnęli się na wszystkie strony i nim dalsze oddziały moje wydefilowały z zagrody, Moskale zajęli las i posunęli się aż pod miasteczko. Wtem lewe skrzydło nasze, zasłonięte z boku przez długie bagno i nadto od Kretynki przez uprzednio posłany oddział jazdy, zdążyło pod prze-

wodnictwem dodanego przezemnie oficera sztabu mojego, Józefa Syrewicza, za gruzy miasteczka i spotkało się z nieprzyjacielem. W jednymże prawie czasie oddziały Tomkiewicza i Urbanowicza, poruczone oficerowi sztabu S. C., posuwając się na prawem skrzydle, odparły jazdę nieprzyjacielską i zawiązały ogień z piechotą. Nieprzyjaciel wytoczył na drodze działą, którym nasze przez weteranów polskich i Nędzyńskiego kierowane, wnet zaczęły odpowiadać tak szczęśliwie, iż zaraz po kilku wystrzałach jedno działą zdemontowane zostało. Ciągłe tymczasem ataki jazdy i piechoty nieprzyjacielskiej na artylerję naszą, Dominik Dowbor silnie odpierał. Bój takowy zaczął się około godziny ósmej zrana. Po trzech godzinach rżęskiego ognia, gdy oba wojska, mianowicie na lewem naszym skrzydle już tylko o pięćdziesiąt kroków strzelały do siebie, wielu żołnierzy naszych, szczególnie z rezerwy, oraz kosynierów i pikinierów, nie wytrzymując gęstego świstu kul, zaczęło zmykać do lasów otaczających Dorbiany, tak że ani prośby, ani groźby i płazy, ani zastawianie ztyfu jazdy nie mogło ich wstrzymać. Widząc silny postęp nieprzyjaciela i rozpierchanie się naszych, zmuszony byłem wyprowadzić bagaże z miasteczka na bezpieczniejsze miejsce; Moskałe też zaraz przełamali prawe nasze skrzydło i zmieszawszy nieco Tomkiewicza i Urbanowicza, wdarli się aż do środka Dorbian. Tym sposobem artylerja nasza, również jak oddziały Kamieńskiego i Dowbora będąc zagrożone ztyfu, musiały cofnąć się za miasteczko na pole w stronę Ławkożem, gdzie gdy się bliżej skoncentrowały z oddziałami Tomkiewicza i Urbanowicza, natarły silnie na nieprzyjaciela i wyparłszy znowu z Dorbian, zmusiły do całkowitego odwrotu. Moskałe uchodząc zniszczyli ostatnie dwa czy trzy napół zrujnowane domy, zabili młynarza, kilkanaście kobiet i dzieci kryjących się pomiędzy gruzami pokłuli i poranili. — Powyżej wymienione oddziały nasze poszły za uciekającym nieprzyjacielem i przy ciągłym odstrzeliwaniu się z jego strony, ścigały go do godziny czwartej po południu, pędząc przeszło dwie mile, aż blisko Połągi. Cała siła moskiewska możeby nawet była rozbitą i zabraną, lecz ponieważ jazda nasza, jak i w całym powstaniu tak

i tu nie przynosiła w bojach skutecznych działań, nieprzyjaciół zdołał uratować się ucieczką.

Gdy tym sposobem Moskale wpędzeni zostali za szaniec Połągi, żołnierze nasi, uradowani ze zwycięstwa, lubo zmęczeni całodziennym trudem, chcieli, aby bez wypoczynku uderzyć na Połagę. Zważając jednak, iż szeregi moje, nadzwyczajnie zmniejszone i zmordowane, mogłyby nie wytrzymać natarcia świeżych sił nieprzyjacielskich z Połągi, że większa część nadciągających z lasów oddziałów naszych była w największym nieładzie, a przeto dalszy atak, bez poprzedniego uporządkowania rozpieczętych żołnierzy, mógłby odniesione zwycięstwo zakończyć całkowitą porażką i rozsypką naszą; gdy przy tem ledwo kilka zostawało mi ładunków armatnich, a karabinowych wszystkich zapas ze skrzyń amunicyjnych w czasie boju rozdany, prawie zupełnie zużyty być musiał, żołnierze nasi albowiem, mając strzelby bez bagnatów i dlatego nie chcąc blisko przypuszczać nieprzyjaciela, a co największa niewdrożeni należycie do karności i nie znając komendy bębna, pustoszyli nierównie więcej nabojów, niżeli potrzeba wymagała i niżeliby wojsko regularne w podobnych razach wystrzelało; z tych więc uwag nie mogąc zaraz atakować Połągi, zwróciłem oddziały moje do Dorbian dla uszykowania ich i przysposobienia amunicji. Gdy się to działo, oddział rosyjski zajmujący Kretynę, który zapewne miał poruczenie po wyparciu stamtąd powstańców ruszyć na Dorbiany dla wspólnego działania z oddziałem wprost tu z Połągi wyprawionym, postrzegłszy 50 koni jazdy z początku wysłanych przezemnie na zwiady, parł je przed sobą i posuwał się zwolna do Kretynki; lecz powziąwszy wiadomość o porażce pod Dorbianami głównej siły swojej, wziął się zaraz do odwrotu. Ponieważ zaś mógł lękać się, żeby powstańcy wyrugowani z Kretynki nie uderzyli nań ztyłu, udał się przeto nie już nazad przez Kretynę, ale prosto do Połągi mając dróżkę przez lasy, i tym sposobem niespodziewanie wpadł na arjergardę konną wracającego z pod Połągi naszego wojska, a mając przewyższającą siłę, ranił dowodzącego szpicą arjergardy porucznika Augustyna Giedrojcia, zabrał go w niewolę i ubił nam trzech żołnierzy. Zaraz

wszakże za zwróceniem się w pomoc napadniętym jednego szwadronu jazdy i części piechoty naszej odparty został i musiał cofać się do Połągi. Poczem wszystkie oddziały moje i 50 koni obróconych ku Kretyndze wróciły do Dorbian, a T. z Kalinowskim znowu zajęli Kretynkę.

W tej wielkiej, jak dla nas, bitwie pod Dorbianami, której ogień trwał osiem godzin, a przez kilka godzin był tak natarczywy, że kule karabinowe moskiewskie przenosiły aż za nasze rezerwy, z powodu złego strzelania Moskali, straciliśmy tylko trzydziestu ludzi w ubitych i ranionych. Nieprzyjacielskich czterdziestu i pięciu żołnierzy, dwóch oficerów i trzy konie zagrzebaliśmy na placu, dziewięć wozów ładownych ich rannymi uszło do Połągi, w niewolę wzięliśmy kilku żołnierzy. Moi oficerowie wszyscy prawie i większa część żołnierzy, lubo bez doświadczenia, bez należytej wprawy i można powiedzieć bez broni, dali dowody waleczności i poświęcenia się za ojczyznę. Obywatele z litewskiego powstania dwoma dniami przed bitwą przybyli do Dorbian, Ludwik Zambrzycki, Jan Grotkowski, Michał Kontkowski, i emisariusze z Warszawy, Michał Wołłowicz i Leon Przecławski, walcząc pieszo jako ochotnicy przy oddziale Kamińskiego, przez cały czas boju stawili najpiękniejszy przykład zapału i odwagi. Pomiędzy oficerami sztabu mojego piętnastoletni chłopcy W. G. i Kamil Huwald, w obowiązku adjutantów, z dojrzałym męstwem wśród gradu kul, wykonywali tak jak wszyscy dawané im zlecenia...

W tym czasie znaczne wojska moskiewskie plądrowały już po powiatach szawelskim i rosieńskim. Powstańcy tych powiatów, rozproszeni i poczęści rozbici, znajdowali tylko przytułek w lasach i przyjęli za jedyny plan unikać wszędzie spotkania się z nieprzyjacielem, aby ile możności utrzymać powstanie do spodziewanego czasu nadejścia regularnych wojsk polskich. Rząd też telszewski, nie widząc się bezpiecznym w powiatowym mieście, z kasą i papierami usunął się 8 maja do Pflugian. Wyprowadzony od Pahlana z Kurszan z tajnymi poleceniami kanonik Rupejko został przez nasze władze wojskowe zauważony w Łuknikach, przytrzymany w Telszach i dostawiony pod strażą do Pflugian. Wiózł on z sobą manifesty cesarza Mikołaja, pioru-

nujące na nas i odezwy biskupa żmudzkiego, księcia Szymona Giedrojcia, wziętego z Petersburga i wożonego przez Moskali po Żmudzi. Prezes rządu powiatowego W. Gadon, czując potrzebę tak uwiadomienia mię o ruchach nieprzyjacielskich, jako też objawienia całemu rycerstwu oburzających wezwań monarszych, razem z pojmanym emisariuszem przybył d. 12 maja do Gruszałek, gdzie była natenczas główna kwatera zbrojnej siły naszej. List biskupa adresowany do mnie jako do naczelnika tej siły, zawierał wyrazy: „że wszystko już stracone, że stoimy nad przepaścią, że cesarz szle na nas Kirgizów i Baszkirów i dalsze dzikie narody; że powinniśmy poznać obłąkanie nasze i zdać się na łaskę monarchy; że dla zrobienia układów względem poddania się, mogę albo sam przybyć, albo przysłać parlamentarza do generała Pahlena, podług formy przepisanej w tymże liście. Przeczytawszy pisma w obliczu oficerów moich, postąpiłem tak, jak każdy prawy obywatel postąpiłby na mojem miejscu, dając za odpowiedź: „iż gdy obowiązek mój mam powierzony przez ogół obywateli całego powiatu, im więc tylko i za ich wolą złożyć go mogę; a chociażbym i zgubę widział przed sobą, poddam się jej, ale ufności położonej we mnie nie zdradzę do końca“. Na te słowa łzy się potoczyły Gadonowi. Ścisnął mię za rękę i rzekł: „I ja też z tobą do końca nie odstąpię przedsięwziętej sprawy“. Toż samo powtórzyli z rozczeniem wszyscy przytomni oficerowie nasi. Zaraz w oczach emisariusza wydałem rozkazy do poruszeń sił naszych w celu atakowania Połągi o świcie nazajutrz, to jest 13 maja.

Gdy tego to dnia 13 maja, oddziały moje ruszyły od Dorbian i Kretynki na Połagę i przypuściły już silny atak w ciągu bitwy otrzymałem nagle wiadomość, że generałowie moskiewscy Pahlen i Szyrman z pułkownikiem Bartholomejem, ruszywszy z Szawel na Telsze w pięć tysięcy wojska i dział kilkanaście, jedną kolumnę z 1.500 ludzi złożoną posłali do Łudnik drogą w lewo na Wornie, z drugą zaś, 3.500 ludzi wynoszącą, poszli na Telsze, że w Worniach szef F. S. z załogą 180 piechoty, mając przytem oddział kawalerji rosieńskiej Hubarewicza 150 koni i nieco z rozproszonych powstańców szawelskich, którzy do niego

przybyli, wystąpił przeciw nieprzyjacielowi na wiorst kilka przed miastem i stanąwszy w mocnej pozycji nad bagnistą rzeczką Reszkiętą, bronił przejścia; nie mogąc się jednak oprzeć przeważnej sile i działom, po krwawej i dla obu stron morderczej utarczce, gdy piechota jego rozbitą została, z jazdą rosieńską i szczątkami szawelskiej ratował się ucieczką przez lasy i bagna, kierując się podług danej mu instrukcji w stronę Retowa; że podobnie w Telszach placomendant W. L., mający 150 piechoty i kilkadziesiąt jazdy z przybyszów szawelskich, zasiadłszy w lesie około wsi Rajniow, przy gościńcu z Łudnik do Telsz wiodącym, przyjął mężnie nieprzyjaciela o pół mili przed miastem, lecz przywalony kilkanaście razy przewyższającą siłą, po zupełnem rozproszeniu się swoich, z częstką ocalonej jazdy tylko, poszedł na Retow; że osoby składające rząd powiatu telszewskiego, rozpierchły się już do lasów, już za granicę; że nieprzyjaciel, opanowawszy Telsze, posunął się aż za Pługiany i jest o jeden dzień marszu od punktu moich działań pod Połagą, a forpocząty jego okazują się już nawet bliżej; słowem, że ogromna i więcej niż we troje przewyższająca siła zaskoczyła nam ztyłu i odcięła nas nie tylko od pomocy dalszych, ale i własnego powiatu. Widząc się tedy otoczonym zewsząd i zamkniętym w ostatnim klinie Żmudzi między Prusami i Połagą, a nie mając ani czasu, ani sposobu rozdzielić się na małe oddziały i rozejść się w różne strony powiatu, zajętego przez nieprzyjaciela, osądziłem za jedyny ratunek w trudnem położeniu, cofnąć się jak najspieszniej z pod Połagi przez Kretynę i Gorzdy w lasy retowskie. Tym końcem posławszy natychmiast kurjerów do oddziału Ignacego Huszczy i części oddziału A. G., trzymających straż koło Pikiel i Szkud, aby nie tracąc czasu starali się przerznąć na Retow i połączyć się ze mną, rozkazałem walczącym oddziałom moim odstąpić od Połagi i ciągnąć w wyrażonym wyżej kierunku.

W tej bitwie 13 maja pod Połagą, która trwała godzin kilka, wszyscy oficerowie moi i większa część żołnierzy, tchnąc zapałem świeżego pod Dorbianami zwycięstwa, szli na wyścigi w poświęceniu się i odwadze. Oddział Onufrego Kamieńskiego kilka razy był prawie na szancach

nieprzyjacielskich. Lecz Moskale, mający w Połądze około trzech tysięcy załogi i kilka dział, między którymi dwa były pozycyjne, bronili się uporczywie z okopów i częste czynili wycieczki, które zawsze kończyły się ich porażką. Strata z naszej strony nie przechodziła 50-ciu ludzi w poległych i ranionych; mieliśmy przytem ubite od granatu nieprzyjacielskiego dwa konie artyleryjskie. Młody obywatel z powstania litewskiego, Kontkowski, ugodzony dwiema kulami w nogę, dostał się w niewolę. Wyżej wspomnieni jego towarzysze i emisariusze warszawscy, równie tutaj jak pod Dorbianami, walcząc w szeregach Kamieńskiego, dali nowe dowody poświęcenia się i waleczności. Moskali zginęło daleko więcej niżeli naszych, z powodu trafnego strzelania powstańców, jak się to zwykle i w każdej potyczce zdarzało...

Generał Szymanowski, objąwszy główne dowództwo nad siłą zbrojną Księstwa Żmudzkiego, przedsięwziął plan operacji taki: zdobyć naprzód miasto Szawle, a wyparłszy nieprzyjaciela i posławszy za nim ku granicom Kurlandji, dokąd mu cofać się wypadało, demonstrację pogoni, zwrócić się całą siłą przez Telsze na Połagę, dla wzięcia tego miejsca i opanowania brzegu morza bałtyckiego, skąd zawsze jeszcze spodziewano się zasiłku w broni, amunicji i umundurowania dla żołnierzy. Celem wykonania tego planu generał Szymanowski skoncentrował do Cytowian wszystkie oddziały rosieńskiego i szawelskiego powiatu, wynoszące w ogóle 3—4.000 ludzi i przyłączył je bezpośrednio do swojej siły przeznaczonej na Szawle. Mnie zaś dał rozkaz robić tymczasem dywersję w powiecie telszewskim, zatrudniać nieprzyjaciela i przecinać mu komunikację z Połagi i Telsz do Szawel. Otrzymałem razem instrukcję, żebym główną moją siłę utrzymywał w okolicach Kontowé tak rozporządzoną, aby w przeciągu 24 godzin mogła być skoncentrowana i obrócona gdzie wypadnie. Trzydziestu tylko ludzi mojej jazdy z jednym oficerem posłałem wedle rozkazu do kolumny generała Szymanowskiego, któremu też dwie moje armaty wykopane i trzecia Józefa Rymkiewicza zdane zostały. Z sobą generał Szymanowski przy-

prowadził dwa sześciofuntowe działa i pułk 10 nowej piechoty polskiej, liczący przeszło 800 ludzi, a urządziwszy naprędce z prawdziwie patriotyczną pracą i gorliwością powstańców szawelskich i rosieńskich, przypuścił około połowy czerwca atak do Szawel. Lecz usiłowania jego przy największem narażeniu się i poświęceniu się osobistem nie wzięły pożądanego skutku: odparty ze znaczną stratą w ubitych i ranionych oficerach i żołnierzach, tak regularnego wojska jako też powstańców, którzy się byli wdarli do miasta, musiał cofnąć się napowrót do Cytowian. W kilka dni potem Moskale dobrowolnie opuścili Szawle i udali się do Kurlandji, a generał Szymanowski bez oporu zajął miasto. Ale wkrótce nieprzyjaciel wzmocniony posiłkami z Kurlandji wrócił i uderzył na załogę, która po zaciętej bitwie powtórnie zmuszona została zwinąć się do Cytowian..

Tymczasem generał Giełgud z wojskiem polskiem i powstaniami powiatów litewskich, cofając się od Wilna, przeszedł przez Rosienie do Cytowian, gdzie stał zawsze generał Szymanowski z siłą powiatu rosieńskiego i szawelskiego. Ciągnące tuż za Giełgudem tłumy nieprzyjaciela zajęły Rosienie; porażony i ze wszech stron otoczony Giełgud, zamyślał jeszcze zdobywać Szawle. Gdy więc w tym celu skoncentrowane korpusy pod dowództwem generałów polskich będące, ruszyły z Cytowian pod Szawle, Szymanowski przysłał mi rozkaz, żebym z całą siłą mojego powiatu udał się na Kroże i zajął pozycję w kierunku od tego miasteczka przez Lale ku Cytowianom, dla zagrożenia z boku kolumnie moskiewskiej od Rosień w ślad Giełguda postępującej. Wnet więc, ściągnąwszy pobliskie oddziały Kamieńskiego, Urbanowicza, Dowbora i inne mniejsze, ruszyłem na przeznaczony mi punkt; do dalszych zaś oddziałów moich, będących na rekonesansach w rozmaitych stronach, posłałem rozkazy, żeby każdy natychmiast udał się najprostszą drogą na Kroże i połączył się ze mną. Przebywszy Kroże, drugiego dnia po ruszeniu z miejsca rozłożyłem się obozem w lesie pod Goniprowem, mając tylko przy sobie półtora tysiąca w piechocie i jeździe, ponieważ odleglejsze oddziały zdążyć jeszcze nie mogły. Zaraz wyprawiłem oficera z raportem do generała Szymanowskiego pod Szawle i rozesłałem

patrole ku Lalom i Cytowianom, które spotkały się z flankierami nieprzyjacielskimi, lecz i rozeszły się bez zaczepki. Tejże nocy pułkownik Koss z dwoma bataljonami piechoty, dwoma szwadronami jazdy i kilku działami, zostawiony przez Giełguda nad Niemnem, a przez Moskali odcięty i pozbawiony wszelkiej komunikacji z głównym korpusem, przerynając się od Wielony przez lasy po za linią nieprzyjacielską, zetknął się z moją siłą i otrzymał tym sposobem ułatwienie dalszego odwrotu w stronę Kurtowian.

Nade dniem powrócił mój oficer od generała Szymanowskiego i przynosząc ustny tylko rozkaz, żebym wracał w mój powiat i działał znowu wedle uprzednich instrukcyj, uwiadomił mię, że bitwa wczoraj stoczoną została i Szawle nie są wzięte, o szczegółach zaś nic nie wiedział. Domyślając się już smutnego stanu rzeczy, posłałem natychmiast gońców dla wrócenia na dawne stanowiska oddziałów ciągnących jeszcze ku mnie, a z obecnymi ruszyłem tejże chwili przez Kroże na Wornie.

Pułkownik Koss, nie znalazłszy w Kurtowianach żadnej części wojsk polskich, gdyż wszystkie już przeszły do Kurszan, przysłał do mnie pismo, które w marszu tegoż dnia otrzymałem, żądając, żebym z całą siłą moją udał się za nim na Kurtowiany, i zniósłszy most w tem miejscu przezeń na rzece Wencie dla artylerji postawiony, ciągnął dalej do Kurszan, dokąd on iść zamierzał. W kilka godzin ponowił pułkownik Koss to żądanie w usilniejszych jeszcze wyrazach. Byłem się naprzód zdeterminował uczynić mu zadość, lecz zaczęła biegać pogłoska, że w Chwałojniach, kędy wypadało mi przechodzić do Kurtowian, są już Moskale.

Nie wiedząc przeto dokładnie o wypadkach pod Szawłami i o dalszych obrotach korpusu Giełguda, a zważając że postąpiwszy nie wedle rozkazu generała Szymanowskiego, mojego zwierzchnika, ściągnąłbym na siebie odpowiedzialność za wszelkie nieprzewidziane straty, jakie w spotkaniu się z przeważnym nieprzyjacielem mógłbym ponieść, uwiadomiłem powtórnie pułkownika Kossa, że dla wyżej wyrażonych powodów nie mogę go zasłaniać dalej w kierunku Kurtowian, lecz stosownie do rozkazu mojego dowódcy muszę wracać na Wornie w mój powiat. Skutkiem

tego pułkownik Koss nie poszedł już do Kurszan, ale wziął się w lewo na Ułzwenty, gdzie spotkał idącą już z Kurszan ku Prusom część wojsk polskich i połączył się z generałem Rolandem. Pogłoska o bytności w Chwałojniach wojsk nieprzyjacielskich, zmieniała się wkrótce na wiadomość, że przeciwnie generał Giełgud z wojskiem polskim ciągnie przez to miasteczko na Wornie, w celu jakoby zdobywania Połągi. Żołnierze i prawie wszyscy oficerowie moi, wielce cieszyli się z tego, że ujrzą наконец tak długo oczekiwane szeregi bratnie i wspólnie już z nimi walczyć będą na własnej ziemi; ja zaś coraz bardziej powątpiewałem o położeniu sprawy naszej na Litwie i Żmudzi, niezdobycie bowiem Szawel, ogromna liczba i korzystna pozycja wojsk moskiewskich, a zacieśnienie przybyłych posiłków i wszystkich związków powstania w ostatni kąt kraju, dokąd jeszcze Giełgud dążył ubocznymi i w krzywych kierunkach drogami, to wszystko było raczej wskazówką upadku, niżeli pocieszających nadziei. Bacząc jednak na powierzony mi obowiązek, o parę mil przed Worniami rozłączyłem będące przy mnie oddziały i zwróciwszy je na dawniejsze stanowiska, pośpieszyłem sam do Worn dla widzenia się z Giełgudem. Nie zastałem go tutaj, przeszedł był już albowiem do Żoran. Ta nagłość i kierunek marszu tem więcej utwierdziły mnie w smutnych domysłach. Udałem się zaraz do Żoran i do reszty otworzyła się przedemną okropność zgotowanego losu. Znalazłem tu nie wojsko przynoszące dla nas wsparcie, przykład i naukę, lecz kupę zwalonych nieładem żołnierzy, koni, wozów, dział, skrzyń amunicyjnych i t. d. Żadnej widety koło obozu i bardzo mało ostrożności wewnątrz. Kilkunastu kawalerzystów kosiło zieloną jarzynę na karm dla koni; gdzie niegdzie żołnierz uprawował kurczę lub jakie inne ptactwo na żywność dla siebie, gdzie niegdzie mały ogieniek rzucał ponure światło. Wszystko nakształt ruin świetnej niegdyś budowy było pogrążone w melancholijnej ciszy.

Poszedłem zaraz prosto do generała Chłapowskiego pełniącego obowiązki szefa sztabu. Było to o godzinie czwartej po południu i znalazłem go za stołem kończącego skromny żołnierski obiad. Po zarekomendowaniu się, przełożyłem mu bez ogródek, iż gdy wojsko polskie już

nadciągnęło, chcę, żeby siła zbrojna powiatu telszewskiego była przyłączona do szeregów narodowych i przybyłem dla przyjęcia rozkazów i instrukcyj co dalej mam czynić. Generał Chłapowski zamiast odpowiedzi na to, zapytał mnie: „czy słyszałeś o bitwie pod Szawłami i jak?“ — Odpowiedziałem że słyszałem nieco, lecz o szczegółach dokładnie nie wiem i tylko miarkując z obrotu rzeczy, uważam, iż położenie wojsk polskich nie jest pomyślne; zapędzone bowiem w ostatni koniec Żmudzi między Kurlandję a Prusy, mają za sobą i z prawego boku liczne zapewne nieprzyjaciela, gdy i Szawle nie mogły być wzięte, i przestronna linja od Rosień do Szawel, jak o tem są już godne wiary wiadomości, zawałona jego siłami. „Ha!“ rzekł na to Chłapowski z miną pewną, „nie jesteśmy jeszcze w tak wielkiej biedzie“. — Zapytałem więc nawzajem co panowie generałowie czynić zamierzają? — Generał Chłapowski znowu nie dając odpowiedzi na pytanie, wziął mapę i jakby nie słysząc com mówię, zagadnął mnie, czy daleko od Szwekszn (miasteczko nad granicą pruską) i kędyby najprościej i najlepiej dojść można? Objaśniwszy go w tem, powtórzyłem kilkakrotnie powyższe moje zapytania i żądania; lecz ciągle udając niesłyszającego, wszczywał rzecz o czem innem, a szczególnie patrząc na mapę, wypytywał się o odległość różnych miejsc nad granicą pruską, przez co zapewne chciał mi dać do zrozumienia, że całym ich planem było schronić się do Prus, czego naówczas jeszcze nawet i domyślić się nie mogłem. „Panowie nie łączcie się do nas i działajcie jak działaliście dotąd; my mamy nasze plany, a panowie nie możecie być z nami“. Na tych słowach kończąc rozmowę, wziął żwawo za czapkę i dodawszy, że pójdziem do Giełguda, poprowadził mnie z sobą.

W kwaterze generała Giełguda znaleźliśmy stół duży okrągły nakryty i zastawiony suto półmiskami i butelkami. Pierwsze miejsce zajmował sam Giełgud, trzymając na krześle obok stojącym jedną nogę w pantoflu i obwiniętą chustami. Po prawej jego ręce siedział generał Tyszkiewicz, po lewej pułkownik hrabia Przezdziecki, a dalej wielu rozmaitych rang oficerów. Generał Giełgud często nalewając

wina do srebrnych kubków dla bliższych, a zachęcając do tegoż dalszych, lubo nie bez widocznego wymusu na sobie, okazywał minę rzeźwą i wesołą. Tu nie znać było niedostatku i nędzy jaka panowała w obozie. Zmusił i mnie też do wypicia jednego a potem drugiego kubka wyśmienitej madery. Gdy zaś w ciągu tego nadmieniałem mu o celu mojego przybycia, podobnie jakby nie słysząc, przemawiał do siedzących obok niego, a zwróciwszy się później do mnie, prosił, czy nie mógłbym dostarczyć mu gazet polskich i zagranicznych. Odpowiedziałem, iż właśnie dziś spodziewam się z Prus mieć świeże. Miarkując zaś po dobrej wenie gospodarza i gości, że biesiada pociągnie się długo i widząc że generał Chłapowski bierze się do czapki, pożegnałem generała Giełguda do widzenia się po obiedzie i wyszedłem za Chłapowskim. Ten zawsze milczący i w postawie trudnej do zbadania, poprowadził mnie na cmentarz kościoła, gdzie znajdowała się część artylerji, a chodząc między armatami, wskazał mi dwie trzyfuntowe i zaproponował, czylibym nie chciał ich wziąć sobie, bez koni i uprząży jednak. Kiedym mu wręcz oświadczył, że armaty dla powstańców są raczej ciężarem jak pomocą, zwłaszcza przy niedostatku prochu i po zniszczeniu naszych zakładów odlewania kul i kartaczów, że trudno je nam przeprowadzać przez bagna i lasy, kędy często sami przechodzić musimy, a za lada potyczką z nieprzyjacielem łatwo utracić; że dla tych przyczyn własne dwa działa musiałem zakopać, nim znalazłem zręczność oddać je potem generałowi Szymanowskiemu, że zatem i teraz ofiarowanych nie mogę przyjąć, chyba dla zakopania; na to odpowiedział mi: „rób z niemi co chcesz, a bierz“. Nie pojmuję co znaczyła ta propozycja generała Chłapowskiego popierana dość usilnie: czy zamierzał ugłaskać przez to moją natrętność, czy też pociągnąć do współnictwa utraty tak pięknej i licznej artylerji przybyłej z Królestwa?

Z cmentarza generał Chłapowski i ja za nim udaliśmy się wdół pomiędzy domy i przy jednym z nich spotkał nas jakiś oficer, z którym generał począł rozmawiać cicho o czemś ważnem, ile wnosić mogłem. Gdy podczas tej rozmowy stałem na stronie w niejakiej odległości, nadszedł

znajomy mi emisariusz z Warszawy, Leon Przecławski. Po kilku tygodniach niewidzenia się, przywitawszy się z nim czule, prosiłem, żeby mi szczerze i po przyjacielsku odkrył, co się tu dzieje. Ze łzami opisał mi Przecławski nieszczęśliwe zdobywanie Szawel, dodając, że wojsko jest zupełnie zdemoralizowane, a dowódcy potracili głowy i podobno już ostatni ratunek zakładają na schronieniu się do Prus. Zgrozą i boleścią przejęła mię ta wiadomość, można było wiedzieć jaki czeka koniec nas wszystkich, zostawionych bez broni wśród ściągniętego nieprzyjaciela, kiedy wojsko regularne szuka tylko ocalenia w ucieczce za granice własnej ziemi. Tymczasem generał Chłapowski za węglem budynku rozmawiał ciągle z owym oficerem i niekiedy tak żwawo, że mogłem słyszeć ekskuzę tego ostatniego: „ale ja jestem z Poznańskiego; co będzie jak się dowiedzą o tem? mogę być uwięzionym“ — i odpowiedzi Chłapowskiego: „nie bój się niczego, jedź śmiało, powiedz żeś od nas, będziesz miał i pismo; oświadcz, że nie wchodzimy zaczepnie, że złożymy broń i t. d.“. Potem generał Chłapowski rozmawiał jeszcze z Przecławskim i znowu z tamtym oficerem, zawsze tak cicho, że niektóre tylko urywane słowa dochodziły moich uszu. Dostatecznie jednak przekonałem się o co rzecz idzie. Jakoż wkrótce Chłapowski obrócił się do mnie, żądając, abym mu wynalazł ludzi znających się dobrze z granicą pruską. Tak tedy i po wyjściu od Giełguda, nie wyczerpnąwszy żadnej instrukcji od Chłapowskiego, pożegnałem go na moment, żeby zadośćuczynić jego żądaniu.

Wyprawiłem więc zaraz jednego z będących przy mnie oficerów moich dla postarania się o przewodników świadomych granic pruskich, a miejscowemu gospodarzowi parafji zaleciłem sprowadzić kilkunastu ludzi z rydlami dla zakopania armatek. Posławszy zaś wkrótce Giełgudowi świeżo otrzymane gazety, poszedłem sam do niego wieczorem. Generał Giełgud zajęty czytaniem gazet leżał w szerokim łóżku pod ałasową kołdrą i na delikatnej pościeli, jakby we własnym domu i za czasów zupełnego spokoju. Przy nim siedzieli Tyszkiewicz i Przedziecki, rozbierając dalsze numery dzienników i komunikując sobie nawzajem ciekawsze

z nich wyjątki. Po kilku chwilach, kiedy już bez natręctwa mogłem się odezwać, począłem przekładać Giełgudowi cel mojego przybycia, to jest, że chcę mieć pewne instrukcje dalszego działania i proszę go, żeby jako naczelny wódz na Litwie i Żmudzi, włączył do swego korpusu siłę zbrojną telszewską, dodał jej oficerów wyćwiczonych w żołnierce, lub rozrządził nią podług swojej uwagi. Lecz generał Giełgud, nie odpowiadając na kilkakroć powtórzone moje żądania, zagadywał zawsze do hrabiów o czym innem, najczęściej o wiadomościach z gazet. Przesiedziawszy godzin kilka w kwaterze generała, musiałem go pożegnać do jutra i wyjść bez żadnej odpowiedzi.

Była już północ i głucha cisza w pośepnym obozie. Usnąłem nieco na moim furgonie na ulicy. Oficerowie przy mnie będący układli się pod furgonem, gdyż wszystkie domy małego miasteczka zawałone były wojskowymi rozmaitego stopnia. Wkrótce o świtanie zbudził nas huk armat w niewielkiej odległości dający się słyszeć. Nim wstałem z wozu, przybiegł do mnie Przecławski, żądając przewodników do Prus, dokąd jak mówił, obowiązany był udać się natychmiast z oficerem wyznaczonym przez Chłapowskiego. Ponieważ ludzie żądani byli już sprowadzeni, wskazałem mu ich, a tymczasem przybiegło do mnie wielu sztabowych i innych oficerów z zapytaniem, w jakim to miejscu grzmia działa? Znając dobrze okolice, zmierkowałem odrazu, że w stronie Powendenia, dla dokładniejszego jednak przekonania się posłałem jednego z mych towarzyszy na przyległe wzgórze, który powróciwszy za chwilę doniósł, że bitwa rzeczywiście toczy się pod Powendeniem, że z pagórka widać wyraźnie ogień i słyszeć nawet plutonowy strzał ręcznej broni. Lubo z Żoran do Powendenia z powodu wielkiego jeziora, które objeżdżać potrzeba, liczą zwyczajnie trzy mile drogi, naprost jednak odległość ledwo półtorej mili wynosi. Bitwa zaś, jakieśmy się później dowiedzieli, zaszła między pogonią moskiewską a generałami Rolandem i Szymanowskim, którzy współ ze szczątkami powstań litewskich, rosieńskich i szawelskich, puściwszy się z Kurszan wślad za Giełgudem, zostali dnia tego (11-go lipca) doścignieni pod Powendeniem

a odparłszy nieprzyjaciela ufatwili sobie dalszą rejteradę ku Prusom.

Gdy huk armat wzmagał się coraz bardziej i między wojskiem dał się widzieć ruch nagły, uważając iż od Giełguda i Chłapowskiego nic słownie otrzymać nie będzie można, pobiegłem do bliższego domu i napisałem dwa pisma, jedno do generała Giełguda, jako naczelnego dowódcy na Litwie i Żmudzi, drugie do generała hr. Tyszkiewicza, jako prezesa rządu centralnego tych prowincyj, ponawiając wszystkie moje żądania. Kiedym z temi pismami przyszedł później do Giełguda, zastałem go na dziedzińcu, już nie wesołej twarzy jak wczoraj, lecz nudnego i zamyślnego. Znajdujący się przy nim hrabiowie, Tyszkiewicz i Przedziecki, również byli niespokojni i sfrasowani. Wręczyłem naprzód pismo Tyszkiewiczowi, który przeczytawszy je zatknął do kieszeni i nic mi nie odpowiedział. Gdy zaś i Giełgud podane sobie przeczytał, a wtem Przedziecki i Tyszkiewicz zniknęli z dziedzińca, zacząłem usilnie nastawać na generała, żeby przyjął pod swoje dowództwo siłę zbrojną telszewską i stosowne do tego wydał rozkazy; ja albowiem nie mając żadnych wiadomości wojennych, jedynie tylko zagniony życzeniem współobywateli pokładających we mnie ufność, przyjąłem na siebie obowiązek ich naczelnika, a ćwicząc się razem z podwładnymi w nowym zawodzie, prowadziłem dotąd rzecz jak mi własny rozsądek i doświadczenie wskazywały; lecz dopiero gdy już regularne wojsko polskie nadeszło, uważam sobie za powinność prosić generała o przydanie nam wyćwiczonych w sztuce wojennej dowódców i podobnychże oficerów, tembardziej, iż nie mogąc powziąć dokładnej informacji, jak się generał ze swoim korpusem obrócić zamierza, nie chcę aby na mojem sumieniu ciążyła odpowiedzialność za los jednej i drugiej seciny szlachetnej młodzieży i kilku tysięcy ludu, co wszystko, jeśli wojska regularne nas opuszczą, po zniszczeniu powstań w innych powiatach i ściągnięciu na nas ogromnej masy nieprzyjaciela, nieuchronnej zgubie ulec może. — Na to generał Giełgud odpowiedział mi, co do słowa następuje: „W wojskowości znaczy wszystko zdolność i doświadczenie. Pan, ponieważ potrafiłeś przez kilka miesięcy utrzymać

się z powstaniem i działać skutecznie, przeto i nadal pewnie nikt lepiej od niego zająć się tem nie potrafi. Działaj więc tak jak dotąd, a bezwątpienia nadciągną wkrótce w pomoc świeże i znaczniejsze wojska polskie“. Gdy zaś ponowiłem zapytanie, co on sam czynić przedsięwzię, zmieszał się mocno i odpowiedział mi, przerywając słowa: „My... my będziemy krążyć jak można; a w ostatnim razie — może do Prus...“ Ha, rzekłem mu, wprowadźcie środek ten obiecuje bezpieczne schronienie; ale czy nieprzyjaciół nie odetnie generała od granicy, czy nie zaciągną już, jakby powinien, z jednej strony od Jurborga i Rosień, z drugiej od Połangi i Gorzdu ku Szwekszniom? — „Hm! — przerwał żwawo Giełgud, nie dając mi skończyć rzeczy, spodziewam się, że to nie nastąpi“. — Prowadząc więc dalej rozmowę, zaproponowałem, czyliby nielepiej było zamiast stracenia przez wejście do Prus tak licznych sił i obfitych zapasów wojennych, jakich wszystkie powstania prowincji naszej razem wzięte, nie miały w całym ciągu walki, zakopać tajemnie działa większego kalibru, zostawić tylko lekkie, rozdzielić wojsko regularne na małe cząstki z proporcjonalną ilością amunicji i rozdać je pomiędzy naczelników powstania, którzy znając dobrze pozycje swego kraju potrafili rozminąć się chociażby z najliczniejszym nieprzyjacielem, rozejdą się jednocześnie na wszystkie strony Żmudzi i Litwy, ożywią wszędzie ducha, zbiorą lud rozproszony, a wsparci dzielnością regularnego żołnierza i radami dawnych oficerów, przy takim jeszcze dostatku amunicji i broni, długo zdołają prowadzić partyzancką wojnę. Unikając drażliwej wzmianki o potrzebie uczynienia ofiary w tym razie z miłości własnej, napomknąłem tylko, iż gdy przez to generałowie i oficerowie wyżsi byłiby narażeni na więcej niebezpieczeństw i niewygód, mogą więc ci, którzy chcą, przejść zagranicę, a nam zostawić broń, żołnierzy i dobrowolnie poświęcających się oficerów. Dodałem nakoniec, że jeśliby później upadła wszelka nadzieja przedłużenia walki, potrafimy zawsze przeprowadzić ich do Prus i czynić to, wyczerpnąwszy do ostatka środki, które nam jeszcze pozostają. Generał Giełgud zdawał się być ucieszony z tego projektu. Przechadzając się żwawo i nacierając sobie ręce, rzekł z uniesieniem: „dobry

to jest plan, trzeba pomyśleć o jego wykonaniu. Co do nas, poświęciliśmy się jak każdy inny, a zatem dbać o siebie nie powinniśmy i gotowi jesteśmy wszędzie, gdzie potrzeba ojczyzny wymaga". — To jego wzruszenie do dziś dnia utrzymuje mnie w mniemaniu, że nie był on zdrajcą z chęci, lecz ile krótko z nim będąc dostrzec mogłem, nie miał ani talentu, ani charakteru potrzebnego wodzowi, zwłaszcza w tak trudnych okolicznościach. Nadewszystko brakło mu pewnej determinacji i stałości w przedsięwzięciach.

Kiedy tak generał Giełgud, chodząc po dziedzińcu, rozmyślał nad moim projektem, przybiegł do Chłapowskiego oficer z jakimiś papierami i wezwał go do izby. Zostawiony sam jeden, pośpieszyłem do kwatery generała Chłapowskiego, żeby mu podobnie rzecz przedłożyć. Drzwi domu, w którym on przebywał, znalazłem zaryglowane, a gdym zapukał, wyszedł oficer, pytając czego żądam. Odpowiedziałem, iż mam pilny interes do generała. Na co mi tenże oficer oświadczył, iż generał zajęty teraz wydawaniem rozkazów do marszu, nie może się widzieć ze mną; jeśli więc mam jaki interes, to powinienem jemu (oficerowi) powierzyć. Nie mogąc otrzymać audjencji u Chłapowskiego, pobiegłem napowrót do kwatery Giełguda, lecz go już nie zastałem; wyruszył w koczach drogą ku Medyngianom, a zanim i szwadrony jazdy polskiej ciągnęły. Tak tedy projekty, które mogły powstania na Żmudzi i Litwie ożywić, znaczną siłę nieprzyjacielską na długi czas zatrudnić, do zimy przetrzymać ją w kraju ogołoconym z magazynów, zniszczyć może, a przynajmniej nie puścić pod Warszawę, gdzie się ważył los głównej walki, skończyły się na niczem. Huk dział pod Powondeniem przynaglił kroki śpieszących do Prus.

Tymczasem wielu podwładnych mi dowódców zbliżyło się z oddziałami swemi ku Żoranom, tak dla powzięcia pewniejszej wiadomości o niepojętych obrotach Giełguda, jak też dla nacieszenia żołnierzy swoich widokiem wojska polskiego, z takim upragnieniem przez nich oczekiwanego. Lubo obowiązek nakazywał mi tać przed nimi zamiary generałów, wszyscy jednak rychło poczęli domyślać się jaki był prawdziwy stan rzeczy, tembardziej gdy oficerowie i żołnierze wojsk regularnych smutnie przemawiali do nas:

„zginęliśmy bracia—i was czeka zguba—uchodźcie z nami, albo wracajcie do domów“. Wielu wszakże wyższych nawet oficerów polskich nie wiedziało wcale dokąd Giełgud ich prowadził. Często w marszu z Żoran zapytywali nas, w jakim to idą kierunku: czy ku Prusom, czy gdzieindziej? A gdy im odpowiadano, że już tylko o mil kilka mają granicę pruską przed sobą, z głębokiem westchnieniem i ze łzami postępowali dalej. Rozdzierał serce ten widok weteranów, okrytych niedawno świeżemi zwycięstwami, a teraz ugiętych pod ciężarem przeciwnego losu. Ucichły hoże ich pieśni bojowe, na twarzach szerniałych od znojów wojennych malowały się bolesne cierpienia duszy; w zszarpanych ubiorach, po części bez obuwia, ciągnęły posępne i znużone szeregi.

Kiedy już kurzawa ostatniej z kolumn dążących ku Retowowi znikła nam z oczu, posławszy zanimi smutne westchnienie i uroniwszy łzy, których wstrzymać niepodobna było, udaliśmy się znowu na swoje stanowiska, oczekiwać wypadków jakie Opatrzność nam zgotowała. Nazajutrz w lasach około Kontowć, powziąłem wiadomość, że generał Szymanowski z Rolandem, pominąwszy Żorany szedł ku Twerowi. Posłałem więc do niego oficera, ponawiając też same żądania, którem przekładał Giełgudowi. Oficer ten doścignął go aż w Retowie wychodzącego już dalej. Szymanowski nie dał mu żadnej rezolucji na piśmie, odpowiedział tylko ustnie w te słowa: „Niech pan naczelnik działa jak uprzednio, niech rozdzieli swoje wojsko na jak najmniejsze oddziały i utrzymuje się gdzie można po lasach w różnych punktach powiatu, wszakże my nie opuszczamy jeszcze kraju, możemy udać się na Połagę, stamtąd do Kurlandji i dalej krążyć jak nam wypadnie; a naczelnik niech robi swoje, nie łącząc się do nas“. Dodał wkońcu generał Szymanowski, że w tej chwili żadnych innych instrukcyj dać nie może, ale jeślibym chciał pomówić z nim obszerniej, mogę przybyć do niego do Gorzd, lub gdzie się dowiem, że się on udał.

Tuż za uchodzącem wojskiem polskiem płynęły, że tak powiem, przeważne siły moskiewskie od Worń, Telsz i Pfun-gian. Tym sposobem oddziały moje, znajdujące się w tych okolicach po niewielkich lasach, zostały zewsząd otoczone.

Ciągle dawały się nam słyszeć krzyki sołdactwa i turkot powozów. W największej cichości zmieniając co moment nasze stanowiska i leżąc przyczajeni bez ognisk, wyglądaliśmy niechybnej zguby. Lecz nieprzyjaciół, pędząc w masach za masą, bądź nie sądził, żebyśmy mogli pozostać między jego linjami, bądź zajęty ważniejszym przedmiotem nie dbał o nas, będąc pewnym, że po zniesieniu wojsk regularnych, powstania łatwo zagasi. Życzliwi i zaufani wieśniacy donosili nam o obrotach kolumn moskiewskich, przywodząc razem mnóstwo oficerów i żołnierzy polskich, którzy już to ranni, już opadli na siłach i pozostali w marszach, chronili się do włościan przed pogonią plądrujących kozaków i kaukazców. Rannych, opatrzywszy ile możność dozwalała, umieszczaliśmy po wsiach odleglejszych; innych zaś, dodawszy im przewodników, wyprawialiśmy wślad za korpusem. Dzień ten i następne były dniami trwogi i rozpacz.

Nazajutrz, gdy oficer wysłany do generała Szymanowskiego zdołał przemknąć się napowrót i przyniósł mi jego odpowiedź, chciałem zadośćuczynić otrzymanym ustnym rozkazom. W tym celu znajdujące się przy mnie oddziały rozdzieliłem zaraz na drobniejsze części, a do dalszych posłałem stosowne zalecenia. Rzadko jednak który z dowódców mógł je odebrać, a odebrawszy nawet, wykonać. Lud nasz bowiem, przerażony i upadły na duchu, począł gromadami rozchodzić się do domów tak, że pikiety, placówki i patrole zniknęły jedne po drugich, aż nareszcie sami prawie tylko oficerowie pozostali. Nim te okropne skutki klęsk poniesionych rozwinęły się widocznie, mając jeszcze nadzieję, iż się da cokolwiek zrobić, poczyniwszy naprędce główne rozporządzenia, usiłowałem sam przedrzeć się do generała Szymanowskiego dla pomówienia z nim osobiście. Wysłane przodem zwiady doniosły mi, iż niepodobna dostać się do Gorzł przez linię nieprzyjacielską, a wkrótce otrzymałem wiadomość, że i Szymanowski zwrócił się od Gorzł w lewo na Szweksznie ku Niemnowi. Wnosząc przeto, iż gdy nieprzyjaciół usunął się całą masą ku granicy pruskiej, uda mi się okrążyć go z tyłu, udałem się z jednym oficerem mojego sztabu manowcami pomiędzy Wornie i Twier ku Szweksznom. Lecz niespodziewanie oskoczeni

przez kilkunastu jazdy i piechoty moskiewskiej powracających z furazowania, tylko ciemności nocnej byliśmy winni ratunek. Straciwszy w tym przypadku powóz, drugiego dnia uszliśmy jeszcze przez bagna i dzikie zarośla mil siedem, ale spotkała tu nas wiadomość, że Szymanowski z Rolandem pociągnął już za Szweksznie na Nowemiasto, a razem że liczne kolumny moskiewskie dążą od Szawel przez Kołtyniany i od Rosień przez Abelin i Chwejdany, dla odcięcia wojsk polskich od granicy pruskiej. Niepodobna więc było myśleć o przerznięciu się do Szwekszn i tembardziej do Nowegomiasta, a tymczasem wystąpi na zwiady pewni ludzie donieśli mi 16 lipca o przejściu już do Prus obu korpusów polskich z będącymi przy nich powstańcami.

Tak tedy straciwszy ostatek nadziei, chciałem powrócić do moich oddziałów, lecz wnet od napotykaných ich oficerów dowiedziałem się, że i te już poszły w rozsypkę. Jeden mi zatem pozostawał środek: kryć się po lasach i czekać nim nowe wsparcie nie przyjdzie z Królestwa, albo nim odciągnięty w inną stronę nieprzyjaciół nie pozwoli nam podnieść się z upadku. Chroniony i żywiony przez pewnego obywatela, którego nazwiska nie śmiałem tu położyć obok wyrazów najczulszej dla niego wdzięczności, patrzyłem codziennie prawie na snujące się w okolicy patrole, oddziały i korpusy nieprzyjacielskie. Zdarzało się, że na jednej stronie bagnistej rzeki, ukryty w krzaku, słuchałem rozmów żołdatów moskiewskich, którzy na drugiej rąbiąc drzewo dla naprawy zepsutego furgonu, nie szczędzili dla nas klątw i przysłówia narodowego; bywało, że oficerowie ich kąpali się swobodnie na jednym brzegu małego jeziora, kiedy ja na drugim, w trwodze i bóleści wyglądałem końca nieznośnego dnia, pocieszając się, że następny będzie pomyślniejszy. W ten sposób, pod gołem niebem, w porze już chłodnej i słotnej spędziłem kilka tygodni, od czasu do czasu odbierając coraz smutniejsze wieści o losie moich rodaków i współtowarzyszy. Jeszcze nieraz szerzące się między pospólstwem pogłoski: jużto że naczelny wódz Skrzynecki, już że księżę Mirski, w kilkadziesiąt tysięcy przychodzi nad Niemen, albo że okręty francuskie i angielskie z wielką siłą w pomoc nam przypłynęły pod Rygę lub pod Połagę, obudzały czasem

chwytającą się samych złudzeń nadzieje, i, tułacze po lasach, komunikowaliśmy sobie nawzajem pokrzepienie. Ale wnet przychodził do nas słuch o smutnej rzeczywistości. Mściwy nieprzyjaciel rozrządzał się w kraju, zapomocą płatnych szpiegów i usłużnych sobie żydów wysledzał ofiary. Dowiedziałem się, że z powietników moich, Leonard Urbanowicz, Józef Moncewicz, Stanisław, Alojzy i Wincenty Gadonowie, Michał Ważyński, Benedykt Jacewicz, Augustyn Lewgowd, Dyrwiański, Jankiewicz i inni, schwytani, do więzień wtrąceni albo wgląb Rosji wywiezieni zostali. Józef Syrewicz mający garstkę ludu przy sobie, napadnięty i rozproszony z kilku oficerami i podoficerami ratował się ucieczką za Niemen w lasy augustowskie, gdzie jeszcze trzymano się czas niejaki, odnosząc nawet korzyści nad nieprzyjacielem. W dalszych stronach Żmudzi i Litwy nie słyhać było ważniejszych poruszeń po usunięciu się stamtąd wojsk polskich. Widząc przeto upadłe wszelkie nadzieje, gdy już przed poszukiwaniem władz moskiewskich i w kryjówek mojej nie byłem bezpieczny, razem z przybyłym do mnie szefem jednego oddziału, Onufrym Kamieńskim, przeszedłem w połowie sierpnia do Prus. Wszakże naczelnik powiatu rosieńskiego, Ezechjel Staniewicz, mąż z wytrwałości i patryjotyzmu godzien uwielbienia, w towarzystwie kilku pozostałych przy nim osób, chronił się jeszcze na Żmudzi, myśląc ciągle jakby ożywić powstanie. Lecz i ten, skoro po upadku Warszawy i zwróceniu się głównych korpusów wojska polskiego ku obcym granicom, nie mógł już spodziewać się przyjaznej swoim zamiarom okoliczności, udał się również do Prus w listopadzie pamiętnego 1831 roku...

W POWIECIE UPICKIM.

Gdy wskutek pamiętnej rewolucji r. 1831 rozwinęła się walka w Królestwie Polskiem, jedna myśl, jedno życzenie, wstrząsało wszystkie rozszarpane członki dawnej Polski. Prowincje, przygniecione przemocą cara, musiały okazywać niejaką zdrętwiałość, ale pozostać w niej byłoby niezmażaną plamą, byłoby niepowetowanym uszczerbkiem dla ogólnej sprawy. Rozwagały to skwapliwie umysły dojrzałe, czuła gorąco dzielna młodzież. Stąd poczęły tworzyć się tajemne związki, aby przygotować niejako i powołać całą Litwę do współczesnego, powszechnego powstania.

Kiedy młodzież uniwersytecka i szkolna tak gorliwie w całym zawodzie porozumiewała się między sobą, komitet główny wileński, stojący na czele stowarzyszenia obywateli, starał się ze swej strony w odleglejszym zakresie wybadywać i przyspasabiać umysły, żeby nadać należyty popęd patriotyzmowi i użyć w porę wszelkich sprężyn ku jednemu celowi.

Każdy powiat wnet liczył w gronie swoich obywateli, członków komitetu. W upickiem, jak dalsze wypadki okazały, Kazimierz Truskowski miał sobie powierzony obowiązek kierowania zapalem politycznym i dania hasła w przyzwoitym czasie. Pierwszem patriotycznego towarzystwa prawidłem było zachowanie najściślejszego sekretu; pierwszą zasadą działań — ogólna wszystkich mieszkańców ku najeźdźnikom nienawiść. Wystawiać przeto w ich właściwem świetle zamiary moskiewskiego rządu, podnosić oburzenie ludu i zwracać je do widocznego zamiaru, a wszystko z przyzwoitą czynić ostrożnością, miało być głównem staraniem każdej gałęzi związku. Dobrze w takim razie usłużyły patriotom same srożenia się i uciski ciemiężców, jako to ukazy carskie na krótką chwilę przed powstaniem zapowiadające, że nie jest zamiarem rządu, aby poddani kiedykolwiek wolnymi byli, że kto się ośmielił

rozprawiać między pospólstwem o wolności włościan, ten będzie ścigany i karany; odjęcie gubernjom witebskiej i mohylowskiej prawa Statutu Litewskiego; śmieszne napozór, lecz wiele mówiące odebranie całej Litwie mundurów z amarantowym kołnierzem, które niegdyś imperator Aleksander w momencie liberalnego humoru, jak dobrą wróżbę prowincjom od Polski odebranych nadał; barbarzyńskie i razem nieroztropne obchodzenie się senatora Nowosilcowa z młodzieżą uniwersytecką; gwałtowne nareszcie rozporządzenie generała intendenta armji działającej, senatora Abakumowa, które cały ciężar żywienia wojsk moskiewskich wprowadzonych do Królestwa zwałały na prowincje i za najłżejsze oznaki niechęci w tej mierze, karę śmiercią stanowiły. Z drugiej strony wiele zgromadziło się niepomysłnych okoliczności, a między innemi i ta była niemałej wagi, iż znakomitych patriotów litewskich, uprzednio jeszcze przez kilka lat w kazamatach petersburskich więzionych, za wybuchem rewolucji w Warszawie, na nowo wywieziono w głąb Rosji. Byli to obywatele powszechny szacunek i zupełne zaufanie posiadający; niedostatek ich wszakże, rychło staraniem komitetu zapelniony został. Znaleźli się ludzie, którzy umiejąc ocenić godność swego powołania, potrafili ogólnym życzeniom zadośćuczynić. A przychodziło im łatwiej spełnić przyjęte obowiązki, iż każdy mieszkaniec kraju, każdy nawet człowiek, którego obca krzywda obraża, chociażby i nie posiadał tej wzniosłości ducha jakiej nie każdemu niebo udziela, idąc tylko za popędem pocziwego serca, bez względu na niebezpieczeństwa i wątpliwe losy koleje, gotów był i swe mienie, a i siebie poświęcić.

Ścisłe trzymając się przepisów głównego komitetu, Truskowski w ważnem swoim przedsięwzięciu nikogo nie wezwał do pomocy, ani się nawet przed nikim nie zwierzył, tak dalece, iż w całym powiecie panowała najcięższa nieruchomość, kiedy u niego, pomimo surowe rozkazy składanta w policjach powiatowych wszelkiego oręża, i nie dbając o szpiegowstwa, zbierano broń ognistą i robiono ładunki. Przez tę śmiałość, przez to zuchwalstwo nawet, chciał on zapewne okazać współobywatelom swoim słabość władz miejscowych, a tem samem wytknąć najwła-

ściwszą porę do powstania. Za jego rozkazem 28 marca, to jest w dwa dni po rozpoczęciu pierwszych poruszeń zbrojnych w powiecie rosieńskim, wstrzymano w pobliskich dniach fury z magazynem dla armji wychodzące i zdjęto kajdany z włościan na rekrutów przeznaczonych. Nazajutrz zaś wespół z Antonim Przeciszewskim, b. marszałkiem rosieńskim i z małym orszakem ludzi przybył sam do miasta powiatowego Poniewieża, aby publicznie oświadczyć, iż powstanie na całej Litwie i Żmudzi już jest rozpoczęte, a ktoby z urzędników miejscowych lub obywateli do niego należeć nie chciał, pierwszy z kraju wygnany będzie, drugi dostojność szlachecką i mienie utraci; wszelki zaś nieprzyjazny sprawie ojczystej niezawodnie powieszony zostanie.

Po ogłoszeniu w mieście takowej deklaracji udali się Truskowski i Przeciszewski do marszałka powiatowego Karola hr. Załuskiego, aby go do wspólnego wezwać działania; a gdy ten zapytał: kto więcej do przedsięwzięcia tak śmiałego należy, jakie są sposoby dopięcia celu, gdzie broni, gdzie prochu, gdzie pieniędzy dostać? odpowiadając jedynie, iż szczerą chęć synów ojczyzny wszystkiemu zadośćuczynić potrafi, nie przestawali nań nalegać. Podobnie lakoniczna odpowiedź nie mogła zaspokoić człowieka piastującego pierwszy urząd w powiecie, a tem bardziej pociągnać go do czynnego udziału. Wyrzec się domowego szczęścia, poświęcić wątpliwemu losowi żonę i dzieci, zaburzyć spokojność współobywateli, to wszystko wymagało pewnej rozważli. Odmawiał więc zrazu Załuski zagadnięty niespodziewanie, czy chce stanąć na czele, może kilku tylko ludzi, zuchwałym, chociaż zresztą chwalebnym uniesłonych zapędem; lecz wymawianie się jego nie było stanowcze, okazywało tylko pewną zrzeczność w prowadzeniu rzeczy. Jak bowiem nie przystąpić do rewolucji narodowej, albo ją w czemkolwiek hamować, byłoby dla Polaka zdradzać najświętszą sprawę Ojczyzny, tak też obywatelowi po raz drugi przez wolne wybory współbraci do przewodniczenia w powiecie wezwanemu, ojcu familji wreszcie, niepodobna było nie zwrócić myśli na ogólne wypadki azardowego kroku i nawet na niebezpieczne skutki rozruchu w pierwszych chwilach bezrządu, niepodobna było

nie oglądać się bacznie, czy postęпки jego odpowiedzą położonemu w nim zaufaniu. Łatwo jest pojąć w tak delikatnym zbiegu powinności walkę uczuć z rozsądkiem; ale w owych stanowczych momentach, kiedy już namyślać się nie pora, zwykle się idzie za samem natchnieniem, a to z pocziwego serca pochodzące, do zacnego zawsze prowadzi przedsięwzięcia. Nie trudno więc było przewidzieć jaki weźmie koniec wahanie się marszałka, i tak się stało. Pomówiwszy w osobnym pokoju z Truskowskim, wyszedł do licznie zgromadzonych osób i rzekł: „Przyszła tedy od tak dawna pożądana chwila, w której Polak jeśli nie żyć, to przynajmniej umrzeć Polakiem może; niech więc wspólne usiłowania pokażą, jakie są wspólne uczucia nasze“. Ucałowawszy potem ze łzami żonę i dzieci, jak gdyby w niebezpieczną puszczął się podróż, podał rękę Truskowskiemu i uściskał obecnych.

Wkrótce rozeszła się po mieście wiadomość, że Truskowski i Przeciszewski razem już z marszałkiem radzą względem dalszych czynności, a zaraz otrzymano i doniesienia, że z Rosień wojsko moskiewskie przez powstańców wyparte zostało, że powiaty szawelski i telszewski również broń podniosły, słowem, że na całej Żmudzi najżywsze jest powstanie.

Na pierwszym wstępie patrjoci powiatu upickiego uchwalili: że komendy powstańskie nie w nocy, ale w dzień do miasta wejdą, że rząd tymczasowy w Poniewieżu przez obecnych obywateli nazajutrz wybrany będzie, i że urzędnicy moskiewscy, oficerowie i żołnierze, bądź siłą bądź bez oporu w niewolę wzięci, pod protekcję rządu nowego oddani zostaną; rozbrojenie zaś i aresztowanie garnizonu uskuteczni się również w dzień a nie w nocy; nareszcie iż niezwłocznie wysłani będą do Wilna i do innych miejsc, gdzie powstanie wybuchnąć miało, zdolni i zaufani ludzie, dla powzięcia i zanieśienia potrzebnych wiadomości.

Po uczynieniu naglejszych tych rozporządzeń, tegoż wieczoru jeszcze, dziedzice pobliskich wiosek, obywatele znajdujący się w Poniewieżu, oraz znakomitsi mieszcianie i żydzi, pośpieszyli do Załuskiego z oświadczeniem, że gotowi są czynić co tylko okoliczności będą wymagały, lecz życzą

widzieć marszałka na czele powiatu, bo za jego tylko przewodnictwem iść i jego przedsięwzięcia wspierać pragną; a przeto najusilniej proszą, aby ich w tak stanowczej chwili nie opuszczał, gdyż przekonani są, iż w razie oddalenia się jego mogłyby zdarzyć się ofiary osobistych widoków i nadużycia zbrojnego tłumu.

Uspokoiwszy nieco umysły zatrwożone przez okazanie wyjednaných postanowień, zajął się Załuski urządzeniem warty dla bezpieczeństwa w mieście podczas przerwy między dawnym a nowym rządem. O drugiej z północy przybiegł do niego Truskowski, oznajmując, że generał brygady Mejer, po wyjściu swojej komendy przy chorej żonie pozostały, wybierał się równo ze dniem jechać pocztą do Włtkomierza, skąd mógłby sprowadzić rezerwy dywizyj huzarskich i zniszczyć tworzące się powstanie, a zatem iż należy bez dalszej zwłoki aresztować wszystkich wojskowych i urzędników moskiewskich. Załuski jednak, nie chcąc generałowej w bliskiej rozwiązania ciąży będącej narazić na przestrach, a czynowników i garnizon na swawolę rozhukanego w pierwszym momencie pospólstwa wystawić, przedsięwziął tylko użyć środków zapobiegających wydaleniu się ich z miasta. Ponieważ zaś Mejer mieszkał daleko za miastem i niełatwo go było dopilnować, udał się sam przeto do niego z radą, żeby nie myślał o wyjeździe, gdyż póty tylko może być bezpiecznym, póki nie wyjdzie ze swego domu, w którym żadnego napadu lękać się nie powinien. Lecz generał moskiewski oświadczył, iż nic go nie skłoni opuścić ostatniej zřeczności udania się tam, gdzie władza carska panuje; dodał wszakże, iż choćby tylko trzech ludzi zbrojnych zaszło mu drogę, bronić się nie będzie. Jakoż po wyjściu Załuskiego, nie tracąc czasu, konno puścił się w podróż, i jak się później okazało, nie do rezerw huzarskich, ale w przeciwną stronę ubocznemi drogami do Kurlandji uszedł.

Tymczasem palestra, uformowawszy legion szlachecki, o świtaniu aresztowała przeszło 20 urzędników moskiewskich i ludzi podejrzaných, osadziła ich pod strażą w kancelarji marszałkowskiej i razem z nowoutworzonym legionem oddała pod władzę marszałka. Garnizon miejscowy, dwóch

oficerów i 60 żołnierzy zawierający, na ustne wezwanie bez żadnego oporu broń złożył; arsenał, lazaret wojskowy, wszelkie zakłady skarbowe i kasy miejskie zaraz w przyzwoite załogi opatrzone zostały.

Gorliwi obywatele, którzy się do rozpoczęcia dzieła silnie przyłożyli i w poświęceniu się swoim wytrwali, zasługują zapewne, żeby ich imiona z czcią zostały wspomniane; ale gdy los nieprzyjazny wzbronił nam cieszyć się owocem naszych usiłowań, ledwo możemy bez obawy tych wymienić, co albo na polu bitwy polegli, albo zagranicą są wolni od zemsty cara. — Augustyn Kordzikowski sędzia ziemski upicki, Donat Szlagier i Stanisław Mickiewicz, sędziowie graniczni, Józef Korabiewicz, Tadeusz Styczyński, sekretarz szlachty, Konstanty Dołubowski i Józef Konopacki, adwokaci, oraz wszyscy prawie kancelarzyści i aplikanci substeljów powiatowych, w pierwszej już chwili powstania dali dowody osobistej odwagi i gotowości do wszelkich ofiar z siebie. Tak tedy za ich staraniem i przykładem, nim jeszcze weszły do Poniewieża oddziały Truskowskiego i Przeciszewskiego, było już kilkaset ludzi zbrojnych, którzy pod przewodnictwem marszałka władzę wojskowo-policyjną w mieście ustanowili i równie dla wewnętrznego porządku, jakoteż do dania odporu nieprzyjacielowi byli gotowi...

... Akt konfederacji, przez kilkaset obywateli podpisany, wypowiadał posłuszeństwo najeźdźniczej władzy moskiewskiej; przysięgę na wierność carowi wykonaną, jako wymuszoną, uważał za nieważną, za niewkładającą na nikogo żadnych, ani moralnych, ani prawnych obowiązków; imperatora moskiewskiego nadużywającego praw wojny i w samej Rosji przemocą tylko panującego, za tyrana obwieszczał; deklaracje przez pierwszych powstańców w dniu 29 marca uczynione potwierdzał; powiat upicki za należący do Królestwa Polskiego, a województwa trockiego, jak było przed rozbiorem kraju, uważać zalecał; każdemu człowiekowi na ziemi tego powiatu wolność i równość w obliczu prawa zapewniał; powody i cel ogólnego powstania lubo niegdyś Rzeczpospolitą Polskę składających wyłuszczał; Statut Litewski do czasu połączenia się z Królestwem Polskiem za prawo narodowe, a Rząd Tymczasowy za jedyną

władzę uznawać przyrzeką; rządowi zaś temu następny kształt przepisywał. Pięciu członków, licząc w to prezydującego, miało składać Radę Nieustającą z nieograniczoną i nieodwołalną władzą. Większość głosów w radzie miała decydować. Prezydent lub jego zastępca, to jest najstarszy z członków podług daty wejścia do rządu, żadnej szczególnej prerogatywy mieć nie miał, porządek tylko rozpraw utrzymywać był powinien. Czterej członkowie za jednomyślną zgodą piątego z koła swego usunąć i nowego na to miejsce przybrać mogli. Każdy na ziemi polskiej mieszkaniec, bez względu jakiej był religii i choćby ziemskiej własności nie posiadał, mógł być do rządu wezwany, każdemu bowiem prawo służenia ojczyźnie było dozwolone. Członek Rządu Tymczasowego w Radzie Nieustającej zasiadający, tylko przez kolegów swoich i to za zgodą czterech do odpowiedzialności z urzędu swego mógł być powołany; w razie zaś skądinąd podanej nań skargi, Rada Nieustająca powinna była zawiesić go od czynności i albo osobnemu sądowi oddać, albo sama niezwłocznie wyrok wydać i opublikować. Członek rządu, kompletu Rady nie składający, żadnej prerogatywy urzędu swego używać nie miał, a uchwały Rady równie jej członków jak wszystkich prywatnych obowiązywać miały. Członkowie rządu do zasiadania w Radzie, czyli do składania jej kompletu, podług kolei jaką otrzymali na wyborach, mieli mieć pierwszeństwo. Żaden z pięciu bez zezwolenia czterech wydalić się z koła nie mógł, a zerwanie kompletu Rady za zbrodnie stanu uważać postanowiono.

Do złożenia pierwszego kompletu Rady Nieustającej obecni obywatele wezwali na prezydenta Rządu Tymczasowego marszałka Załuskiego; na 1 członka Kazimierza Truskowskiego; na 2, Józefa Kozakowskiego, b. marszałka kowieńskiego; na 3, Michała Mejsztowicza, prezyd. granicznego; na 4, Tomasza Ejdrygiewicza, sędziego ziem.; a dla dopełnienia dalszych kompletów przeznaczono nieznajdujących się pod ten czas w mieście byłych marszałków gubernjalnych, Eustachego Karpia i Teodora Roppa.

Ponieważ ostatni artykuł Aktu konfederacyjnego nie dozwalał nikomu nosić broni bez poprzedniego zapisania

się do kontroli i wykonania przysięgi, w której zawierało się przyrzeczenie bezwarunkowego posłuszeństwa pod karą śmierci, dowódcom od Rządu przeznaczonym; celem więc rychłego uskutecznienia takowej decyzji ustanowiono komisję wojny. Jeden jej wydział powierzono b. marszałkowi Rosień, Antoniemu Przeciszewskiemu, drugi Leonowi hr. Potockiemu szambelanowi dworu polskiego; na prezydenta zaś delegowano członka Rządu Kazimierza Truskowskiego...

Rada Nieustająca, nie tracąc czasu, dnia 30 marca po południu otworzyła protokół swoich czynności. Ponieważ ci tylko urzędnicy, których władza moskiewska stanowiła skasowani zostali, za pośrednictwem więc policji obywatelskiej rozesłano natychmiast do 35 parafij, powiat upicki składających, Akt Konfederacji i okólne pismo z rozkazem, aby dla uformowania zbrojnej siły narodowej, z każdego domu bez wyjątku, jeden człowiek z bronią palną, lub w niedostatku jej z kosą i siekierą, stawiał się do komisji wojny, a każdy dwór, żeby jednego lub dwa konie z siodłami dostarczył. Plebanom poruczono opublikować po kościołach Akt Konfederacji i odezwy Rządu Tymczasowego, a kluczwójtom, czyli posługaczom policji wiejskiej, zakomunikować je wszystkim mieszkańcom, rewersa z odczytania zebrać i do Rządu upickiego przywieźć rozkazano; dopilnowanie zaś rychłej i ścisłej egzekucji właścicielom lub administratorom dworów i wiosek polecono.

Tegoż dnia postanowiono w Radzie puścić z pod straży urzędników moskiewskiego rządu, wzięwszy od nich tylko zaręczenie na piśmie, iż w niczem woli nowych władz sprzeciwiać się i na szkodę narodowego powstania działać nie będą. Gdy więc w obecności delegowanego od Rady Nieustającej takowe zobowiązanie się własnoręcznie podpisali, wszyscy po kilku godzinach aresztu wyszli na wolność.

Niezwłocznie też okólnik od Rady wysłany wezwał wszystkich urzędników przez szlachtę na ostatnich elekcjach wybranych i gorliwszych obywateli, żeby przybyli do powiatowego miasta dla uformowania urzędu municypalnego i zajęcia miejsc tak w mieście, jako też po parafjach utworzyć się mających.

Przed końcem tego pamiętnego dnia komisja wojny uwiadomiła już Rząd Tymczasowy, że więcej tysiąca ludzi rozmaitego stanu zapisało się w kontroli i przysięgę wykonało; raport zaś komendanta placu doniósł, że warty, w pełną broń zaopatrzone, zajęły swoje stanowiska wewnątrz miasta, reszta siły zbrojnej wystąpiła za miasto i rozłożyła się obozem, a komenda zawierająca kilkadziesiąt kawalerzystów, po większej części szlachty, udała się z Przeciszewskim na forpocztę. Tak tedy komu czas pozwalał mógł używać spoczynku i pierwszej nocy rewolucyjnej bezpieczniej niż przedtem w swoim domu zostawać. Najjutrz Rząd Tymczasowy zatrudniał się ustaleniem władz sądowych, administracyjnych i wykonawczej, oraz przepisaniem dla każdej z nich właściwych prawideł. Był to dzień uroczystości św. Józefa. Po kościołach chrześcijańskich, złożywszy zwykłe modły u stóp ołtarzy, śpiewano *Te Deum laudamus*; po bożnicach innych religij zanoszono do Najwyższego właściwym obrządkiem dziękczynienia i prośby. W powszechnem wylaniu się serc na radość i nadzieje znikła różnica stanów i wyznań, prywatne nawet zajęcia ustąpiły przed wspólną miłością ojczyzny. Między innemi pojednali się, długoletnią nieprzyjaźnią rozdzieleni, Kazimierz Truskowski, Jan Olechnowicz, b. prezydent ziemski, Eustachy Karp i Józef Staniewicz. Ten ostatni, jako z talentów, wziętości i dobrego sposobu myślenia znajomy obywatel, przez Radę Nieustającą do jej kompletu przybrany został. Wieczorem całe miasto, bez wezwania rządowego przez mieszkańców weselących się iluminowane było.

Kiedy ogólny zapał patriotyczny wszystkie namiętności pochłaniał i każdy poświęcał co mógł dla ojczyzny, płeć piękna też nie dała się uprzedzić w zawodzie usług publicznych. Celem przyniesienia pomocy Rządowi tak przez zajęcie się szczególne opieką nad cierpiącą ludzkością w lazaretach wojskowych, cholerycznych i w szpitalach ubogich i niedołącznych, obywatelki polskie założyły komitety dobroczynności w mieście i na wsiach, które zależeć miały od dyrekcji głównego komitetu, pod prezydencją wolnemi głosami wybranej hrabiny z książąt Ogińskich

Załuskiej, codzień w Poniewieżu odbywającego swoje zgromadzenia.

Rada Nieustająca, postępując w czynnościach swoich, ustanowiła urząd municypalny i przyjęła za prawidło, żeby decyzje jej przez samych tylko członków zasiadających do protokołu wpisywane i w kopjach temuż urzędowi municypalnemu dla ogłoszenia przesyłane były. Tym sposobem zapobiegało się nieprzyzwoitościom i nawet szkodliwszym skutkom z plotek kancelaryjnych wyniknąć mogącym; gdy bowiem posiedzenia rządowe odbywały się przy drzwiach zamkniętych, rozprawy członków i powody do nich zostawały tajemnicą, a tylko uchwalone zdania we właściwym czasie wychodziły na jaw.

Urząd municypalny, do którego wezwani byli urzędnicy szlacheccy, godni ufności obywatele, oraz znakomitsi mieszczenie i żydzi, pod ogólną prezydencją najdawniejszego w powiecie urzędnika, b. prezydenta granicznego, Józefa Pawłowicza, zawierał rozmaite wydziały, jako to: sądownictwo, dyrekcję szkół i spraw duchownych, izbę skarbową i obrachunkową, policję sekretną, władzę wykonawczą. Tu też za postanowieniem Rady Nieustającej przyłączony został komitet dobroczynnych patryjotek i skład publiczny czyli archiwum papierów urzędowych.

Władza wykonawcza powierzona była komitetowi głównemu, mającemu dozór nad komitetami w parafjach ustanowionemi, celem egzekwowania rozkazów rządowych, oraz przesyłania wiadomości o potrzebach, życzeniach, a nawet i skargach mieszkańców. Każdy taki komitet parafjalny składał się z miejscowego plebana, od rządu wyznaczonego członka policji i trzech obywateli przez wolną elekcję wybranych. Kompletty tych komitetów formować się miały z trzech obecnych członków, a kancelarja pod zawiadywaniem księży zostawać była powinna. Osobne zaś dyspozycje komitetu głównego, potwierdzone przez Rząd Tymczasowy, stanowiły dalsze przepisy administracyjne.

W pierwszym tygodniu po uczynieniu Aktu Konfederacji ogłoszono wolność i równość w obliczu prawa każdego na ziemi powiatowej znajdującego się lub przy-

być mogącego człowieka. A chociaż powiat upicki liczył do 100.000 poddanych płci obojej, mało z tak śmiałego kroku doznano nieporządków. Rząd bowiem, czuwając nad bezpieczeństwem osoby i majątku każdego, starał się ostrożnie godzić wszystkich interesa. Tak gdy z jednej strony zaprzeczono właścicielom wiosek używać nad włościanami praw dziedzicznych, z drugiej srogiemi karami obwarowano posfuszeństwo władzy publicznej, i od tej władzy zalecono, aby tymczasowie pola dworne i włościańskie uprawione i zasiane były dla ochronienia kraju od głodu, pańszczyznę, szarwarki i tym podobne powinności inwentarzami objęte, znosząc proporcjonalnie do ilości dni, które dawniej odbywali ludzie, wchodzący teraz do szeregów powstańczych. Włóczęgów zaś wszelkiego rodzaju zalecono gospodarzom parafij chwytąć i do powiatowego miasta odsyłać. Ile takie rozporządzenia dagadzały życzeniom ogólnym, najlepszym jest dowodem, iż nikt się nie użalał i ze stu kilkudziesięciu tysięcy wszelkiego stanu mieszkańców, mało kto umiejący pisać, Aktu Konfederacji nie podpisał, lubo najmniejszego w tej mierze nie używano przymusu; a ledwo tydzień upłynął, kilka tysięcy ludzi zbrojnych udało się pod bezpośrednie rozkazy rządu i siła wojskowa powiatu wkrótce do kilkanastu tysięcy wzrosła, nie licząc w to straży wewnętrznej policyjnej, z setników i dziesiętników, podwładnych gospodarzom parafjalnym, złożonej.

Jak niełatwo było zmienić odrazu dawne stosunki właścicieli i poddanych, tak też niemała zachodziła trudność w krótkim czasie ustalić nowy sposób podatkowania i pobory na grunta rozłożyć, gdy pogłówne znieść żądano. Rząd Tymczasowy zalecił więc tylko magazyny dla armji moskiewskiej przygotowane, do wyznaczonych miejsc w powiecie pozwoić, i wezwał obywateli, aby na dalsze potrzeby publiczne, bądź w pieniądzach, bądź w artykułach dobrowolne składki uczynili. Pomimo, że podatki niedawno do skarbu carskiego były wniesione i kraj ucierpiał wiele z przyczyny kosztownego przemarszu wojsk moskiewskich, jednak zaledwo okólnik został opublikowany, zaraz kilkanaście tysięcy rubli srebrnych

wpłynęło do kasy powiatowej, i broń, jaką tylko przed policją moskiewską ukryć zdołano poczęto spieszenie składać w arsenale poniewieskim, nie szczędząc ani pistoletów Küchenreitera, ani strzelb Lepaży, ani w złoto oprawnych szabel i starożytnych karabeli. Znalazło się też kilka zachowanych starannie baryłek poczdamskiego prochu. Wprawdzie wszystko to było niedostatecznem dla zdobycia niepodległości narodowej, ale pokazywało ducha i chęci synów ojczyzny.

Oprócz wyżej wymienionych członków Rządu Tymczasowego, do składania kompletu Rady Nieustającej wezwani jeszcze zostali: ksiądz dziekan Wierciński, członkowie komisji wojny: dowódca piechoty Leon Potocki i dowódca kawalerji Antoni Przeciszewski, prezydent municypalności Józef Pawłowicz i nieco później dowódca trzeciej dywizji powiatowej Józef Korabiewicz, oraz obywatel ksiązę Aleksander Puzyna.

Przybyły z ościennego powiatu wiłkomierskiego w kilkadziesiąt jeźdźców obywatel Medard Kończ, uwiadomił Rząd Tymczasowy, iż zgromadzone w mieście Wiłkomierzu rezerwy trzech dywizyj huzarskich pod komendą generała-lejtnanta Bezobrazowa, formują z burłaków, t. j. osiadłych w okolicach włościan moskiewskich, nowe oddziały, zbierają konie pocztowe i obywatelskie dla skompletowania swoich szwadronów i oczekują na przybycie z Dyneburga dywizji piechoty i brygady artylerji, żeby udać się przez Poniewież na Żmudź. Nietylko więc grożą rozwiniętym już powstaniom, ale mimo najlepszych chęci obywateli, paraliżują największy w Litwie powiat wiłkomierski i nawet trzymają na wodzy sąsiednią część powiatu wileńskiego.

Otrzymawszy takowe wiadomości i one przez emisariuszów sprawdziwszy, Rada Nieustająca postanowiła naprędce zebrane hufce jazdy, strzelców i kosynierów wysłać na pomoc, oswobodzić od huzarów powiat wiłkomierski i, jeśli się to da skutecznie, wziąć miasto powiatowe. Z tego powodu okazała się konieczna potrzeba wyznaczenia naczelnika siły zbrojnej, któryby mając nieograniczoną władzę wojskową i cywilną nawet, mógł mianować

dowódców oddziałowych, działać szybko podług okoliczności Rząd Tymczasowy postanowił takową władzę najwyższą połączyć w osobie swego prezydenta i stosowną do tego decyzję, przez cały komplet podpisaną, dnia 7 kwietnia wręczył Zafuskiemu. Ponieważ oprócz rezerw huzarskich, ruchome komendy kozaków dotkliwie wyrządzały szkody, bacząc na gwałtowny stan rzeczy, nie wzbraniał się Zafuski przyjąć nowego obowiązku z warunkiem wszakże, iż nie przestanie być prezydentem Rządu Tymczasowego, a Rząd ten, mimo przepis aktu konfederacji, czynności swoich nie zawiesi, lecz owszem moc zmiany lub skasowania naczelnika Radzie Nieustającej, jako jedynej w powiecie władzy narodowej pozostanie. Dołączwszy więc do decyzji Rady takowe warunki i powody wszystkich jej rozporządzeń, przesłano urzędowi municypalnemu dla podania do publicznej wiadomości.

Odpowiadając nowo włożonemu na siebie obowiązkowi, zajął się natychmiast Zafuski wyprawą do Wiłkomierza. Ogólnym jej wodzem mianował Franciszka Billewicza, niegdyś kapitana wojsk polskich i kawalera legji honorowej; dowództwo szczególne kawalerji, wyżej wspomnianemu Antoniemu Preciszewskiemu, b. porucznikowi wojsk polskich, strzelców kapitanowi Miłoszowi, a kosynierów porucznikowi Puszyńskiemu, oficerom jeszcze w roku 1812 krzyżami polskimi ozdobionym powierzył i podległych im dowódców cząstkowych powyznaczał. Uprzednio przytoczone przyczyny nie pozwalają mi wymienić obywateli, którzy chlubne w szeregach narodowych zajmowali miejsca, powiem tylko, iż najznacześniejsze w powiecie osoby ubiegały się o ten zaszczyt i na czele swoich niegdyś poddanych pragnęli iść do walki. Przybyli z Wiłna uczniowie uniwersytetu weszli zaraz w służbę i jedni rozmaite powinności przy sztabie, drudzy jako posiadający naukę medycyny, obowiązki chirurgów spełniali. Lekarz z wileńskiej szkoły, Żorgo, oddziałowego doktora, a ksiądz pijar Jackowski wojskowego kapelana czynności przyjęli. Geometrowie powiatowi, komornikami pospolicie zwani na Litwie, użyci byli do zatrudnień kwatermistrzostwa; pełniący

urząd intendenta, Franciszek Dołubowski, upoważnienie do wydania rewersów na wiktuały i zarząd kasy oddziałowej otrzymał, członek zaś Rządu, Kazimierz Truskowski, w powadze komisarza do wyprawy przydany został.

Nie od rzeczy tu powiedzieć, iż kawalerja cała prawie na własnych koniach bez żołdu i z przyzwoitą uległością spełniała służbę, a dowódcy oddziałów, wszyscy urzędnicy wojskowi i cywilni utrzymywali się swoim kosztem.

Powierzona Billewiczowi komenda 1.600 ludzi, 100 koni i przeszło 500 strzelb zawierająca, dnia 8 kwietnia przygotowała się do wymarszu z Poniewieża. Nie wypada mi przemilczeć w tem miejscu okoliczności, które okazały przynajmniej, ile starano się nie zaniedbywać niczego, co by zapał podnieść i ducha pokrzepić mogło. Uszykowane do pochodu oddziały stanęły na cmentarzu przed kościołem parafjalnym, żeby otrzymać poświęcenie chorągwi, błogosławieństwo kapłańskie i rozgrzeszenie duchowne dla idących na bój za sprawę ojczystą. Po wysłuchaniu Mszy św., w ciągu której podczas Ewangelji starym obyczajem polskim dobyto szabel, miejscowy kaznodzieja w języku litewskim, a ogólny dowódca piechoty Potocki i komendant miasta Korabiewicz w języku polskim odczytali stosowne przemowy. Nakoniec Naczelnik, ukląkwszy, z całą siłą zbrojną zaprzysiął się dla oswobodzenia ojczyzny, i przyjąwszy z rąk kapłana poświęconą chorągiew, wziął nowonominowanego chorążego, zaprowadził go na świeżą jeszcze mogiłę jego narzeczonej i wręczył mu znak dla kawalerji upickiej służyć mający z wyszytymi wyrazami: W Bogu nadzieja. Przytomna temu obchodowi płeć piękna, najwyborniejszą wymową, bo łzami rozczulenia, przyłożyła się do wzruszenia serc rycerskich, a siostra niedawno zmarłej dziewczicy dała chorążemu szarfę nieboszczki do noszenia sztandaru.

Po odbyciu parady wojskowej, przed samem wyjściem oddziałów Naczelnik uściskał publicznie Truskowskiego i po trzykroć wykrzyknął: „Niech żyje pierwszy nasz powstaniec“. Poczem uderzono w bębny i trąby, a śpiewając „Jeszcze Polska nie zginęła“ w bojowym szyku, nie powiem wojsko, lecz prawi Polacy, ruszyli w marsz, pełni wzajem udzielanej sobie ufności, że jeśli zwyciężyć wrogów

ojczyzny nie zdołają, to przynajmniej krwią swoją ojczyste niwy użyźnią.

Mnóstwo widzów rozmaitego stanu, płci i wieku, a nawet urzędnicy i oficerowie moskiewscy pozostali w Poniewieżu, wracali do miasta głęboko przejęci uroczystością, której żadna wystawa pysznym monarchom, albo wykwitna ceremonialność ich słuźalcóm właściwa, nie dodawała blasku, lecz wspaniała prostota religijna i braterskie wylanie się uczuć narodowych służyło za ozdobę.

Po wyjściu patryotów pod dowództwem Billewicza, drugi oddział ze 400 kosynierów, 100 strzelców i kilkanastu kawalerzystów uformowany, zaraz pod dowództwem kapitana Kołankowskiego wysłano na granicę Kurlandji, żeby w porządku utrzymywał i bronił parafje pograniczne od rabunków nowotworzonej w Rydze milicji moskiewskiej. Oprócz tego zalecono włościanom i szlachcie, wedle danej na to instrukcji, rozciągnąć kordon pograniczny aż do zetknięcia się z powiatem szawelskim, gdzie komendy b. marszałkowi Burniewiczowi powierzone, podobnż straż spełniały. Niedługo potem trzeci oddział siły zbrojnej z 600 kosynierów i 200 strzelców złożony, pod dowództwem Longina Dworzeckiego, wyszedł z Poniewieża w powiat kowieński na wsparcie powstających w nim patryotów. Tym sposobem ułatwiając powstanie w ościennych, zabezpieczał Naczelnik i swój powiat, a gorliwość obywateli dzielnie pomagała jego zamiarom. W przeciągu dwóch tygodni przeszło 8.000 ludzi stanęło pod bronią powstańców; więcej 300 koni stajennych, około 2.000 strzelb, od policji moskiewskiej i wywiezienia przez nią do Rygi uchowanych ogromne magazyny sucharów, mąki, krup, zboża różnego, kartofli, wielki zapas wódek i znaczną ilość bydła dostarczono do Poniewieża. W kasie powiatowej, lubo na początku powstania tylko kilka tysięcy rubli asygnacyjnych, i zaległości dawniejszych, tak z powodu pory wiosennej, jak szczególnie dla przerwanej komunikacji z Rygą, nie każdy mógł złożyć, było już jednak kilkanaście tysięcy rubli srebrnych. Rada Nieustająca w porządkach administracyjnych uczyniła znaczny postęp. Urząd municypalny władzę wykonawczą i policyjną ustalił po parafjach.

Wydział sądu kryminalnego zajął się niezwłocznie roztrząśnięciem spraw, tak zaległych jak nowozdorzonych, i wyroki Naczelnikowi przedstawił. Ten zaś złoczyńców dawniejszych, jednych całkiem, drugich przez zmniejszenie kary ułaskawił; a wszystkim, co w czasie powstania zawinili, na chwałę odradzającej się ojczyźnie przebaczył. I tak z 80 więźniów zostało 6 tylko pod strażą. Pięciu, o których akta przed kilku laty były wysłane do senatu petersburskiego, szósty obwiniony o szpiegostwo. Za opinie polityczne nikogo w powiecie nie aresztowano; lecz w policji sekretnej utrzymywano księgę czarną i w niej zapisywano złe postęпки. Ktoby zaś pragnął być wymazany z tej księgi, powinien był podać prośbę, aby zarzut ciężący na nim formalnie był osądzony, albowiem każdemu oznajmiano za co do księgi czarnej wpisanym został. Wydział dobroczynności, czyli komitet patryjotek, coraz więcej przynosił użytku, dając ubogim i kalekom odpowiednie ich siłom roboty, oczyszczając powiat z żebractwa; zapomagając szpitale i lazarety, ubezpieczał miasto przeciw grasującej cholercie.

Lubo żadna czynność administracyjna nie mogła być wykonaną bez potwierdzenia Naczelnika, ten również nic nie stanowił bez decyzji Rady Nieustającej. Załuski święcie dotrzymał, co wyrzekł przyjmując władzę: „iż tylko w obozie przed nieprzyjacielem, albo, od czego niech Bóg zachowa, w razie wewnętrznych zaburzeń, użyje powierzonej mu buławy“. A tak bez uszczerbku jego powagi trwała moc Rządu powiatowego. Utrzymanie wszelkich kontraktów uprzednio zawartych, rozlokowanie po obywatelach jeńców cywilnych i wojskowych, opatrzenie potrzeb życia dla żon i dzieci oficerów i urzędników rosyjskich, odesłanie pod eskortą jenerałowej Mejerowej z familją, oraz oficerów rosyjskich z powodu choroby pozostałych, między którymi znajdowali się i oficerowie gwardji carskiej, a na miejsce dokąd udać się życzyli, to wszystko okazywać może sposób, w jaki nowoustalone władze działać zamierzały. Rząd powiatu upickiego wszedł przytem w ścisłe stosunki z rządami powstania innych powiatów, wzajemnie szanowano wydawane paszporta i ułatwiono transporta z Prus amunicji i innych artykułów.

W kilka dni po wyjściu pierwszego oddziału siły zbrojnej Truskowski zawiadomił Naczelnika, że Moskale opuścili powiat wiłkomierski i że komenda Billewicza zajęła miasto Wiłkomierz. Wysłano zatem członka Rządu, Józefa Straszewicza, znaczne majątki w powiecie tym posiadającego, aby wedle danej mu instrukcji, obywatelom wiłkomierskim ogólny cel powstania przełożył, a skłoniwszy ich do jedności ducha, akt konfederacji uchwalić i rząd tymczasowy ustanowić wezwał. Co wszystko gdy skutecznieniem zostało, z doniesieniem o tem przyszła razem następna wiadomość o dalszych pracach komendy Billewicza. Za przybyciem do Wiłkomierza skoro dowiedziano się, że sędzia ziemski wileński, Hipolit Łabanowski, przedsięwziął na drodze do Wilna wstrzymać huzarów; Przeciszewski ze swoim oddziałem pozostał w Wiłkomierzu dla pomocy patryjotom w pierwszych krokach, Billewicz zaś wspólnie z ochotnikami wiłkomierskiego i wileńskiego powiatu, między którymi odznacжали się Ignacy Jeśman, Michał Pietkiewicz, oraz uczniowie uniwersytetu Samocki, Olszański, Przygodzki, Wojtkiewicz, Menne i wielu innych, udał się w pogoń za nieprzyjacielem. Lecz tymczasem nieszczęśliwy Łabanowski dał się uwieść zwodniczym obietnicom generała Bezobrazowa. Będąc w zażyłości z tym nikczemnikiem, przyjął wezwanie do układów, na znak wywieszanej na szpadzie białej chustki zbliżył się osobiście do Moskali, uwierzył ich przyrzeczeniom zaręczonym słowem honoru, że broń i wszelki rynsztunek oddadzą, byleby do Wilna wolno byli puszczeni, kazał swoim strzelcom odstąpić od rzeki i most składać dozwolił. Nie wzięły skutku czynione mu przestrogi, aby unikał zdrady i pamiętał na to, że sam car zalecił ukazem nie dotrzymywać słowa Polakom. Obłąkany chytrącią zaprowadził nieprzyjaciół do domu, w którym był gospodarzem i postrzegł się zapóźno, że został jeńcem. Pogoń z Wiłkomierza nie dosięgała tedy huzarów w miejscu, gdzieby niezawodnie poddać się musieli. Łabanowski utratę tego zwycięstwa opłacał życiem. Okuty bowiem w kajdany i zawieziony do Wilna wkrótce został rozstrzelany, jak twierdzą z tego powodu najbardziej, iż nie chciał wyjawic, kto oprócz niego miał udział

w powstaniu. Billewicz wszakże dognał tylną straż Moskali o kilka mil od Wilna, zabrał bagaże i kilkadziesiąt ludzi wziął w niewolę. W skutek tych wypadków powiat wiłkomierski i część wileńskiego wydobyły się z pod władzy ciemiężców. W wiłkomierskim, marszałek powiatowy Benedykt Pietkiewicz ze znakomitszymi urzędnikami stanął na czele nowego rządu; w wileńskim Aleksander Jeśman uformował w miasteczku Szyrwintach Komitet czyli zarząd tymczasowy tego powiatu. Przeszło 200.000 mieszkańców płci obojej pomnożyło liczbę współbraci oddychających już swobodą. W stronie północno-zachodniej z pod samej stolicy Litwy aż do granic Prus i Kurlandji organizowało się rozpostarte powstanie, a tymczasem w innych okolicach szybko zrywano się do broni.

Wśród powyżej opisanego stanu rzeczy poczęli przybywać od stron bliższych Wilna i Poniewieża deputowani rządów powiatowych i głównego komitetu wileńskiego, z wezwaniami, aby Naczelnik upicki objął komendę generalną nad siłą zbrojną przeznaczoną na zdobycie Wilna. Zambrzycki zaś, który najpóźniej, bo 14 kwietnia, prosto z tego miasta przyjechał, miał nawet z sobą uchwalony plan oblężenia i ataku. Zaiste opanować Wilno zewszęcmiar bardzo było potrzeba. Bo tam jedynie mógł być ustalony rząd Litwy, a co większa, stamtąd tylko broni, rynsztunku, amunicji i tym podobnych rzeczy, których niedostatek żywo dawał się już czuć, dostać było można. Ale plan opanowania ułożony na stoliku, nie przypuszczał żadnych przeszkód i przeciwnych trafunków. I tak np. przeznaczonych do tego celu 30 000 ludzi znajdowało się istotnie pod bronią w różnych powiatach, lecz czy mogli oni przyjść na wytknięte im punkta, to pozostawało jeszcze rozwinąć. Zafuski przeto sprzeciwiał się uchwalonej wyprawie, twierdząc, iż mieszkańcy Wilna sami byli powinni rozbroić, a przynajmniej wyprzeć Moskali, jak po miastach powiatowych uczyniono, że do tego daleko więcej mieli sposobów, niżeli zewnętrzna pomoc przynieść im mogła, bo młodzież akademicka, palestra, rzemieślnicy i w ogólności znaczna część mieszkańców okazywała gotowość do zbrojnego poruszenia; że gdy w pierwszych chwilach

opuściwszy najdogodniejszą porę, nie potrafiono wreszcie korzystać z owego momentu, kiedy huzarzy, rejterując się przed oddziałem upickim, z popłochem wpadli do miasta, trudno już nagrodzić stratę czasu. O powstaniu bowiem gubernji grodzieńskiej nie było pewnej wieści i spodziewać się należało, że rezerwy armji moskiewskiej przybędą z tej strony w pomoc swoim. Uważał przytem, iż główny komitet wileński działał nietrafnie, a zwłaszcza iż musiał być złożony z ludzi nadto ostrożnych, kiedy żaden z członków nie ośmielał się nawet objawić swego imienia. Zastanowił się nakoniec, iż po wyjściu z powiatów obywateli uzbrojonych, mniej gorliwi mogliby łatwo zboczyć do osobistych widoków i dawnych sejmikowych rozterków z uszczerbkiem publicznej sprawy.

Gdy jednak po osobno od rządów powiatu wileńskiego, zawilejskiego, oszmiańskiego i trockiego przyszły oświadczenia na piśmie, iż powszechnem życzeniem jest, aby Załuski, mając przy sobie za szefa sztabu świeżo przybyłego z Wilna członka głównego komitetu, a niegdyś kapitana wojsk francuskich i kawalera legji honorowej, Antoniego Goreckiego, oraz do rady po jednym lub po dwóch deputowanych z każdego powiatu, przewodniczył wyprawie zamierzonej nieodszownie, zwłaszcza gdy zgłosili się do niego w tej mierze pułkownicy książę Ogiński i hrabia Przezdziecki, nie mógł dłużej wahać się względem objęcia powierzonej mu komendy, albowiem niepomyślność późniejszych wypadków przypisana zwłoce, mogłaby całkiem spaść na niego.

Zostawiwszy więc Radzie Nieustającej rządu powiatu, Naczelnik upicki dnia 15 kwietnia udał się do Wiłkomierza, gdzie Gorecki i deputowani na niego oczekiwali. Zaraz nazajutrz, stosownie do gotowego już planu, rozesłano następujące rozporządzenia. Siłę zbrojnej powiatu wileńskiego kazano zbierać się i dalszych rozkazów oczekiwać o jeden marsz od Wilna, koło Mejszagofy. Oddziałom zawilejskim i brasławskim zalecono na drodze do Święcian i Widz w tejże odległości stanąć pod Niemenczynem. Powstaniu oszmiańskiemu, które podług Przezdzieckiego zgórą 6.000 ludzi liczyło, przeznaczono podob-

nyż punkt na gościńcu od Oszmiany. Między Wilją zaś i ujściem rzeki Świętej, opodal gór Ponarskich, troczanie, upiczanie i wiłkomierzanie zbierać się mieli. Oddziały trockie z Ogińskim i upickie pod dowództwem Billewicza stały już nad Wilją. Resztę upickich kazano Potockiemu prowadzić z Poniewieża na Szaty i Janów do Kowgan, dokąd też Izenszmit i Kołyszko z nowouformowanymi w Wiłkomierzu szwadronami jazdy, kompanjami strzelców i jednofuntową armatką przybyć byli powinni. Podług tych dyspozycji, w przeciagu dni kilku, kilkanaście tysięcy ludzi, w odległości mil trzech od Wilna, zasłonięte stanowiska zająć i na dalsze rozporządzenia naczelnego dowódcy oczekiwać miało.

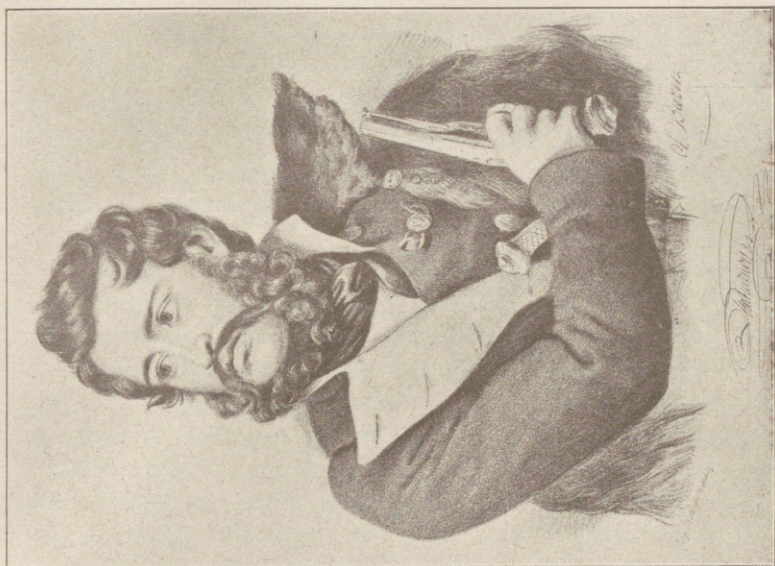
Powstaniu kowieńskiemu pod dowództwem Prozora, obserwację miasta Kowna i straż przeprawną Wilji, Platerowi i innym wiłkomierzanom działającym koło Ulciany, wstrzymywanie komend nieprzyjacielskich od Dyneburga, powiatom żmudzkiem przeciw głównym wojskom, a pogranicznym oddziałom upickim przeciw napadom kozackim z Kurlandji opór poruczono.

Chciano wtedy, zabezpieczywszy się zzewnątrz, wspólnie ze wszechstron uderzyć na Wilno. Naczelnik wyprawy, jak widać, miał zamiar w razie nieudania się pierwszego ataku, cofnąć się na uprzednie stanowiska i powtarzanymi usiłowaniami ciągle męczyć garnizon moskiewski. Nietylko bowiem rozkazał, aby dla każdego oddziału na 15 dni żywność była przygotowana, ale i względem regularnej dostawy na dalszy czas przedsięwzięto środki.

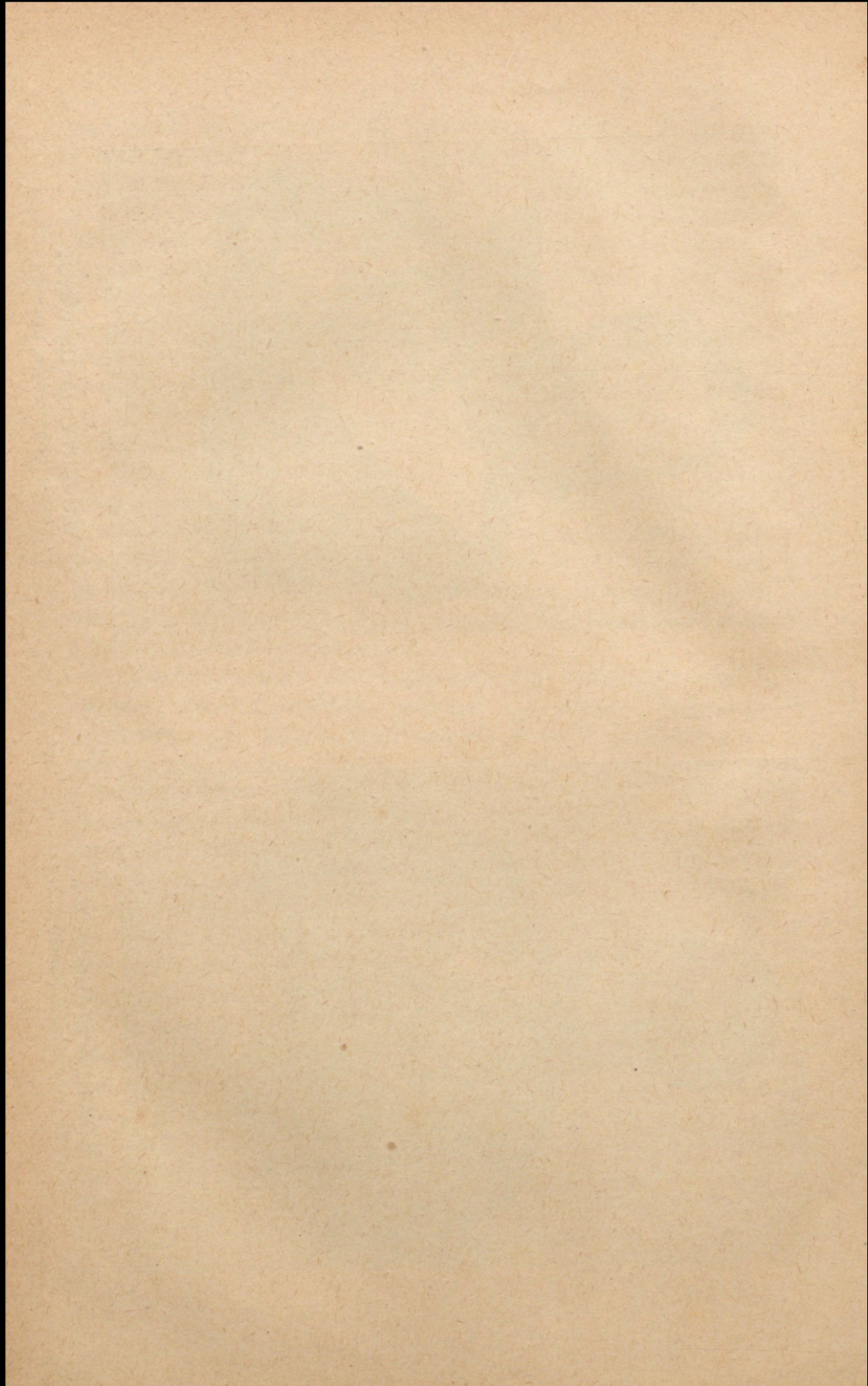
Dnia 17 kwietnia Załuski z oddziałami powstańców trockich i upickich pod dowództwem Ogińskiego, Matusewicza i Billewicza będącymi, przeprawił się przez Wilję w Czabiszkach i tejże nocy stanął obozem w leśnej okolicy pod wioseczką Kowgany zwaną, o mil kilka od Wilna. Tu czekając dalszych sił na wyprawę przeznaczonych, wszystkich oddziałów, które między Wilją i rzeką Świętą zebrać się miały, komendantem naznaczył Ogińskiego; ogólne dowództwo piechoty Billewiczowi, a jazdy Przeciszewskiemu, powierzył. Przy sztabie federacyjnym powiatów, oprócz szefa sztabu Goreckiego, znajdowało się kilku



EZECHJEL STANIEWICZ
wódz powstańców rosteńskich.



WINCENTY MATUSZEWICZ
wódz powstańców trockich.



deputowanych. Radca stanu Król. Pol., Marcin Zalewski, podjął się spełniać czynność intendenta. Doktor medycyny Baranowski, objął inspekcję nad ambulansami. Jeden z oficerów polskich, trudniących się przed powstaniem robotą drogi bitej z Kowna do Dyneburga i kilku geometrów miejscowych wezwano do służby kwatermistrzostwa. Młodzi obywatele użyci za adjutantów zawiadywali kancelarją sztabową.

Obecna siła zbrojna w Kowganach była jak następuje. Trzy oddziały piechoty upickiej, Billewicza, Miłosza i Puszyńskiego, zawierały 400 strzelców i do 1.000 kosynierów. Troczanie, których miasto powiatowe i znaczną część powiatu zajmował pułkownik Kotuzoff z komendą regularną i kapitan sprawnik z bandami uzbrojonych burłaków, mieli pod dowództwem Matusewicza, Rudominy i innych, 300 strzelców i przeszło 1.000 kosynierów. Jazda cała wynosiła 140 koni. Wogóle było blisko 3.000 ludzi.

Ponieważ z pod Kowna i Trok do Wilna komunikacja Moskalom została wolna, wojenny generał gubernator wileński Chrapowicki, powziąwszy łatwo wiadomość o zgromadzeniu się powstańców, chciał uprzedzić kroki zaczepne. Tym końcem wyprawił pułkownika Litwinowa z kilkuset końmi kozaków Kabardyńców, kilku kompanjami piechoty i trzema działami, żeby jednocześnie z pułkownikiem Kotuzowem stojącym w Trokach, napadł niespodzianie na patryjotów zbierających się pod Kowganami. Lecz szpieg przed wojskiem wysłany z Wilna, a przejęty i badany w obozie patryjotów, wydał tajemnicę ułożonej na nich wyprawy. Natychmiast więc, to jest po północy 20 kwietnia, Załuski wysłał Stanisława Mickiewicza w 15 koni dla sprawdzenia zeznań szpiega, a o wschodzie słońca, wedle planu Billewicza, poczyniono przygotowania na przyjęcie nieprzyjaciela. Ranek upłynął cicho, dopiero o południu doszła niezawodna wieść, że Mickiewicz z całą swoją komendą wpadł w ręce kozaków i stosownie do manifestu carskiego rozstrzelany został. Razem też dano wiedzieć, że Moskałe zatrzymali się o kilka wiorst od Kowgan w Owsianiskach, folwarku obywatela Matusewicza, ojca dowódcy oddziałowego troczan, skąd jakoby już nie do Kowgan, lecz

do Trok dla połączenia się z Kotuzowem iść mieli, ponieważ sprawnik ostrzegł ich o przemagającej sile powstańców. Przeciszewski tedy podał myśl uderzyć na przednią straż nieprzyjaciela. Naczelnik, przyjąwszy ten projekt, uradził z Billewiczem jak go wykonać. Billewicz i Miłosz, wziąwszy paręset strzelców i tyleż kosynierów udali się na brzeg lasu, sam zaś Załuski i Przeciszewski w dziewięćdziesiąt koni rozdzielonych na dwie części ruszyli do Owsianiszek, żeby ubiec w porze obiadowej Kabardyńców składających awangardę, a jeśli się nie uda gwałtownym napadem zmusić ich do odwrotu, to starać się całą komendę Litwinowa na zasadzki wprowadzić. Reszta więc oddziałów miała rozkaz czekać w uprzednich stanowiskach.

Dwór owsiański leży o parę tysięcy kroków od lasu wśród obszernych pól ornych. Kozacy opatrzyli się i poczęli zmykać, zapalona jazda powstańska pędziła za nimi, aż wszystkie trzy działa moskiewskie dały ognia kartaaczami. W nagłym odwrocie legło kilkunastu młodzieży, ale stratę tę powetował zaraz Billewicz, który ukryty w krzakach, przypuściwszy Kabardyńców ścigających nawzajem, kazał zbliżać strzał rozpocząć i ze trzydziestu ubił na miejscu i wielu poranił. Kilkakroć później odpierając tyraljerów i nie dając się ustraszyć ciągłym ogniem działowym, dotrwał w pozycji do końca, gdzie zawsze spodziewał się wprowadzić całą komendę moskiewską. Lecz Litwinow nie odważył się opuścić wzgórza, na którym stała jego artylerja, i o zachodzie słońca, nie do Trok już miał zamiar, ani do Kowgan, gdzie go przyjąć życzone, ale nazad do Wilna pomaszerował.

Natenczas Billewicz, zostawiwszy komendę Miłoszowi, udał się sam do obozu, w którym Załuski za powrotem z wycieczki, potrwożone umysły uspakajał i wydawał rozkazy, żeby dawne stanowiska zajęto.

Wieczorem przy blasku roznieconego przez cofających się barbarzyńców pożaru we dworze, karczmie i wsi owsianiskiej, Miłosz zszedł z placu bitwy. Matuszewiczowi polecono rozłożyć biwaki swego oddziału koło zgorzelisk ojcowskiego domu i na niwach własnej ziemi pogrzebać ciała poległych. Patrjoci dnia tego stracili kilkudziesięciu

ludzi i mieli wielu ranionych, w liczbie których Miłosz dostał kontuzję od granatu, a dowódca jazdy Przeciszewski i sprawujący obowiązek adjutanta przy Naczelniku, Ludwik Zambrzycki, kulami pistoletowymi, pierwszy w rękę, drugi w usta ugodzeni byli, lecz wszyscy trzej służby pełnić nie przestali. Moskale nie mniejszą ponieśli szkodę, lecz z pewnością jej oznaczyć nie można, bo to tylko od mieszkańców wioski było wiadome, że oprócz dwóch oficerów, których zakopali, resztę trupów spalili z dworem owsianiskim. Rannych zaś kilkanaście wozów na drodze wileńskiej spotykano.

Nazajutrz, upewniwszy się dostatecznie o kierunku nieprzyjaciela, patrjoci odprawili w swoim obozie solenne nabożeństwo, a przez Goreckiego improwizowane wiersze, pamiątkę kilku poległych zachowały. Tegoż dnia złożono radę, na której postanowiono pozostać w Kowganach i czekać powrotu posłańców wyprawionych w rozmaite strony dla powzięcia wiadomości o różnych częściach powstania. Wkrótce też zaczęły nadciągać spodziewane oddziały — Potockiego, Izenszmity i Kofyszki. Dwa dni następne, 22 i 23 kwietnia, upłynęły na przeglądach i uporządkowaniach wojskowych. Tymczasem nadchodziły i doniesienia z okolic odleglejszych. Otrzymano najprzód w obozie federacyjnym smutną wieść o wzięciu Oszmiany przez pułkownika Wersilina i o popełnionych w nich okrucieństwach. Przyczem Przezdziecki raportował, że cofnął się do Wiszniewa o 11 mil za Oszmianę, a zatem przeszło o 20 mil od Wilna. Z pod Uciany przybyły obywatel oznajmił, że oddziały Płatera, Grotkowskiego, Lisieckiego i innych, lubo dały opór Schirmanowi, nie mogły mu jednak przeszkodzić zwrotu na Poniewież. Z kowieńskiego Prozor doniósł, że Herubowicz z oddziałem szawelskim zbliżył się był do Kowna, ale bez pomocy nie śmiał zdobywać miasta i pomaszerował nazad. Ze Święcian doszła niewątpliwa wiadomość, że generał Chiłkow z dywizją rezerwowych wojsk moskiewskich, nadciągnąwszy z gubernji grodzieńskiej, powiat zawilejski zajął, władze dawniejsze umocował i poszedł sam do Wilna. Co też poświadczyli akademicy od głównego komitetu wileńskiego z miasta wysłani

na zwiady. Z Niemenczyna przybyły kapitan Giecowicz o niemożności zebrania się wileńskich oddziałów objaśnił. Rząd upicki nakoniec pismem swoim zawiadomił, że generał Mejer wkroczył już do powiatu, a generałowie Nabokow i Schirman z innych stron zająć go mają. Donosił przytem, że ostatni z nich prowadzi znaczny zapas amunicji i dąży na Szawle do generała Pahlana.

Rozważywszy wszystkie te okoliczności, rada wojenna większością zdań uchwaliła opuścić Kowgany i z obecną siłą zbrojną do 7.000 wynoszącą, przeprawić się na prawy brzeg Wilji. Zaniechano tedy, czyli do pomyślniejszej pory odłożono zdobywanie gubernjalnego miasta. Odzywały się wprawdzie niektóre głosy aby jeszcze próbować szczęścia, szczególnie polegając na tem, że znani z patryjotyzmu mieszkańcy Wilna i młodzież uniwersytecka, ciągle z ukrytą bronią oczekująca hasła do wybuchu, ułatwią szturm przez dywersję wewnątrz. Ale przemogło zdanie tych, którzy mieli na uwadze, że podług świeżo otrzymanych wiadomości, Przeddziecki zamiast przybycia w pomoc, bardziej się jeszcze oddalił, i na zebranie się innych oddziałów rachować nie można, a przecież Chiłkow wsparł załogę Wilna; że Schirman i wkraczające komendy moskiewskie grożą opuszczonym okolicom, że dopiero stoczona bitwa powinna była przekonać, jak trudno tłum ludu bez żadnej taktyki i subordynacji wojskowej może mierzyć się z wyćwiczonym żołnierzem, a tembardziej zdobywać miasto murowane i otoczone działami, w którym było kilka tysięcy regularnego wojska pod władzą doświadczonych generałów; że gdyby patryjoci miejscy mieli znaczną siłę, toby, jak słusznie mówił Załuski, w pierwszym momencie rozbroili garnizon, że nakoniec niepomyślny skutek zuchwałego przedsięwzięcia nie tylko gorliwszych mieszkańców Wilna mógłby zgubić, ale i całemu powstaniu śmiertelny cios zadać. Stosownie tedy do utrzymanej w radzie obozowej decyzji, marsz na drugą stronę rzeki niezwłocznie rozpoczętym został...

W POWIECIE KOWIEŃSKIM

(PAMIĘTNIK MAURYCEGO PROZORA)

Działania w celu ogólnej insurekcji zaczęły już postępować szybkim krokiem; emisariusze rozesłani po różnych powiatach zdawali najpomysłniejsze raporty o dobrym duchu determinacji obywateli. Ks. Ogiński miał objąć naczelnictwo i dzień oznaczyć do ogólnego powstania, gdy przedwczesne wybuchnięcie rewolucji żmudzkiej, 25 marca 1831 r., czynności te sparaliżowało; a tak niejednoczesne powstania powiatów, z przyczyny zbyt gorliwości Żmudzinów, mniejsze uczyniły wrażenie na nieprzyjacielu, i mniej dobrego skutku na przyszłość przyniosły.

Powodowany miłością ojczyzny i żądzą wydobywania jej z pod jarzma, nie ufając własnym siłom, abym stanąwszy na czele powstania mojego powiatu, zdołał jak należy odpowiedzieć tak wielkiemu powołaniu, rzuciłem okiem wokoło, chcąc wynaleźć zdatnego na ten cel człowieka; lecz brak determinacji w jednych, nieobecność innych, niemniej podejrzenie władz moskiewskich ściągające na mnie przez nieostrożnych emisariuszów, których w różne strony na zakupienie broni i amunicji wysłałem, zagnęły mnie, że we dwa dni po wybuchnięciu powstania na Żmudzi, to jest 27 marca, chorągiew wolności w powiecie kowieńskim podniosłem.

Mocne i obronne położenie miasta Kowna, odnowione fortyfikacje i garnizon składający się z sześciu tysięcy regularnego wojska i pół baterji artylerji, gdy mi nie dozwoliły zamyślać o korzystnym zdobywaniu tego miasta, przez cały bowiem przeciąg wojny na Litwie nigdy siły moje dwóch tysięcy ludzi nie dochodziły, a z tych ledwie dziesiąta część w broń ognistą, to jest w strzelby myśliwskie bez bagnetów była opatrzona, reszta zaś miała tylko kosy i kije ćwiekami osadzone; czując nieodbitą potrzebę obrania punktu, w którymby się obywatele do podpisania

aktu konfederacji i wezwani przeze mnie do zasiadania w utworzyć się mającym komitecie zgromadzić mogli, miasteczko Janów, o mil pięć od Kowna nad rzeką Wilją leżące, za najdogodniejsze do tego osądziłem. Natychmiast oficer Korneli Piotrowski z silnym podjazdem do zrekonstruowania siły znajdującego się tam nieprzyjaciela posłany, widząc go słabszym, po kilku wystrzałach, miasteczko z magazynami żywności i składem różnych efektów wojskowych zajął. Znalezione w tym składzie siodła, czapraki, terlice, munsztuki, flintpasy i t. d. oraz narzędzia żelazne przygotowane do mających się rozpocząć robót około szosy, częścią na lance i piki za moim rozkazem przerobione, na mój oddział rozdałem, resztę zaś udzieliłem powstańcom innych powiatów.

Członkowie komitetu: Michał K., Ignacy W., Wincenty S., Ignacy B., Stanisław W., później zaś uszli z więzienia moskiewskiego Stanisław G. i Antoni M. godnie w dostawianiu żywności i furazju dla wojska, w wybieraniu kantonistów, w zagrzewaniu i zachęcaniu ludu do stawiania w szeregach bratnich, tak trudnemu odpowiedzieli powołaniu. Otoczeni ze wszech stron ciemą nieprzyjaciół, zmuszeni codziennie prawie miejsca narad odmieniać, nieraz w nędznych chatach lub w lasach skryci, nie tracili serca ci czcigodni obywatele, a miłością ojczyzny i wolności zagrzani, nie ustawiali w działaniach swoich, dopóki przyjsie Giełguda na Litwę i nieszczęśliwy los oręza jego, najświetniejszym nadziejom naszym nie położyły kresu. Oddając hołd poświęceniu się i zasługom ziomków moich, mam sobie za powinność wspomnieć o jednym jeszcze obywatelu. Bernard Szukszta, na początku zaraz powstania opuściwszy rodzinę i dom zamożny, we sto koni i dwieście piechoty, które sam zebrał, do moich szeregów się przyłączył i wspólnie z nami wszystkie trudy podzielał.

Rozpoczęte czynności komitetu uwolniły mię od wielkiej części zatrudnień i pozwoliły czynniej zająć się działaniami wojennymi. Postanowiłem zatem rozciągnąć najprzód łańcuch mego oddziału od Janowa do miasteczka Rumszyszek, to jest od Wilji do Niemna, dla przecięcia komunikacji nieprzyjaciela między Wilnem i Kownem,

gdzie się te dwie rzeki łączą, i przerwania wszelkich stosunków między mocnemi tych miast garnizonami, tembardziej, że powstania żmudzkie i augustowskie, z dwóch stron Kowno okrążające, tę jedną tylko zostawiały znajdującemu się tam garnizonowi komunikację z Wilnem. Przestrzeń ta, na cztery mile rozległa, nie mogła być dostatecznie osadzoną małą ilością wojska z tysiąca pięciuset tylko ludzi złożonego; że zaś kurjery moskiewskie zapomocą burfaków, których liczne są w tej okolicy osady, lasami przekradli się, zacząłem się posuwać ku Kownu, a tak, skracając linię między rzekami, coraz mniej wojska do ściślejszego jej osadzenia potrzebowałem. Widząc nieprzyjaciel w Kownie zamknięty, tę ostatnią jaką mógł mieć komunikację z innemi korpusami przeciętą, i coraz zmniejszającą się przestrzeń do furazowania i rabunku, całą siłą, jak się potem okazało, wystąpił ku mnie. Nie chcąc odstąpić raz ułożonego planu, zaufany w dobrym duchu mojego żołnierza i nie spodziewając się, aby nieprzyjaciel całe swe siły chciał wyprowadzić z Kowna, zgromadziłem oddziały i bitwę przyjąć postanowiłem.

Spotkaliśmy się 18 kwietnia w okolicach wsi Kormiatowa. Rozwijające się kolumny nieprzyjacielskie o nierówności sił naszych wątpić mi nie dały, lecz zaspakajała mnie dobra pozycja przez nas zajęta; miałem bowiem za sobą las rozległy, prawe skrzydło opierało się o parowy błotniste lasem zarosłe, które mi za nieprzebyte dla wojska regularnego wystawiono. Wytrzymałismy pierwszy ogień nieprzyjaciela, i choć mniej hucznie dla braku dział, należycieśmy nań odpowiedzieli. Niestety mieć chciało, że burfacy tam zamieszkali, znając lepiej od nas najskrytsze tych gór ścieżki, przeprowadzili niemi znaczny oddział kawalerji i część artylerji nieprzyjacielskiej. Nie spodziewanie przeto zaatakowane z boku i złamane lewe skrzydło moje poszło w rozsypkę. Nie mogąc opierać się dalej przemagającej sile, oraz chcąc wprowadzić nieprzyjaciela na zasadzki, które w dogodnych do tego punktach przechodząc przez las porozstawiałem, zacząłem się cofać gościńcem do Janowa prowadzącym. Ale nieprzyjaciel nie śmiał posunąć się dalej za nami, a trofeami jego zwycię-

stwa (jeżeli ten odwrót mój przegraną nazwać można) były pożogi wiosek przez nas opuszczonych. Nie na tem się jednak kończyła wściekłość barbarzyńców. Podpalając domy, zamykali w nich nieszczęśliwe rodziny rolników, i z dziką radością przypatrywali się płomieniom pożerającym własność i właścicieli. Stu dwudziestu kilku ludzi utraciliśmy w zabitych i w zabranych w niewolę. Nieprzyjaciel stracił dwieście w zabitych. W tej rozprawie zginął najstarszy dowódca kozaków.

Po uczynionym przeze mnie przeglądzie oddziału, za powrotem do Janowa z żalem spostrzegłem, że dezercja o połowę go zmniejszyła. Już więc tylko codziennymi prawie podjazdami, wysyłanymi na gościniec do Wilna prowadzący, utrudzałem nieprzyjaciela, przecinając mu komunikacje. Razu jednego oficer Kalikst Or... na czele kilkunastu ludzi w nocy wpadł nawet na przedmieście Kowna, zrobił alarm i bez straty się cofnął.

W tym właśnie czasie korpus powstańców kilku połączonych powiatów uczynił odwrót z Wilna na Żmudź, dla opatrzenia wojska, ile to być mogło, w odzież, broń, amunicję, oraz dla uczynienia nowych zaciągów. Odebrałem wezwanie od naczelnika tego korpusu, Karola Załuskiego, abym z oddziałem moim opuścił Janów i stanął w Kiejdanach, na granicy Żmudzi, dla opierania się wszelkim korpusom nieprzyjacielskim, któreby chciały przez ten punkt wkroczyć na Żmudź. Wezwanie to i dla pomocy, którą wzajemnie sobie dawać byliśmy powinni, i dla powiększenia znacznie uszczuplonego mego oddziału, gdyż z tamtych okolic powiatu kantoniści jeszcze dostawieni nie byli, chętnie przyjąłem, i natychmiast, zniszczywszy najprzód statki przewozowe na Wilji, wyruszyłem do Kiejdan.

Najpierwszą było moją czynnością, gdym przybył do tego miasta, zakupienie małej, znajdującej się tam w okolicach ilości prochu i ołowiu, oraz naprawa broni. Niedługo się tem jednak zatrudniać mogłem, gdyż w kilka dni potem, 19 kwietnia, uwiadomiono mnie o zbliżaniu się najspieszniejszym krokiem, drogą od Kowna, korpusu generała Sulimy, złożonego z 3.000 piechoty i pięciu dział pod dowództwem generała Offenberga. Patrol dla przeko-

nania się o tem wysłany przeze mnie, w lesie na załamaniu drogi tak blisko zszedł się z awangardą nieprzyjacielską, że z rozproszonych, jeden tylko podoficer na najlepszym koniu ujął i oznajmić mi o tem potrafił. Chociaż rzeka Niewiaża, wezbrana na wiosnę, oddzielała mnie od nieprzyjaciela, a domy nad samym brzegiem rzeki i blisko mostu obronę jego ułatwiały, niewiele jednak liczyć mogłem na swoich, mając na uwadze szczupłość mego oddziału; siły bowiem nasze składały się ze stu strzelców, stu kosynierów nieczynnych w tej bitwie i ośmdziesięciu koni.

Gdy po przybyciu podoficera wysłanego na patrol wyszedł na most z którego przestrzeń z gościńca widzieć było można na dwie wiorsty, już ujrzałem kolumny nieprzyjacielskie śpiesznym marszem postępujące. Prędkiego ta okoliczność wymagała postanowienia. Nie zrobiono przygotowania do zniszczenia mostu, i okolice miasta na dwie mile bezleśne, gdy z tak małą garstką nie mogły mi obiecywać pomyślnego odwrotu, wołałem dając odpór na miejscu nie pewnemu zawierzyć się losowi. Rozkazałem zatem zrzucić z mostu barjery i w środku jego kilkadziesiąt desek, zostawiając tylko trzy belki podłużne do przejścia pieszym. Rozstawiłem strzelców przed mostem, ze strony miasta, ukrywając ich ile było można za pobliskie domy, kawalerja zaś po obu stronach miasta postawiona miała rozkaz patrolować w czasie boju po nad brzegiem rzeki, dla niedopuszczenia przeprawy, jeżeliby myślał o niej nieprzyjaciel. O godzinie trzeciej po południu, kawalerja moskiewska trunkiem zagrzana, ze zwykłym sobie okrzykiem hura! wpadła na most kłusem w kolumnie, i gdy się nad otworem w moście zrobionym, nie postrzegłszy go pierwiej, o trzydzieści kroków od rozstawionych strzelców moich wstrzymała, kazałem dać ognia, i zaraz kilkunastu ludzi i kilka koni na miejscu padło. Zmieszani Moskale, gdy bez porządku zaczęli uciekać, kilkadziesiąt koni w ścisku, z mostu na kilka sążni wysokiego w wodę wtrąconych stracili. Wtem się rozpoczął ogień z ręcznej broni i pięciu dział nieprzyjacielskich, lecz gdy się przekonali, że to nie mogło szkodzić ukrytym za domami, kolumna piechoty z bagnetem w rękę na most się rzuciła. Na nim na trzy

kolumny po jednym rozdzieleni dla przejścia trzech belek podłużnych zostawionych, gdy już do środka ich dochodzić zaczęli, wybiegliśmy z za domów, i zbliżywszy się do przerwy, strzelając o kilka kroków i kolbami strącając żołnierzy z belek, zmusiliśmy nieprzyjaciela do najnieporządnieszego odwrotu. Kilkaset kroków już na drugiej stronie rzeki goniliśmy za nim, rażąc uciekających tyraljerskim ogniem; lecz z rozstąpionych szeregów, kartaczowy ogień pięciu dział na pierwsze do mostu stanowisko nas odparł. Nie będę się dalej rozszerzał nad wszystkimi szczegółami tej bitwy; powiem tylko, że w przeciągu sześciu godzin przy nieustającym ogniu ręcznej broni i artylerji, nieprzyjaciel cztery razy usiłował zdobyć most bagnietem; lecz tyleż razy odparty aż za przedmieścia, około trzechset ludzi w ubitych i utonionych, stu górą rannych i kilkunastu oficerów utracił. Z naszej strony zginęło dwudziestu strzelców i siedemnastu raniono. Mężny oficer Florjan Dz... zaszczytnie odznaczył się w tej bitwie i chlubne rany odniósł. Noc położyła koniec walce. Nieprzyjaciel za miastem obozem stanął. O godzinie 10-ej wieczór dałem rozkaz do wymarszu, a noc ciemna dopomogła, żeśmy niepostrzeżeni od nieprzyjaciela z miasta wyszli, i przed wschodem słońca, o dwie mile od Kiejdan, w miasteczku Datnowie, gdzie się już ciągłe lasy zaczynają, dla spoczynku zatrzymali.

O wtargnięciu na Żmudź generała Sulimy dałem znać wszystkim oddziałom powstańców znajdującym się w tej prowincji; gdym się zaś dowiedział, że nieprzyjaciel nie wprost za mną, lecz na wieś Krakinów krążąc ku Szawłom zmierzał, posuwając się w takimże kierunku, i nie spuszczać go z oka dla dania pomocy, jeśliby tego była potrzeba oddziałom naszym w takich okolicach obozującym, stanąłem w miasteczku Bejsagole. Sprawdziło się moje przecucie: miałem szczęście 5 maja zasłonić odwrót oddziałów kawalerji upickiej i wiłkomierskiej i odeprzeć nieprzyjaciela z pod tego miasteczka...

Dziewięć tygodni trudnej i nierównej walki wyczerpały nakoniec siły i cierpliwość żołnierzy naszych. Niepewność, czy się doczekamy jakiej ze strony regularnego wojska pomocy, pomimo żeśmy często cieszyli naszych nadzieją,

zmyślając różne pisma i doniesienia z Królestwa, kończące się zapasy, powiększające się coraz siły nieprzyjacielskie oddziałami z Moskwy przybywającemi, to sprawiły, że ludzie słabszego umysłu gromadnie zaczęli opuszczać szeregi wszystkich oddziałów powstania litewskiego. Oddział mój zmniejszony zaledwie z sześćdziesięciu strzelców i tyluż konnych się składał. Niewiele mając do stracenia, powziąłem, może zanadto śmiały, lecz pożyteczny, gdyby się był udał, zamiar wejścia w granice Królestwa i przedarcia się do głównej armji, lub do pierwszego bliższego korpusu polskiego dla wystawienia mu stanu powstania na Litwie i potrzeb naszych; z wysłanych bowiem emisariuszów do wodza naczelnego, żaden jeszcze nie był wrócił; a położenie nasze, zwłaszcza dla braku amunicji, stawało się coraz niebezpieczniejszem. Zbliżyłem się zatem do brzegów Niemna dnia 22 maja i w miasteczku Wielonie naprawiwszy mały statek podziurawiony przez nieprzyjaciela, przeprawiłem się co rychlej. Postępujący za nami nieprzyjaciel widział nas na drugiej stronie rzeki, i nim działa swoje ku nam odprzodkował, jużśmy byli górą zasłonięni.

W marszu przez województwo augustowskie, zmierzając ku Grodnu, dowiedziałem się, że naczelnik powstania tego województwa major Puszet, po nieszczęśliwej bitwie pod Marjampolem, z małym oddziałem powstania żmudzkiego wpędzony przez nieprzyjaciela do Królestwa, utrzymywał się jeszcze na drugiej stronie szosy, w puszczy Zielona zwanej, a to w celu zgromadzenia nowych sił. Dążąc więc ku tej stronie dla połączenia się z nim i powzięcia potrzebnych wiadomości co do stanowiska korpusów moskiewskich, gdym się 25 tego miesiąca przybliżył do szosy, doniesiono mi, że oddział nieprzyjacielski złożony z dwóch tysięcy kawalerji i piechoty, zajmuje tę drogę i Rudkę stację pocztową, a zatem i punkt, w którym położenie miejsca koniecznie mi w marszu wpoprzek gościńca przerzynać się kazało. Wcześniej o tem nieuwiadomiony, zanadto się do szosy zbliżyłem, ażebym się pomyślnie mógł cofnąć, tem bardziej, że poruszenia nieprzyjacielskie wyraźnie okazywały, że mu o mojem przybyciu doniesiono. Z obu stron punktu, przez który wypadało mi maszerować, ujrzałem kilka szwadro-

nów jazdy nieprzyjacielskiej w szyku bojowym stojących. Nie mogąc nawet myśleć o odwrocie, gdyż tylko pola i zarośle, które przebyłem, mieliśmy za sobą, rozkazałem postępować dalej mojej kolumnie piechoty, a kawalerję tymczasem po bokach, czołem do nieprzyjaciela postawiłem. Spodzielając się szarży co moment od tak przewyższającej siły, w najniegodniejszej pozycji bronić się do ostatka i drogo sprzedać życie przysięgliśmy sobie wzajemnie. Lecz jakież nasze było podziwienie, gdy nam bez żadnej przeszkody między szeregami swojemi nieprzyjaciół przemaszzerować pozwolił. Przyczyną tego, jak się domyślam, była puszczone przeze mnie pogłoska przy wejściu do województwa augustowskiego, że dziesięć tysięcy powstańców litewskich pod mojem dowództwem prowadzę; mały więc mój oddział, nieprzyjaciół uważając za awangardę mnie-manego korpusu, nie odważył się atakować przewyższającej w jego rozumieniu siły.

Major Puszet, z którym się tego samego dnia połączyłem, nie mogąc skłonić mieszkańców wojew. augustowskiego do robienia nowych zaciągów, oświadczył mi chęć przedarcia się razem ze mną do wojska polskiego. Wtenczas dopiero wyszedł z błędu nieprzyjaciół, bo po długiem oczekiwaniu nikogo więcej za mną nie widząc, uwiadomiony też od mieszkańców pobliskiej wioski, że tylko ten jeden mały oddział przechodził, kilka szwadronów kawalerji, którem już był widział, bataljonem piechoty wzmocnionych, w pogoń za nami w głąb lasu posłał. Uderzyli na nas w chwili, kiedyśmy obóz opuszczali. Piechota nieprzyjacielska w celu oskrzydlenia nas i przecięcia odwrotu, bez drogi las przebywająca, wpadła do błota, i z powodu tej przeszkody nie mogąc skutecznie swojego planu, strzelała zdaleka i trzech nam tylko ludzi zabiła. Kawalerja jednak drogą ubitą rzuciła się na nas z wściekłością, lecz zatrzymana ogniem strzelców na zasadzce postawionych, czterdzieści trupa zostawiwszy na placu, w największym niedziale uciekła.

Ucieszeni pierwszym powodzeniem, wrózc sobie, że zamiary nasze zostaną uwieńczone pomyślnym skutkiem, postępowaliśmy dalej ku Grodnu. Nieprzyjaciół, nie spus-

czając nas z oka, zawsze się za nami posuwał; śpieszne jednak robiąc marsze, najczęściej manowcami, o kilka mil od Grodna w okolicach miasteczka Lejpun, we wsi Podlipka zwanej, zatrzymaliśmy się na dniówkę dla dania spoczynku znużonym ludziom naszym. Wysłany na patrol oficer z oddziału Puszet, zapewne oddawna zdradę knując, korzystając z tej okoliczności, udał się prosto do obozu nieprzyjacielskiego, wydał hasło i oświadczył się dopomóc mu do zdjęcia wedet i placówek naszych. W nocy więc z 28 na 29-go maja zdrajca naprowadził nieprzyjaciela na nasz obóz, dał się poznać wedetom i placówce; te zaś mniemając, że patrol powraca, dozwoliły przybliżyć się awangardzie nieprzyjacielskiej, lecz wnet obskoczone, bez wystrzału zdjęte zostały. Wszystko było we śnie pogrążone, kiedy nieprzyjaciel z największym pędem wpadł do obozu naszego. Pomimo największych usiłowań, gdy nic sformować nie mogłem, biliśmy się pomieszani. Niedługo jednak 300 ludzi niespodzianie we śnie napadniętych mogło się dwóm tysięcom opierać. Z trzech stron od nieprzyjaciela oskrzydleni, i do rzeki Hańczy głębokiej i bagnistej przyparci, zmuszeni byliśmy pod ogniem ręcznej broni i dwóch dział wpław ją przebywając szukać ocalenia. Strata z obu stron była równa. Po czterdzieści ludzi, ilem na rzut oka mógł pomiarkować, padło z każdej strony; lecz piechota nasza tak się rozproszyła i zabłąkała w lesie, że ją rychło zgromadzić nie było sposobu. Nieprzyjaciel uwiadomiony od zdrajcy o zamiarze naszym połączenia się z wojskiem polskim, zaszedł nam naprzód i gdy wszystkie drogi przecinał, musiałem odstąpić od ułożonego pierwaj planu.

Na wzgardę i przekleństwo rodaków podaję tu nazwisko nikczemnika, któremuśmy winni tę klęskę. Oficer z oddziału Puszet, który na nasz obóz sprowadził Moskali, zwał się Mowczanowicz.

W tym samym zaraz czasie doszła nas wiadomość o zbliżaniu się generała Giełguda ku Litwie i o odwróceniu nieprzyjacielskiego korpusu pod dowództwem Sackena. Puszet, przy którym kilka tylko koni zostało, ukrył się w lasach w celu oczekiwania dalszych wypadków wojny; ja zaś, zostawiwszy w augustowskim oficera Piotrow-

skiego dla zgromadzenia rozproszonej piechoty, w 50 koni w pierwszych dniach czerwca powróciłem na Litwę i nowe rozpocząłem zaciąg.

Korpus Giełguda wszedł na Litwę i stanął w Kiejdanach 5 czerwca. Zamilczam o jego działaniach, są bowiem wszystkim wiadome; powiem tylko, że pierwszą i najgorszą zdaniem mojem czynnością tego generała było przyłączenie oddziałów naszych do pułków regularnych i skasowanie tym sposobem partyzanckiej wojny. Po dokompletowaniu uszkodzonych, nowe jeszcze pułki formować zaczęto z powstańców litewskich; a tak człowiek, w partyzanckich obrotach już wyćwiczony, uczyć się szkoły rekruta i czas w owej chwili najdroższy na próżnem robieniu bronią trawić musiał.

Taki był koniec działań naszych partyzanckich na Litwie. Piechota moja, złożona z świeżo wybranych kantonistów i części tych co już byli w powstaniu, lecz się do domów rozeszli, w liczbie 300 ludzi do pułków została wcielona. Z Kiejdan ku Wilnu wychodząc, generał Giełgud zostawił przy mnie 120 koni. Gdy mu doniesiono, że kilka małych oddziałów nieprzyjacielskich z korpusu Sackena w okolicach Kowna w lasach się ukrywało, dał mi rozkaz, abym z tą kawalerją dla strzeżenia tego miasta pośpieszył. Wszedłem do Kowna 10 czerwca. W kilka dni potem przybyła tam brygada z dwóch nowoformujących się pułków piechoty złożona, pod dowództwem pułkownika Kiekiernickiego, który się i organizacją i musztrą zajmował. Wszystkich oddziałów składających garnizon Kowna miał sobie ten pułkownik powierzoną komendę, gdy po nie-szczęśliwej dla nas bitwie pod Wilnem, postępujący nieprzyjaciel za brygadą kawalerji generała Chłapowskiego, który się z pod Wilna ku Kownu cofnął i do Kiejdan dla złączenia się z korpusem generała Giełguda poszedł, zaatakował to miasto dnia 29 czerwca. Uwiadomiony wcześniej pułkownik Kiekiernicki o zbliżaniu się daleko przeważającej siły nieprzyjacielskiej, sądząc się jednak dość mocnym do obrony miasta, przyjął bitwę, przegrał ją, i sam w niewolę się dostał. Siedemdziesiąt koni uprowadziłem z tej rzezi i dnia 5 lipca połączyłem się z korpusem

generała Dembińskiego w czasie bitwy pod Poniewieżem. Oddział mój przyłączony do nowoformującego się 13 pułku ułanów pod dowództwem podpułkownika Janowicza, stanowił odtąd drugi szwadron tego pułku. Dalsze nasze działania należą do historii odwrotu z Litwy generała Dembińskiego.

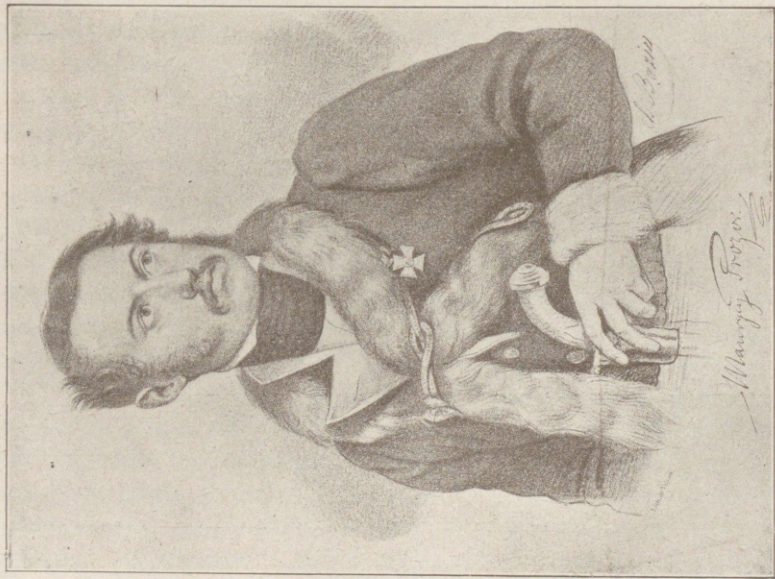
W POWIECIE OSZMIANSKIM

(PAMIĘTNIK J. KLUKOWSKIEGO)

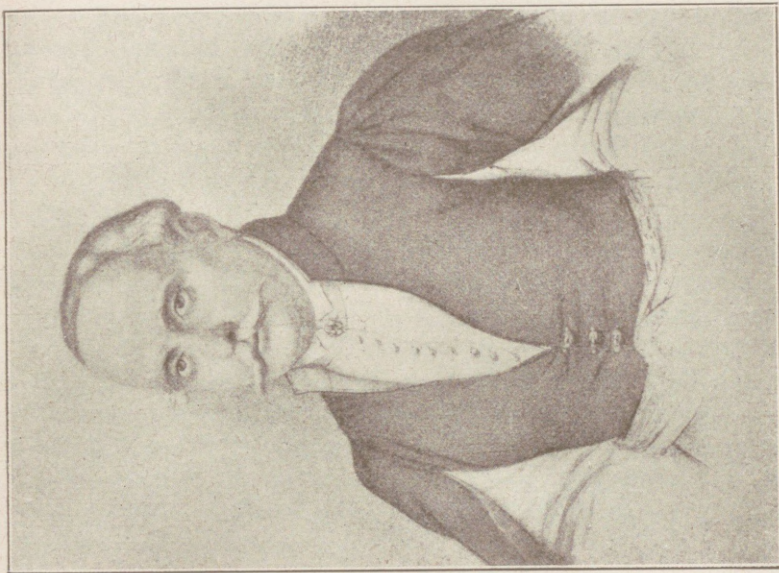
Komitet wileński, otrzymawszy niewątpliwą wiadomość o powstaniu Żmudzi, śpieszył poruszyć bliższe powiaty koło Wilna. W tym celu rozsyłał swoich związkowych lub zaufanych w różne strony. Jako obywatel powiatu oszmiańskiego, chociaż ciągle prawie mieszkałem w Wilnie, musiałem podjąć się posłannictwa do Oszmiany, gdzie marszałek tameczny, Józef hr. Tyszkiewicz, miał już mieć wszystko w pogotowiu. Nie wiem co on przyrzekał, ale to pewna, że mało uczynić myślał. Gdyby inni bez niego pobili Moskali, albo wyparli ich daleko z kraju, natenczas chętnieby zapewne objął naczelnictwo powiatu, swoim kosztem formowałby pułki i przywdziałby mundur pułkownika; ale odrazu rzucić się w niebezpieczeństwo, poświęcić szczęście domowe swoje i młodej, ze wszechmiar godnej miłości żony, zaryzykować ogromną fortunę, to przechodziło jego patriotyzm i moc duszy. Przybycie moje nabawiło go strachem; ledwo przez znajomych skłoniłem go, żeby się ze mną widział; bo niewiedzieć skąd uroiło mu się w zatrwożonej głowie, że tym emisariuszem od wileńskiego komitetu pod mojem nazwiskiem był Leonard Chodźko z Paryża.

Wróciłem do Wilna donosząc, iż na Tyszkiewicza nie liczyć nie można, ale razem oznajmiając, iż gotowość wielu innych i usposobienie powszechne zawód ten nagrodzić mogą. Otrzymałem więc powtórne polecenie jechać jak najprędzej do Oszmiany i zapalić powstanie.

Dnia 1 kwietnia o wschodzie słońca wyprawilem załkami omijającemi rogatki bryczkę z walizką, w której było z pół tysiąca ładunków karabinowych, a pod którą ukrywało się całe moje uzbrojenie przygotowane oddawna do walki na ulicach wileńskich: fuzja, szabla, pistolety i krucice. Zaleciwszy służącemu, żeby o lekkie ćwierć mili czekał na mnie w umówionem miejscu, drążkami wyjechałem z miasta strzeżonego już pilnie.



MAURYCY PROZOR
wódz powstańców kowieńskich.



JERZY SOROKA
powstańiec w pow. oszmiańskim.

Piękny był ranek wiosenny, ostatki śniegu topniały, słońce świeciło pogodnie i daleko widać było po drodze. Spotkałem kilka drobnych oddziałów Moskali prowadzących niewolników — skąd i jakich? nie wiem. Rozpytywać się nie miałem ochoty, ponieważ wiozłem broń ukrytą i cały byłem zajęty danem poruczeniem, które wymagało namysłu.

Wieczorem przybywszy do Oszmiany, zaraz wysłałem gońca do Porfirego Ważyńskiego, jednego z najgorliwszych i najwięcej między związkowymi patriotami czynnego obywatela. Dzień następny upłynął w przykrej niepewności. Oziębłość marszałka trzymała wszystko w odrętwieniu. Kilkunastu młodzieży dąsało się z niecierpliwości, ale mieliśmy przeciwko sobie wogóle przeszło sto bagnetów moskiewskich. Zardzewiałe przodków karabele i zachowane gdzie niegdzie po wymarzłych Francuzach pałasze, nie wystarczyły na uzbrojenie najgorętszych chęci z naszej strony. Tymczasem właśnie wywożono broń myśliwską zabraną przez policję od obywateli i włościan w powiecie. Skoro więc w nocy przybył Ważyński, trzeba było pomyśleć naprzód jakby odzyskać tę ważną stratę dla powstania. Po drodze do Wilna obie stacje pocztowe należały do Ważyńskiego; na jego skinienie kilkunastu pocztyljonów mogło dać radę nielicznej eskorcie z inwalidów złożonej; ruszyliśmy z nim w pogoń za furami i dogналиśmy cały transport na popasie w Kamiennymłogu. Sółdaci bez oporu oddali własne karabiny, asesor sądu niższego prowadzący karawanę został naszym jeńcem. Na furmankach znaleźliśmy półtorasta strzelb myśliwskich i kilkadziesiąt pistoletów, po większej części francuskich, od których kurki były zestawione w Oszmianie. Ale pan asesor, poglądając zukosa na nasze pistolety z dobrymi skałkami sterczące za pasem, wyśpiewał zaraz miejsce schowania odjętych sztuczek.

Zdjawszy stacje pocztowe w Kamiennymłogu i w Rykoniach, z których ostatnia jest tylko o wiorst 15 od Wilna, po północy zwróciliśmy się nazad. Przed dniem spotkał nas posłaniec z Oszmiany, gdzie Eustachy Januszkiewicz, jadący robić powstanie w Łucku, zaprzął się tą czynnością po drodze i zrobiwszy przygotowania naprędce,

wyprawił gońca po nas. W mieszkaniu Ważyńskiego zastaliśmy już kilkunastu zbrojnej młodzieży. Lecz Tyszkiewicz, na którego oglądało się całe obywatelstwo i Jan Niekra-szewicz, adwokat wiodący rej między palestrą, radzili ciągle czekać jeszcze i odłożyć powstanie na dni kilka, żeby przygotować się lepiej.

Nie nadciągnęła wprawdzie dotąd żadna pomoc od sąsiednich obywateli, do których rozesłaliśmy emisarzy-szów, ale jeśli porywać się z garstką było hazardownie, niebezpieczniej było zwlekać, bo już i Moskałe, domyślając się naszych zamiarów, całą noc ukryci stali pod bronią.

Nie tracąc przeto ani chwili, o godzinie 6-ej z rana 4 kwietnia (23 marca st. st.) wypadliśmy na ulicę w dzie-więciu: Porfiry Ważyński, Eustachy Januszkiewicz, Justyn Pol, Kajetan Lenartowicz, Józef Zienkowicz, Wacław Jan-kowski, Wincenty Butler i kilku innych. Kazaliśmy nagwałt uderzyć w dzwony, a zachęceniem i postrachem werbując po drodze każdego kto się nawinął, zmierzaliśmy naprzód do budynku zaszczyconego imieniem arsenału w Oszmianie. Straż poddała się łatwo, odbiliśmy drzwi, lecz mało, a raczej nic nie znaleźliśmy broni. Pędem biegliśmy stąd do ostrogu, to jest więzienia, które w każdym miasteczku powiatowem jest najwarowniejszem miejscem. Wyłamawszy drzwi jedne, otworzyliśmy drugie dostarczonym kluczem, zabraliśmy 300 sztuk karabinów z bagnetami i osobno schowanych 8.000 ładunków. Tym sposobem komendę sztabzką 70 inwalidów pozbawiliśmy palnego oręża. Mieliliśmy już wtedy do 80 ochotników, nadto drobne oddziały strzelców, kosynierów i bezbronnych poczynają ze wsi nadchodzić. Rozdaliśmy im broń zdobytą.

Wtem dano nam znać, że pozostałych po wyjściu pułku wielkołuckiego 38 żołnierzy uszykowało się do boju na ulicy Holszańskiej. Przy odgłosie dzwonów i ciągłym biciu w bęben, Lenartowicz, Januszkiewicz i ja prowadzi-liliśmy na nieprzyjaciela pełną zapasów młodzież i mieszkań-ców miasta. Przed kościołem Dominikanów, który nam był po drodze, spotkał nas z chorągwią w ręku ks. Jasiński kaznodzieja i stanął na czele małego hufca, przez co nie-zmiernie zagrzał ducha ludu.

Kiedy się to działo, Napoleon Szuniewicz na jednej z postronnych ulic zabrał w niewolę oficera, obronił się od czterech pieszych żołnierzy, jednemu zadał ranę w głowę wyrwanym od niego pałaszem, a resztę do ucieczki zmusił. W innych miejscach schwytano także dwóch oficerów a jednego żołnierza.

Mając w ręku wszystkich oficerów i nie chcąc próżnego krwi rozlewu, domagaliśmy się od nich, żeby żołnierzom swoim stojącym pod bronią posłali rozkaz poddać się bez oporu. Nie byli oni dalecy od tego, żądali tylko wezwania od samego marszałka, jako naczelnika powiatu. Wahał się Tyszkiewicz, lecz zmuszony naszymi naleganiami, przemówił nakoniec kilka słów, zdaleka zmierzających do rzeczy. Rozkaz oficerski poszedł zaraz, ale podoficer sprawujący oddział do szyku, bynajmniej nie chciał go słuchać. Był to wyborny żołnierz i najwierniejszy poddany cara. Wobec nas i widocznego niebezpieczeństwa ośmielał swoich i przypominał im wykonane przysięgi dla Aleksandra, Konstantego i Mikołaja. Otoczony jednak wkoło, dał się upamiętać i zakomenderował broń w kozły.

Po rozbrojeniu nieprzyjaciela wszystko co żyło w Oszmianie poszło do kościoła. Kobiety i dzieci, młodzież z orężem i starcy z książkami do nabożeństwa cisnęli się tłumem. Jeden głos szczery, rozrzewniony, z tysiąca ust wznosił się do Nieba, dziękując za pierwszą chwilę swobody i błagając Boga o wsparcie do dalszej walki. Po mszy odczytał ksiądz rotę przysięgi na wytrwałość w podźwiganiu odradzającej się Ojczyzny. Mężczyźni z dobytymi szablami powtarzali ją za kapłanem, a potem wszyscy podpisali. Kokardy rewolucyjne zajaśniały tego dnia, jak kwiaty po pierwszym grzmocie wiosennym.

Skutkiem opanowania miasta dostał się w ręce nasze zamożny po nieprzyjacielu cekhaus, w którym znaleźliśmy wiele skór, płótna, ze sto postawów sukna, baryłkę prochu, odpowiedni zapas kul, kilkaset mundurów, tyleż kaszkieatów, ładownic i tornistrów, mnóstwo innych sprzętów wojennych i lazaretowych, a nadto bogate cerkwie w kilku furgonach zamknięte.

Skorośmy tylko mogli już pomyśleć o wewnętrznych

urządzeniach, naczelnictwo siły zbrojnej powiatu przyznano Porfiremu Ważyńskiemu, jako temu, który, służąc w wojsku podczas wojny 1812 — 14 roku, najwięcej z wojskowością był obeznany.

Siły nasze pomnażały się codziennie, gotowano się ciągnąć pod Wilno; ale że jeszcze bardzo brakowało broni ognistej, zbierano zewsząd i naprawiano zardzewiałe strzelby chłopskie. Znoszono się też z sąsiednimi powiatami, w których wszystko wrzało, lecz jeszcze nie zdołało wybuchnąć.

Podczas tych naszych zabiegów, kiedyśmy wszyscy byli w ruchu, pędząc jednego razu konno napowrót do Oszmiany, ujrzałem koło pewnej plebanji kilkuset chłopów zgromadzonych na cmentarzu. Przy padającym zmroku po zachodzie słońca, nie mogłem dostrzec zdaleka coby to znaczyło. Spinam konia — przybiegam. Na widok mej dwukolorowej kokardy i zbrojno powstańskiego ubioru, rozległy się radośne pocziwych wieśniaków okrzyki. Pośrodku nich, przy kościele, stał pleban i pasterskim sposobem nauczał lud, jak święty jest obowiązek walczyć w sprawie narodowej, jak Bóg nagrodzi tego, kto życia i domu żałować nie będzie, jak należy obchodzić się z bronią ognistą, jak kosy osadzać. Trudno było sobie wyobrazić piękniejszą i wierniej malującą scenę wojny narodowej, która zapalała się po całym kraju między ludem dawnej Polski, na samo hasło zawsze potężnych dla niego słów: Ojczyzna, niepodległość!

Nie mogłem oprzeć się naleganiom czcigodnego plebana, zsiadłem z konia i dom jego odwiedziłem. Przyjmując mnie uprzejmie, pokazał zapas prochu, kilkanaście strzelb, pałasów i pistoletów, zachowanych w krętym lochu komina.

Tymczasem w Oszmianie nie wszyscy kontenci byli z naczelnictwa Ważyńskiego. Chciano jakiegoś głośniejszego imienia. Obecny hrabia Przeddziecki, pułkownik z czasu Napoleona, zwracał na siebie powszechną uwagę. Ważyński dobrowolnie złożył dowództwo wojenne i został prezesem nowouchwalonego komitetu cywilnego, naczelnikiem zaś siły zbrojnej obwołano zaraz Karola Przeddzieckiego, który wnet dla przygotowania się wyjechał do dóbr swoich Smorgoń i 10 kwietnia w zbrojnym orszaku wrócił

do Oszmiany. Jego kosztem usztyftowanych wprowadzili do miasta: Stanisław Szwykowski, będący przedtem w szkole podchorążych warszawskich, stu strzelców pieszych; a Józef Zienkiewicz pięćdziesiąt konnych w ubiorach desperackich, z białemi żebrami naszywanemi na czarnych czamarkach i z trupiami głowami z blachy na kaszkietach moskiewskich.

Na widok wchodzącego hufca rozległy się po ulicach okrzyki: niech żyje Przezdziecki!—Radość była powszechna, wszyscy mieszkańcy wysypali się z domów przyglądać się nowoprzybyłym powstańcom. Ułożono akt powstania powiatu oszmiańskiego. Podpisał go pierwszy Przezdziecki, a następnie mnóstwo obywateli. Od tego uroczystego momentu coraz liczniej zjeżdżano się z powiatu i nazajutrz już siła zbrojna dochodziła do 2.000 ludzi.

Wysłano zaraz do Rykoń pod Wilno oddział kilkunastu jazdy i prawie z pod oczu nieprzyjaciela przywieziono odkopane na cmentarzu dwie żelazne kościelne armatki. Zaczęto jak najczynniej formować szyki wojenne. Rutkowski, Stelnicki i inni służący w wojsku podczas kampanji 1812 zajęli się musztrowaniem powstańców, przybyły zaś wkrótce Wincenty Jazwiński, podporucznik artylerji Król. Pol., urządził owe dwie wiwatowe armatki i całą gromadę ludzi usztyftował podług wszelkich przepisów wojskowości. A tak siła nasza zbrojna składała się z 300—400 karabinierów i nieco strzelców, z 150—200 jazdy na nędznych koniach, uzbrojonej w lance, a poczęści w szable i pistolety, które najwięcej dodawały otuchy nowemu żołnierzowi; reszta ochotników nosiła kosy i piki. Było ich przeszło 1000.

Chcący wszystko formować na wzór regularnego wojska, Jazwiński zaprowadził kontrolę wojskową i starał się zacieężnych jednostajnie przyodziać. Porobiono więc dla piechoty krótkie czamarki z sukna zielonego zabranego po Moskalach i czapki ostrokańczone z czerwonemi na końcu kutasami; dla jazdy zaś szerokie płaszcze z sukna czarnego. Zienkiewicz odróżnił swój oddział desperatów płaszcami ponsowemi. Było ich 30, a w tej liczbie najwięcej akademików świeżo z Wilna przybyłych. Piechocie rozdano ładownice i inne przybory, a jedną jej kompanję, ze stu

ludzi złożoną, opatrzoną w zupełny rynsztunek wojskowy. Codzień od rana do wieczora na rynkach Oszmiany uczyły się różne oddziały, jak broń prędko nabijać, jak bagnetu i lancy używać. Tymczasem dla dopełnienia głównej naszej siły, uczyniony był rozkład na wszystkie majątki obywateli, którzy jeszcze do powstania nie przystąpili, wymagający od nich dwóch pieszych i jednego konnego z 20 dusz płci męskiej. Osobno zaś regimentarze rozesłani po parafjach mieli z okolicznej szlachty wszelkiego stanu ochotników tworzyć sobie partyzanckie oddziały, nad którymi ogólny dozór poruczono Justynowi Polowi, gorliwemu współpracownikowi najpierwszych powstań.

Przy takowych zabiegach, że tak nazwę, wydziału wojskowego, kancelarje wszystkich subseljów były zatrudnione rozpisywaniem odezw do powiatu o rychłe pomnażanie siły zbrojnej, o dostarczenie broni, żywności i wszelkiego rodzaju ofiar, na potrzebę publiczną. W rynku Oszmiany przy wzniesionym ołtarzu pod gołym niebem odprawiały się nabożeństwa. Zbierał się lud mnogi na modlitwy i kazania. Każda nowina pomyślna była uroczyście na odwachu ogłaszana i wolność chłopom publicznie przyrzekana. Wzmagał się też zapal i nieraz widziano gromady wieśniaków z wesołym śpiewem wchodzące do miasta dla zaciągnięcia się w szeregi wojenne. Ksiądz kaznodzieja Jasiński, w ubiorze kościelnym, ze stułą na piersiach i z krzyżem w ręku, który ubarwiony kolorami narodowemi, miał na piersiach wypisane słowa: Za Wolność i Prawa, Za Ojczyznę i Religję, jeździł po parafjach i lud do oręża pobudzał. Cały powiat rozpłomieniał się ogniem rewolucyjnym i rzucał iskry w przyległe okolice. Wysłani od nas z urzędową kopją aktu powstania i odezwą w duchu propagandy, Michał Chodźko i Odachowski, wkrótce poruszyli powiat wilejski, na którego czele stanął Radziszewski.

Kiedy się to działo, z Wilna ciągle przybywali emisariusze, nagląc do wyprawy na oswobodzenie prowincjonalnej stolicy. Ale chociaż powstanie nasze rozkrzewiało się świetnie, nie mieliśmy jeszcze sił, z któremi by można było odważyć się na ten zuchwały zamiar. Nadto, dla braku komunikacji, trudno było coś wspólnego ułożyć

z innymi powiatami, które również miały ciągnąć do szturm. Rzec więc zwlekała się z dnia na dzień, a wtem jeden z najczynniejszych naszych korespondentów doniósł nam, że wojenny gubernator na uskromienie powiatu oszmiańskiego wykomenderował z Wilna 1500 piechoty, 500 jazdy i 6 armat.

Otrzymawszy taką nowinę, złożono czempredzej radę wojenną, a Jaźwiński wyjechał konno obejrzeć czy regularnie pełnią służbę pikiety, o mil dwie i trzy od Oszmiany rozstawione, bo wieść doszła że odleglejsze Moskale zajęli. Kiedy tymczasem rada wojenna deliberowała spokojnie, 14 kwietnia wpada Jaźwiński do miasteczka, pędząc wwał konia i krzycząc: „do broni! do broni! już Moskale idą”. Trudno sobie wyobrazić jaki powstał rozruch na tak nierozsądny postępek. Wszystko co żyło w Oszmianie ogarnęła trwoga i jakieś przeczucie nieszczęścia. Kobiety z dziećmi biegały wzdłuż i wpoprzek ulic; wozy tu i owdzie leciały galopem; wśród kurzawy mieszał się tłum ludzi, głośny płacz rozlegał się wszędzie. Siła zbrojna stanęła pod bronią i uchwalono wyjść przeciw nieprzyjacielowi.

Pod dowództwem więc samego Przeddzieckiego w szyku bojowym wyciągnęliśmy za miasto i zatrzymawszy się koło Okropiszek, przednią straż posłaliśmy aż do Kamiennegołogu. Moskale byli już w Krzyżówce i podobno nawet mieli awangardę dalej posuniętą, ale ta, powziąwszy języka o naszym ruchu, wstecz się cofnęła. My też uważając, iż zbyt znaczne rozprzestrzenienie mogło bardziej jeszcze osłabić drobne siły nasze, skupiliśmy całą masę koło Okropiszek, a następnie, lękając się, żeby Moskale Czarnym traktem nie odcięli nas od Oszmiany, wróciliśmy pod samo miasto.

O północy, gdy się pogłoski coraz bardziej wzmacniały, że istotnie nieprzyjaciel idzie na Grauzyszki i Polany, dla odcięcia nam odwrotu; wziąwszy ośmiu konnych, pojechałem na zwiady do Polan. Z przyczyny ciemnej nocy i niezmiernie błotnistej drogi musiałem zabawić więcej trzech godzin. O świcie wracając z doniesieniem, że bynajmniej od strony Polan nie słychać nieprzyjaciela, spostrzegłem wszystkie nasze siły w marszu już ku Żupranom. Uradzono

bowiem opuścić spokojnie Oszmianę, udać się w leśne okolice Wiszniewa i stamtąd działać na powiat.

Kiedyśmy się już oddalili o półtorej mili od Oszmiany i lud nasz, idąc w porządku przez puszcę żuprańską, śpiewał nabożne pieśni postne, zagrzmiały opodał za nami armaty, wszystko ucichło. Nie mogliśmy zrozumieć coby znaczył ten huk strażów w stronie bezbronnej Oszmiany. Zatrzymaliśmy się na chwilę za lasem w wiosce Zabłocie. Wkrótce przysła wiadomość, że drobny oddział Stelnickiego, przeznaczony na tylną straż naszą, upornie zostawszy w mieście, dał powód do kanonady. Uszykowawszy nasze szeregi, ruszyliśmy nazajutrz w dalszą drogę ku Wiszniewowi.

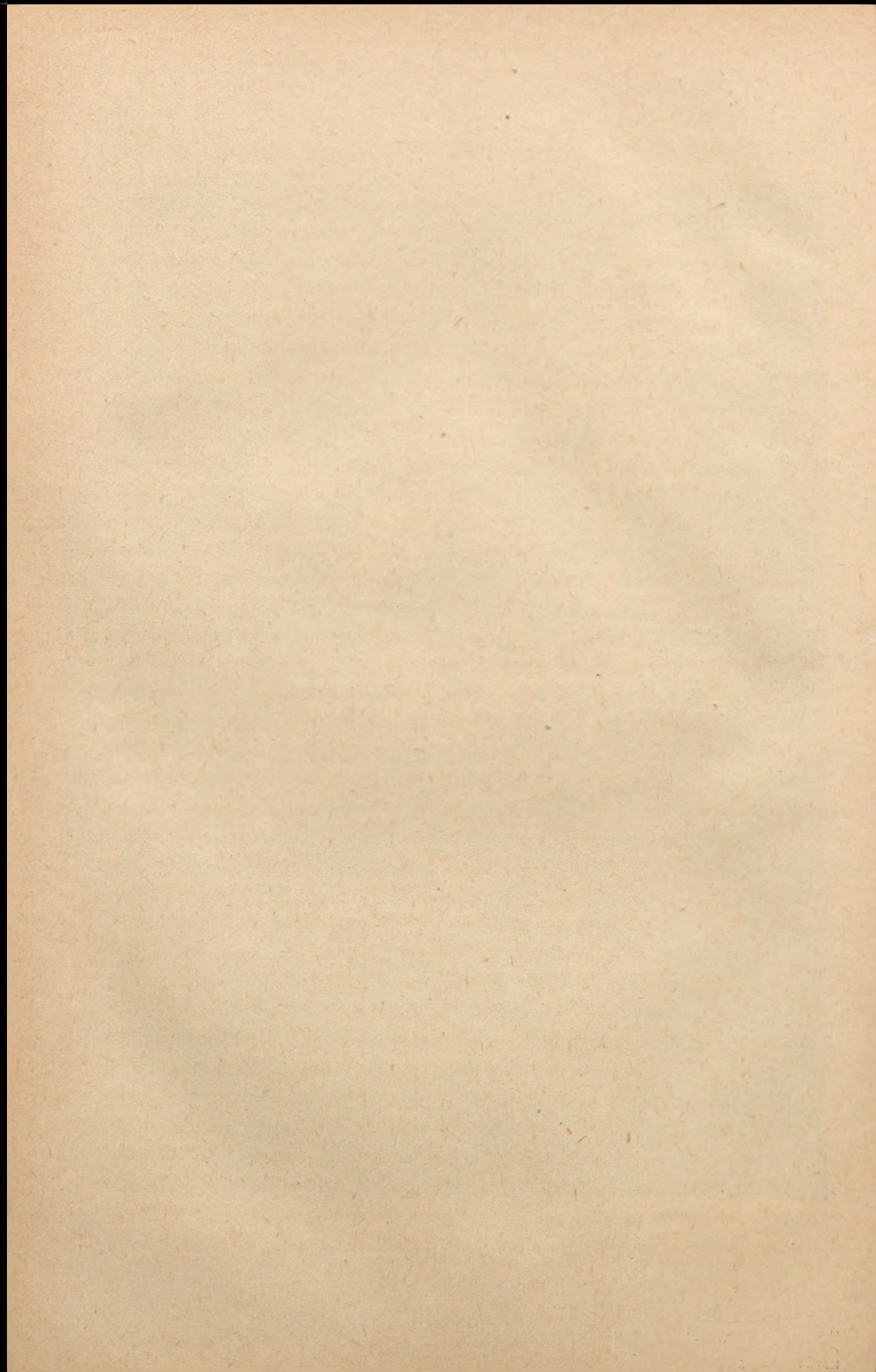
W Sućkowie powrócił do nas Przeddziecki, który się był oddalił z marszu dla swoich interesów domowych. Dwudniowy tu odpoczynek pozwolił zająć się zupełniejszym urządzeniem naszej zbrojnej gromady. Rozdzielono regularnie ładunki na kompanje piechoty, opatrzone umontowania jazdy nieprzywykłej jeszcze do pochodów, dobrano wszystkie komendy. A tak siła nasza, lubo co do liczby była zmniejszoną, zyskała na porządku i karności. W szeregach objawiała się niezmyślona ochota do spotkania się z nieprzyjacielem.

Tymczasem na radzie wojennej zaczęły różnić się zdania. Jedni, niedowierzając zapałowi i mocy własnych szeregów, pragnęli łączyć się z powstańcami wilejskimi; drudzy żądali organizować się w Wiszniewie. Rozmaite okoliczności wpływały na przeciwne życzenia stron obu. Nim powiem o nich, trzeba obejrzeć się na nieszczęśliwą Oszmianę.

Wiersilin, pułkownik kozaków kabardyńców czy czerkiesów, miał pod swoją komendą, jak się pokazało, tylko 1000 piechoty, 500 koni i cztery działa, dwa pozycyjne, dwa polowe. O godzinie szóstej rano 16 kwietnia, zbliżył się on pod Oszmianę. Wszystko podług danych rozkazów było się już cofnęło; jeden Stelnicki, bądź z niewyrozumienia rozporządzeń, bądź z uporu, albo nieroztropnej odwagi, zamiast trzymać straż tylną siły powiatowej zostaje w mieście, kilkadziesiąt swoich konnych i tyluż pieszych strzelców pomieszanych z kosynierami szykuje do boju.



RZEŹ W OSZMIANIE
według obrazu Włodzimierza Łaskińskiego.



Moskale, zatrzymawszy się przed miastem, zapewne dla przerażenia powstańców potęgą swojej artylerji, rozpoczęli kanonadę. Przeszło 80 strzałów działowych rozbiło wiele domów. Poczem weszły dwa działa na ulicę Wileńską. Szarżował na nie z frontu Stelnicki; ale kilka strzałów kartaczowych wzdłuż ulicy rozproszyło łatwo parę plutonów jego jazdy, rzucających się na dobrowolną zgubę.

Po zniszczeniu tak słabej zawady, rozhlukana dziec Wiersilina, wpadła jak do szturm do zdobytego miasta i zaczęła używać zwycięstwa. Nic dla barbarzyńców nie było świętego. Nie przepuszczając ni płci ni wiekowi, zabijali kobiety i dzieci, nieśli rzeź i rabunek do kościołów. Śmierć nie nasyciła jeszcze zemsty za podniesienie oręża przeciw carowi, trzeba było okrucieństw. Rozsiekano doktora Zakrzewskiego, rozpruto wnętrzności jednemu z mieszczan, dopytując się pieniędzy; zamordowano przeszło sto bezbronnych osób. Krew ta ciąży na głowie gubernatora Chrapowickiego, który umyślnie wyprawił zgraję łotrów, żeby rzucić popłoch na powstańców.

Sądzę, że słowa naocznego świadka dadzą wierniejszy obraz tej rzezi. Nowosielski, mieszkaniec Oszmiany, a po przyjeździe na Litwę regularnych wojsk narodowych podoficer 4 pułku linjowego, udzielił mi prosty i krótki opis tego na co sam patrzył. Umieszczam więc tu dosłownie jego relację:

„Dowiedziawszy się Moskale, że Przędziecki obrócił całą siłę na trakt miński, zostawiwszy tylko dwieście koni kawalerji i piechoty kompanję strzelców, pomieszanych z pikinierami i kosynierami, oddając pod dowództwo Stelnickiemu“ (nie było ich tyle, jak to powiedzieliśmy wyżej). „Zaledwo wytrzymało godzin trzy, uderzyli Moskale wielkim szturmem na też małą garstkę, całym bataljonem piechoty z dwoma działami konnej artylerji. Lubo nasza mała garstka, ile mogła opierała się, jednakowo strzały ich nie były nam szkodliwe tak dalece; a nie mając działa żadnego i przytem bardzo mało ładunków broni ręcznej, musieliśmy zrejterować z przedmieścia do miasta. Gdy Moskale awansowali z wielką radością, naówczas zebrawszy się w kilkunastu z za sklepów zasmuciliśmy ich, bo po kilkudziesięciu wystrzałach padło

ich 25. Kiedy już ładunki wszystkie wystrzelaliśmy, naówczas udaliśmy się w ucieczkę każdy poszczególnie, a Moskale zaś, otoczywszy całą Oszmianę, każdego idącego człowieka, choć i bezbronnego zabijali. Po szczególnem rozsypaniu się Moskale wjechali do miasta z wielkim krzykiem. Żydzi zaś przyjmowali ich z wielką radością—jednakowo nasamprzód zaczęli odbijać sklepy Żydów; więc pułkownik ich za to naganiał. Później zaczęli odbijać kościoły. 1. Dominikański odbili, zrabowali i, znalazłszy czterech ludzi w kościele przechowujących się, bezpardonnie porznęli nożem. 2. Do murowanego żadną miarą nie mogli się dobić, to jest, ani zamku odbić, ani też drzwi wyrąbać, wysadzili drzwi wystrzelivszy z armaty, gdzie natychmiast zapalili archiwum w tymże kościele będące i takż znalazłszy trzech ludzi na chórze, zarżnęli. 3. Franciszkanów tożsamo zupełnie zrabowali. To jest: ornaty, kielichy, puszki, monstrancje i inne najbogatsze rzeczy pobrali, i tympodobniej później wpadali do domów i klasztorów, tożsamo zupełnie porabowali, tak dalece, że w żadnym domu, ani podłogi, ani też szyby w oknach jednej całej nie zostawili. Którego zaś obywatela w domu zastali, nie wchodzili w to, czy był winien, lub też nie, wyprowadzwszy zarzynali. I tak Józefa Zawadzkiego, Tomasza Gana, Paszkiewicza, ks. Kuszelewskiego, Zakrzewskiego doktora, Jakuba Sielawę, Adolfa Świrskiego, regenta Aleksandra Czernickiego, Jana Juszkiewicza i wielu innych, to jest około 80 osób zarżnęli. Resztę zaś zabrawszy powiązali, niektórych zaś do dział przywiązawszy, popędzili do miasta Wilna. A innych zaś, którzy mówili, że są prostej konduity ludzie, zbili nielitościwie bizunami i ogoliwszy pół głowy, do domów puszczali. Słowem całej straty naszej przez ten czas liczyć można że wszystkiem 150 ludzi. Ich zaś około 40“.

Po zagrzebaniu licznych stosów nieszczęśliwych ofiar, wrócił Wiersilin do Wilna, a wojsko jego sprzedawało w triumfie złupione naczynia kościelne i własność pomordowanych mieszkańców...

W POWIECIE ZAWILEJSKIM.

Powiat zawilejski w gubernji wileńskiej ma miasto powiatowe Święciany, odległe od Wilna mil 11, od Wiłkomierza 16, od Oszmiany 19, od Widz 7, od Dyneburga 12. Trakt pocztowy z Wilna na Niemenczyn do Dyneburga, idzie przez Święciany i Widze. To położenie było powodem, że w czasie rozpoczynających się powstań obywatele zawilejscy doświadczali oprócz wspólnych wszystkim powiatom, szczególnych jeszcze trudności. Garnizony moskiewskie z Wilna i Dyneburga, tem bardziej groziły tej stronie, że komunikacja między nimi na Wiłkomierz była już przecięta. W Widzach stał z oddziałem wojska pułkownik Kachowski i cały powiat brasławski trzymał na wodzy; dalej też ku Dźwinie i granicom gubernji mińskiej wszystko jeszcze zostawało nieporuszonem; a w samych Święcianach prócz miejscowej straży z 80 inwalidów złożonej, znajdowało się 60 ludzi gwardji konnej bez koni.

Przygotowania więc, jakie działy się tajemnie po domach obywatelskich, nie mogły mieć wspólnego ogniska i każdy oczekiwał póki się coś nie zdarzy. Nareszcie niecierpliwość przywiodła prawie do zuchwalstwa. Dwaj bracia Kubiccy, Adolf i Stanisław, postanowili zacząć. W Polesiu u nich zebrało się kilku sąsiadów, uzbrojono dworskich, i dnia 11 kwietnia o 6 rano ruszono do Święcian. W drodze przyłączyli się do nich: Wincenty Bortkiewicz z synem i synowcem, ksiądz Łabudź i kilku innych obywateli. Wszystkiego było 30 koni. Dopiero w lasku przed miastem o godzinie 9 zatrzymał się hufiec powstańców żeby pomyśleć o sposobie wykonania niebezpiecznego zamiaru. Uradzono, że kilku wpadnie i pochwyci komendanta placu, kilku innych w tymże czasie przytrzyma dowódcę inwalidów, a reszta wprost uderzy na ostróg czyli więzienie, gdzie zwykle jest obwacht garnizonu i skład broni. Ksiądz Łabudź przemówił z zapałem do towarzyszy, pobłogosławił

chorągiew i sam w komży, z krzyżem w ręku, przodując głównemu oddziałowi, pierwszy wpadł na rynek. Pierwsze też wystrzały zrywających się do obrony Moskali ugodziły w niego. Przeszyty trzema kulami zacny kapłan padł pod nogi nieprzyjaciół, którzy pastwiąc się nad umierającym dokłuli go bagnetami. Przy nim poległo dwóch innych patryjotów. Tymczasem Konstanty Bortkiewicz przedarł się do kwatery plackomendanta, ubił sztyldwachę stojącego przy drzwiach, ale oskoczony przez gwardjaków musiał cofnąć się bez skutku. Szczęśliwiej udało się wziąć dowódcę inwalidów, porucznika Gorajskiego. Lecz na wszystkich punktach powstańcy jedni nie mogli dotrzymać ogniowi ręcznej broni i ubiwszy kilku pojedynczych Moskali, wybiegli napowrót za miasto.

Plackomendant jednak tak się przestraszył, że nie myśląc o dalszym oporze, zabrał czempredziej transport rozmaitych efektów wojennych, z Petersburga do armii głównej na kilkunastu furach prowadzony, i ze swoim oddziałem gwardji ruszył ku Widzom. Widząc to powstańcy, znowu wpadli do miasta, a otoczywszy ostróg, w którym inwalidzi zamknęli się dla obrony, przemówili do nich, że podpalą ściany, jeśli opór dłużej trwać będzie. Niezawzięta załoga drewnianej twierdzy złożyła broń i otworzyła bramę. Zdobyto więc tym sposobem 80 karabinów, tyleż ładownic, kaszkietów i pałaszy piechotnych; znaleziono w składzie 8 pudów kul, wiele płótna, sukna i rzemienia. Jeńców zaraz puszczono wolno i jedni z nich przyjęli dobrowolnie służbę w szeregach powiatowych, inni poszli na zarobek do domów prywatnych.

W pierwszych chwilach po opanowaniu miasta rozdano broń ochotnikom i rozstawiono strażę. Przybyły zaś pod tę porę z powiatu kapitan dawnej służby Piotrowski, na czele kilkunastu jazdy puścił się w pogoń za oddziałem gwardji uchodzącym do Widz i doścignął go o trzy mile od Święcian. Komendant z żołnierzami, wyprzącwszy konie z fur, uciekł bez utarczki, a transport, o który najwięcej chodziło, dostał się w ręce nasze. Lecz znaleziono w nim tylko manierki, tornistry i tym podobne mało nam użyteczne rzeczy.

Pierwszego dnia po wzięciu Świącian ustanowiono komitet tymczasowy pod prezydencją b. wicemarszałka Bortkiewicza i podpisano akt konfederacji. Następnie posłano odezwy do sąsiednich powiatów, w których było już powstanie, celem zawiązania z nimi wzajemnych stosunków, a do obywateli powiatu zawilejskiego, powołując ich, żeby wspierali rozpoczęte dzieło. Wezwano też marszałka powiatowego hr. Mostowskiego, żeby akt konfederacji podpisał i miejsce swoje w komitecie zajął.

Gorliwość wielu obywateli pośpieszyła dostarczyć magazyny żywności, broń, amunicję i pieniądze. Z kantonu naznaczonego przez komitet i ochotników przybywało ludzi do szeregów zbrojnych. Obywatel Józef Śniadecki przyprowadził kilkadziesiąt własnym kosztem uzbrojonych i umundurowanych. Ale Mostowski nie przystąpił do powstania, ledwo w kilka dni pokazał się na moment w komitecie, i obojętnością swoją oziębł ducha w trwożliwszych.

Nie szło tedy wszystko tak śpiesznie, jak się spodziewać należało. W parę tygodni liczono wprawdzie do 3000 powstańców, ale przeszło osiem części tej sily było bez broni. Tylko 200 piechoty i 100 jazdy miało broń i umundurowanie zupełne. Młodzież szlachecka, składająca jazdę, sprawiła sobie kurtki granatowe z amarantowemi pętlcami na kołnierzach i spodnie granatowe z lampasami.

Naczelnictwo całej sily zbrojnej powierzono prezesowi komitetu Bortkiewiczowi; jazdą Piotrowski, a piechotą Wojnicki dowodził. Ten ostatni z małym oddziałem wysłany na granicę powiatu brasławskiego, w kilku potyczkach dał dowody męstwa i skutecznie zaślaniał powiat z tej strony. Pułkownik Kachowski bowiem starał się najprzód przebić do Świącian, a potem gdy mu się to nie udało, innym sposobem dogadzał swej zawziętości. Wszystkich znakomitszych obywateli powiatu brasławskiego sprowadziwszy do Widad, pod najsurowszą karą zakazał im wydalać się z miasta, i na codziennych apelach najobelżywiej traktował, a tymczasem rzucał postrach w rozmaite strony, rozsyłając bandy uzbrojonych burłaków i regularnych żołnierzy. Właśnie kiedy jedna z tych wypraw Kachowskiego zawitała do Gaugieliszek, dóbr Platerów, i zrabowawszy zboże oraz

wszelkie sprzęty, zabierała się uprowadzić kilkadziesiąt fur ładownych, Wojnicki ze swoją piechotą i Piotrowski na czele kilkunastu jazdy ubiegli rabusiów, zabili ich kilku, rozproszyli resztę i zdobycz właścicielom zwrócili.

Wkrótce atoli i Kachowski stał się strasznym, gdy z innych stron większe siły nieprzyjacielskie zbliżać się poczęły. Po klęskach powiatu oszmiańskiego przybyło do nas kilkudziesięciu z tamecznego powstania, a za nimi szedł pułkownik kozacki Bonental z 200 ludźmi i jednym działem. Od Wilna zaś nadciągnął generał książę Chłkow z bataljonem piechoty, pułkiem ułanów, oddziałem czerkiesów i sześciu działami.

Naczelnik Bortkiewicz zwołał radę wojenną, na której zważając niepodobieństwo opierania się tak licznemu wojsku i artylerji, postanowiono lud nieuzbrojony rozpuścić do domów, a z resztą cofać się w powiat dziśnieński, gdzie powstanie miało być bardzo mocne. Wziąwszy tedy naszą jazdę i strzelców, dnia 5 maja opuściliśmy Święciany. Nazajutrz Chłkow wszedł do miasta, a Bonental starał się nam przeciąć drogę, lecz że się spóźnił, przybyliśmy spokojnie do Łużek, gdzie był obóz dzisieńczanów. Odtąd wspólnie z nimi przebywaliśmy dalsze koleje. Członkowie naszego komitetu, którzy dla podeszłych lat, lub słabości zdrowia nie mogli stanąć w szeregach zbrojnych, pojedynczo udali się także w powiat dziśnieński szukać schronienia u krewnych i znajomych. Lecz kiedyśmy z nad Dźwiny pociągnęli ku Żmudzi, pułkownik moskiewski Murawjew zajął te strony z oddziałem kozaków, założył swoją główną kwaterę w Głębokiem i począł gnębić obywateli. Między innymi wpadli w jego ręce Jan Szymkowicz i kanonik Zawadzki, jedni z najgorliwszych współpracowników komitetu zawilejskiego. Obaj doświadczywszy obelg i cierpień od oprawców Murawjewa, w łańcuchach zawiezieni zostali do kazamatów dyneburskich, gdzie pierwszy z nich życia dokonał, drugi zaś otrzymał podobno przebaczenie, jeśli tak można nazwać wyjście z lochu pod nadzór policji moskiewskiej...

W POWIECIE WILEJSKIM.

Pierwszych dni kwietnia powstał powiat oszmiański graniczący z wilejskim; Wilejka jednakże nie mogła natychmiast odpowiedzieć na hasło Oszmiany. Garnizon moskiewski był w niej nieliczny wprawdzie: składał się ze stu dwudziestu inwalidów pieszych i dziesiątka kozaków pod dowództwem kapitana Nowickiego; ale ta garstka wystarczała aż nadto do utrzymania lichej miejsciny, małołudnej i uprzednio przez policję pozbawionej wszelkiej broni. Oswobodzenie więc powiatowego miasta zależało od bliższych obywateli; ci zaś wszyscy byli najlepszego ducha, lecz jak pospolicie w niebezpiecznych razach bywa, oglądali się jedni na drugich i każdy gotów łączyć się do tego, ktoby zaczął, sam być pierwszym nie śmiał.

Marszałkiem powiatowym był podówczas Hipolit Gieczewicz, syn byłego gubernatora mińskiego. Miał on już z urzędu swego wielki wpływ na szlachtę, a oprócz tego zręczny, przebiegły, cały spekulacjom handlowym i przemysłowym oddany, miał mnogie i rozległe stosunki prywatne. Powszechnie zwracano oczy na niego, bo każdy sobie rachował, że się on na ślepo nie rzuci, ani dla wątpliwej nadziei kompromitować się nie zechce. Innych też powiatów marszałkowie czekali przykładu od niego. Tymczasem sposób myślenia Gieczewicza był zagadką. Nie wdawał się bowiem nigdy w politykę i starannie unikał rozmów mających jakkolwiek styczność z wypadkami świeżo zaszłemi. Patrjoci wzajemnie zachowywali względem niego ostrożność i nie pociągali go do swoich narad. Jednakże czynili to nie przez obawę zdrady, bo znana uczciwość Gieczewicza była dostateczną dla nich rękojmią, tylko żeby syna urzędnika i senatora moskiewskiego nie wprowadzić w trudne położenie. Ale nakoniec przyszła konieczna potrzeba rozmówić się z nim bez ogródek. Gieczewicz w chwili, kiedy między słowami a czynem nie było

prawie przedziału, nie okazał najmniejszego wahania się; oświadczył odrazu, że wspólnie z innymi synami ojczyzny gotów jest wszystko dla niej poświęcić.

Żeby rozpocząć powstanie w powiecie pozostawał jeden jeszcze niezbędny warunek: opanować miasto powiatowe. Czynnie w tej mierze krzątał się Aleksander Wołodkiewicz; lecz że dla odległości nie mógł z dóbr swoich mieć ludzi, udawał się do bliższych obywateli o sformowanie potrzebnej siły. Obiecywano mu wszędzie, ale nigdzie nie znalazł gotowej pomocy; dnie upływały, a tymczasem powiększała się czujność Moskali i lękać się należało, żeby garnizon Wilejki nie był wzmocniony. Posłał więc Wołodkiewicz do Przeddzieckiego, naczelnika siły zbrojnej oszmiańskiej, prosząc go, żeby w nagłej potrzebie dał pomoc sąsiedniemu powiatowi i na rozbrojenie garnizonu w Wilejce, póki ten jeszcze był słaby i przestraszony, przysłał oddział powstańców oszmiańskich.

Przeddziecki przyrzekł zadość uczynić żądaniu i w tym celu wyprawił z Oszmiany Michała Chodźkę, w kilkanaście koni prawie nieuzbrojonej jazdy. Przyłączył się do tego oddziału jako ochotnik Ignacy Odachowski, dawny oficer wojsk polskich. Chodźko z takowym szczupłym zaopatrzeniem maszerując dniem i nocą, 13 kwietnia stanął w Malinowszczyźnie pod Wilejką.

Wnet rozbiegła się pogłoska, że parę tysięcy powstańców oszmiańskich przybyło. Otucha poruszyła do broni obywateli, a trwoga ogarnęła Moskali. Patrjoci dowiedzieli się o istotnej sile pomocy, chociaż poczęli upadać na sercu, nie pora już była osiąść spokojnie; urzędnicy moskiewscy zaś w pierwszym popłochu uciekli z miasta, porzucając nawet kasę, broń zebraną z powiatu i mały arsenał miejscowy. Pozostał wprawdzie kapitan Nowicki ze swoją komendą, ale był przygotowany poddać się bez oporu, byleby jemu i żołnierzom jego zachowano życie i własność osobistą.

Dnia 14 kwietnia major dawny wojsk. pol., obywatel Lubański, który się najpierwszy z oddziałem Chodźki połączył, uprzedzając go na chwilę, przybył do Wilejki i kazał bić w dzwony. Pospólstwo gromadziło się na ulicach

i garnizon przełękły stanął pod bronią. Wtem wpada Chodźko z towarzyszami swojej awanturniczej wyprawy. Moskale, rozumiejąc że to jest tylko przednia straż powstańców, na pierwsze wezwanie broń rzucają, komendant ich oddaje szpadę i razem wręcza Chodźce raport na piśmie o stanie swego oddziału, zachowując formalności, jakgdyby widział przed sobą starszego w stopniu oficera moskiewskiego.

Nigdy hazardowny krok nie mógł udać się pomyślniej. Stu kilkudziesięciu dobrze uzbrojonych żołnierzy złożyło broń przed kilkunastu powstańcami, bez wystrzału, bez oporu. Tylko czterdziestu burłaków, czyli chłopów moskiewskich, którzy co roku na zarobek do prowincji naszej przychodzą, pracujących koło jakiejś budowli, zawarło się dla obrony w domu. Mniemając, że powstańcy będą w pień Moskali wycinać, zabierali oni broń do upadłego i niełatwo przyszło ich przekonać, że się im nic złego nie stanie.

Zapasy wojenne w Wilejce nie były obfite. Paręset karabinów z bagnietami, kilkaset sztuk broni myśliwskiej przez policję od obywateli ściągniętej, 3000 ładunków, 100 mundurów i 20,000 złotych w kasie powiatowej, oto jest wszystko co było zdobyczą dla poczynającego się powstania. Nim jakikolwiek rząd rewolucyjny mógł być ustalony, utrzymanie spokojności publicznej w mieście powierzono samymże mieszkańcom, z których uformowano naprędce gwardję narodową. Nadużycia żadne nie zaszły. Z jeńcami wojennymi obchodzono się najłagodniej. Broń im tylko odjęto, zresztą byli wolni i niejeden Moskal dziękował Bogu za niewolę, która go wybawiła od knuta i pałek. Wielu oświadczyło chęć wejścia w szeregi powstańców, czego też im nie wzbroniono.

Tegoż samego dnia rozesłany do wszystkich obywateli okólnik ogłosił to pierwsze zwycięstwo nasze i zarazem nakazał ogólny zjazd do Wilejki na dzień 17 kwietnia dla zawiązania aktu konfederacji, ustanowienia nowej władzy i naradzenia się względem podatków, siły zbrojnej, i innych rzeczy, jakich obecne położenie gwałtownie wymagało.

Zebrali się obywatele na dzieńznaczony. Marszałek Gieczewicz przybył jeden z najpierwszych. Z rana pod otwartem niebem na rynku miejskim odbyło się dziękczynne nabożeństwo i polecenie sprawy naszej Panu Zastępów. Mieszkańcy miasta i okolic licznie byli zgromadzeni. Kiedy znany ze swojej świętobliwości i powszechnie szanowany kapłan, krótką, ale pełną uczucia i mocy przemowę do ludu zakończył słowami: Niech żyje Polska! tysiące ust powtórzyło je z uniesieniem i żywą radością zlały wszystkich twarze. Miasto przybrało nową postać i jakby ożyło po długiem odrętewieniu pod jarzmem moskiewskiem. Powszechna była wesołość, brzmiały wszędzie piosnki narodowe, zapal patriotyczny jednym płomieniem ogarniając wszystkie serca, zniósł różnicę stanów. Drogi do miasta zapewniał lud śpieszący pod ojczyste chorągwie. Kto w pałasz, kto w pikę, kto w strzelbę myśliwską był uzbrojony; ten konno jechał, ów szedł pieszo, a wszystkich jedna chęć wiodła. Pokazały się też gdzie niegdzie polskie i francuskie mundury, z roku 1812 pozostałe zabytki. Wyśłużeni dla sławy narodowej weterani ochoczo nieśli resztę życia na ofiarę dla ojczyzny.

Ale w nocy z 17 na 18 kwietnia przyszła smutna wiadomość, że wojska moskiewskie odebrały napowrót Oszmianę i ciągną ku Wilejce. Miłość prawdy nie pozwala mi zataić jakie wrażenie uczyniło to na umysłach. Umiłkły śpiewy, smutek osiadł wszystkie twarze. Wielu straciło nadzieję, bojaźliwsi co tchu opuszczali miasto, w domach własnych szukając schronienia. Gmin zostawiony samemu sobie, rozbiegał także na wszystkie strony. Przestрах zajął miejsce zapału.

Gieczewicz, od którego przykładu zależało tyle, otoczony ludźmi małego serca, począł się wahać. Pewna liczba obywateli naradziła tajemnie wymknąć się conajrychlej z miasta bez podpisania aktu konfederacji i bez ustanowienia rządu rewolucyjnego, jakgdyby nic nie zaszło, jakgdyby nie było powstania. Ale młodzież nie traciła przytomności i odwagi. Wołodkowicz, korzystając z wpływu jaki miał na młodych współpowietników, układa z nimi oprzeć się rozsypce, prośbą i groźbą zgromadza obywateli

do domu marszałka i przemawia do nich, wystawiając hańbę, a wreszcie i nieużyteczność cofania się od rozpoczętej sprawy, które po zjeździe do miasta i przyjęciu znaków narodowych bynajmniej nie uwolniłyby ich od prześladowań rządu moskiewskiego, a tylko byłyby występkiem przeciw ojczyźnie. Słowa w imieniu Polski obrócone do Polaków nie mogły być bez skutku. Podniosły się upadające serca, rzecz publiczna wzięła górę nad interesem osobistym, akt konfederacji uchwalony i podpisany został. Brzmiał on jak następuje:

„Równie jak u wszystkich Litwinów, niezatartą była w sercach obywateli powiatu wilejskiego święta miłość Ojczyzny. Troskliwie piastowali tę świętego ognia iskierkę, niecierpliwie wyglądając pory sposobnej do połączenia się na nowo z Koroną Polską.

„Dzisiaj za danem przez Żmudź hasłem, a następnie przez inne powiaty województwa wileńskiego, My, obywatele powiatu wilejskiego, województwa mińskiego, ochoczo bierzemy się do broni i postanawiamy łączyć się w jednym celu z bracią, których krew już się leje za ojczyznę, wolność i prawa.

„Biorąc się za tak ważną i najdroższą sprawę, korzymy się w duchu chrześcijańskiej pokory przed Panem Zastępów, wzywamy Jego wszechwładnej pomocy i ufając w Jego opiekę, przystępujemy do aktu postanowionego na sejmie warszawskim d. 3 grudnia 1830 r. i do Konfederacji zawiązanej w województwie wileńskim. Poprząsiemy nieść w ofierze życie nasze oraz majątki, i oręża nie złożyć, dopóki nie odzyskamy napowrót wydartej nam Ojczyzny i swobody!

„Oświadczamy uroczyście, iż mimo srogie uciski, arbitralność, poniżenia i niesprawiedliwości wszelkiego rodzaju, jakie doświadczać i znosić byliśmy przymuszeni przez lat trzydzieści siedem; idąc za nauką Zbawiciela naszego, nie tchniemy duchem zemsty przeciwko narodowi rosyjskiemu, uważamy Rosjan za bliźnich naszych, i dzieląc szlachetne uczucia oświeconego wieku, niepałamy chęcią odwetu. Lecz też postanawiamy i przysięgamy walczyć do ostatniej kropli krwi naszej za Polskę całą, wolną i niepodległą.

„Ile tchniemy duchem umiarkowanym względem narodu rosyjskiego, ile przejęci jesteśmy miłością dla wszystkich bliźnich naszych bez żadnej różnicy wyznania i pochodzenia, tyle razem zmuszeni jesteśmy oświadczyć, iż każdego, coby sprawę naszą zdradzał i otwarcie lub skrycie jej szkodził, acz niechętnie, zmuszeni będziemy karać przykładnie.

„Wzywamy Boga na świadectwo szczerości przysięg oraz oświadczeń naszych i niniejszy Akt Konfederacji dobrowolnie oraz własnoręcznie podpisujemy“.

„Pisano w mieście powiatowem Wilejce. Roku 1831, miesiąca kwietnia 6/18 dnia“.

(następują podpisy).

Po uchwaleniu aktu konfederacji obywatele wykonali przysięgę i przystąpili do wyboru członków rządu tymczasowego, tudzież naczelnika i dowódców siły zbrojnej.

Na naczelnika siły zbrojnej powiatowej trzech było podanych kandydatów: Stanisław Radziszewski, Wiktor Lubański i Aleksander Wołodkowicz. Każdy się wymawiał od przyjęcia tak wielkich obowiązków; nakoniec zacny Radziszewski dał się nakłonić na prośby ziomków i jednomyślnie naczelnikiem siły zbrojnej obwołany został, z prawem mianowania oficerów aż do stopnia pułkownika. Władza ta może się komu zdawać zbyt obszerną; była ona jednak nieodbitcie potrzebną, tam gdzie się tworzyło nowe nieegzystujące przedtem wojsko; a nadto była zgodną z dawnymi prawami litewskimi, które dowódcom powiatowym nadawały moc nominowania oficerów pospolitego ruszenia. Szefem sztabu został Wiktor Lubański, pułkownikiem dowódcą kawalerji Aleksander Wołodkowicz, komendę piechoty objęli Ignacy Odachowski i Lewkowicz. Nie zaniedbano też wybrać i posłów na sejm, którzy w czasie do Królestwa udać się mieli. Ufnosć współpowietników zaszczyliła tą dostojnością Wołodkowicza i N. N. Lecz gdy ci dla trudnej komunikacji i różnych przeszkód do Warszawy dostać się nie mogli, reprezentował później na sejmie narodowym powiat wilejski Władysław Plater, w Warszawie obrany.

Komitet powiatowy, mając sobie daną wszelką moc stanowienia w materji zaciągów, wydał odezwę, przez

którą wszystką szlachtę bez wyjątku powołał do broni; oręż i zapas amunicji, jaki tylko mógł znajdować się u prywatnych właścicieli, kazał do Wilejki dostawić; z włościan pięć część ludności do boju przeznaczył, także w pięciu ludzi jeden pieszy, a z dwudziestu jeden konny miał stanąć. Żołnierz pieszy powinien był przybywać ze strzelbą myśliwską, a w niedostatku jej z kosą lub piką, których modele po parafjach rozesłano. Jeździec koniecznie musiał być zbrojny w lancę, a jeśli możność dozwalała, w szablę i pistolety. Wskutek tego rozporządzenia powiat wilejski miał wystawić do 6000 piechoty i 2000 jazdy. Ubranie żołnierza spadło na koszt właścicieli ziemskich i składało się z kurtki oraz płaszcza samodzielnego, z dwóch par spodni, jednej sukiennej, drugiej płóciennej, dwóch koszul, dwóch par butów, czapki konfederatki, ładownicy rzemiennej i innych drobniejszych rzeczy. Tak ludzie, jak efekta wojenne w przeciągu dni dziesięciu do władzy miejscowej dostarczyć zalecono. W każdym kluczu komendant, a w każdej parafji komisarz przez komitet mianowany zajmował się wykonaniem rozkazów rządu powiatowego. Przygotowano razem osobne odezwy do stanu duchownego, do kobiet, do Żydów i do włościan, zapowiadając tym ostatnim zniesienie poddaństwa. Słowem nie opuszczono niczego, coby zachęcić albo zapał podnieść mogło. Ponieważ trudno było zaprowadzić natychmiast nowy sposób podatkovania, rząd tymczasowy postanowił, żeby obywatele wnieśli podatek, jaki Moskałom płacili, opędzenie zaś nagłych i nieodzownych potrzeb publicznych zostawił ich patriotyzmowi i księgę ofiar dobrowolnych otworzył. Magazyny żywności i furazju dla nowoformującego się wojska zwozić nakazał.

Wszystkie te rozporządzenia, uchwalone, napisane i przez umyślnych gońców w nocy 18 kwietnia rozesłane, nazajutrz były już przyjęte przez obywateli z posłuszeństwem i uległością; a chociaż uciążliwe, nikt jednak nie szemrał, bo każdy czuł potrzebę poświęcenia się i ofiary.

Po utrzymaniu w samym związku zachwianego powstania organizacja siły zbrojnej zaczęła postępować dosyć znacznie. Dostarczono kantonistów, przybywali ochotnicy z sąsiednich nawet powiatów. Walerjan Zawierski, Świę-

torzecki, Kamińscy, Chodźkowie, Korsakowie i wielu innych zagrzewali ducha swoim przykładem. Mimo to wszystko położenie powstańców wilejskich było trudne i mało obiecujące. Popłoch z powodu rzezi w Oszmianie i wzgląd na nieruchomość innych powiatów paraliżował odleglejsze od miasta powiatowe okolice. Wkrótce dało się spostrzec, że wyrachowana w miarę ludności siła nie może zebrać się całością, a dla obecnego nawet ludu brakło amunicji, broni i instruktorów. Oprócz kilku dawnych wojskowych, nikt nie miał najmniejszego o sztuce wojennej wyobrażenia. Tymczasem lada moment należało spodziewać się napadu od nieprzyjaciela. Przeddziecki nie dał się nakłonić na wezwanie Radziszewskiego i zamiast ku Wilejce pociągnął w lasy pod Wołożyn; Dzisiaj jeszcze się znajdowała w ręku Moskali; zewszed stron zostawionemu bez zasłony powiatowi wilejskiemu tembardziej groził garnizon Mińska, że generał Tenner w chwilach pierwszego przestachu sprowadził z Bobrujska półtora tysiąca kozaków i władze moskiewskie wyteżyły usilność do zabezpieczenia ostatniej drogi komunikacyjnej, jaka zostawała jeszcze między armją i stolicą cara.

Powstanie na Żmudzi i w innych powiatach gubernji wileńskiej przecinały wszystkie trakty tak dalece, że generał-gubernator Rygi przez Mińsk musiał znosić się z wojennym gubernatorem wileńskim. Pismo jego, w którym, prosząc o rychłą pomoc przeciw powstańcom żmudzkim, nie czynił nadziei obronienia od nich Połoggi, wpadło w ręce nasze. Przejętych kilka innych depesz nie zawierało nic ważnego; jedna tylko szczególniejsza ekspedycja nappełniła nas zgrozą i zdumieniem. Była to ogromna bryła arszeniku, bez żadnego pisma adresowana do wojen. guber. wileńskiego, Chrapowickiego. Kurjer, który zapewne zniszczył należące do tej posyłki papiery, lubo mocno był zmiészany, ciągle jednak składał się zupełną niewiadomością, coby ona znaczyć miała. Wedle decyzji lekarzy, trucizna ta wystarczała na zabicie przeszło stu tysięcy ludzi! Po tylu przykładach zimnego okrucieństwa i barbarzyństwa ze strony Mikołaja i jego słuźalców, najpodejrzliwszy domysł w tej mierze nie łatwo zgrzeszy brakiem podobieństwa do prawdy. Być

może, że arszenik ten miał służyć do zatrucia magazynów w Wilnie, jeśliby Moskale przed powstańcami z miasta ustąpić musieli.

Starając się tedy oswobodzić zagrożony trakt petersburski idący na Borysów, rząd moskiewski użył najprzód środków, żeby zapobiec powstaniu w powiecie borysowskim. Uwięziono W. Tyszkiewicza, Gnatowskiego, Czapskiego i innych znakomitych obywateli. Ledwo kilku patriotów potrafiło umknąć i w ubiorach chłopskich dostać się do nas. Następnie wyprawiono kozaków sprowadzonych z Bobrujska z dwoma lekkimi działami na poskromienie Wilejki.

Oddział ten, wojując po drodze spokojnych mieszkańców, zatrzymał się najprzód w Radoszkowiczach żeby schwytać podejrzanych o sprzyjanie powstańcom. Pleban tameczny, sędziwy kanonik Poraziński i kilku sąsiednich, obywateli, porwani z domów, okuci w kajdany i do Mińska posłani zostali. Dalej idąc, tłuszcza siepaczy nawiedziła Ilję, wieś Radziszewskiego, naczelnika siły zbrojnej wilejskiej. Żona jego ledwo zdołała z dziećmi schronić się do lasu, domownicy, którzy uciec nie pośpieszyli, ponieśli okrutną chłostę. Doktor miejscowy nawpół umarły był znaleziony po wyjściu oprawców. Cały dzień trunkiem zalane kozactwo bawiło się rabowaniem i niszczeniem. Wyróżniło bydło, wystrzelano wszystkie zwierzęta. Naczynia, sprzęty, meble kosztowne, obrazy, poszły w drzazgi, dwór murowany stał się kupą gruzów.

Przestrach poprzedzał posuwającą się plagę. Kto tylko mógł, unosił się z życiem i mieniem. Skoro przyszła wieść o tem do Wilejki, zwołano natychmiast nadzwyczajną radę dla postanowienia co przedsięwziąć. Trudne w istocie było położenie. Demoralizacja coraz bardziej szerzyła się w powiecie; kilka kluczów od strony Mińska zajęli już Moskale; siły nasze składały się ledwo z kilkuset ludzi gotowych do boju. Mając w tej liczbie połowę strzelców, można było wprawdzie bronić się między budynkami i w opłotkach przeciw kozakom bez piechoty; ale przewyższający siłą nieprzyjaciół mógł otoczyć miasto nieopatrzone w żywność i zgubić powstańców przecięciem komunikacji

z powiatem. Ostrożność radziła opuścić raczej Wilejkę, zając pozycję leśną w głębi powiatu, przenieść tam rząd cywilny, zbierać więcej ludzi, koni, amunicji, organizować swoje szeregi, i tym sposobem utrzymać jak najdłużej przyłegłe strony w stanie wojny.

Myśl ta została przyjętą; ale nim przystąpiono do jej wykonania, członkowie rządu, troskliwsi o własne osoby niż o powierzone im obowiązki, zniknęli tajemnie z rana 22 kwietnia. Ucieczka ich osłabiła do reszty ducha w obywatelstwie; podwójny ciężar władzy wojskowej i cywilnej spadł na Radziszewskiego.

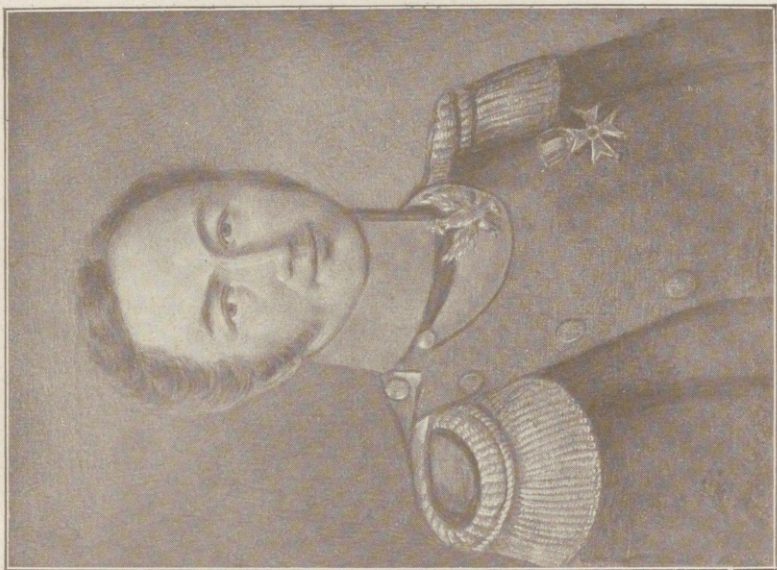
O północy 24 kwietnia zbliżył się nieprzyjaciół pod miasto. Po krótkiej utarczce między forpocztami, w której z obu stron zaledwie kilku było rannych, powstańcy w największym porządku opuścili Wilejkę, zasłaniany w odwrocie przez oddział piechoty i jazdę Wołodkiewicza. Tylko młody Zaborski, pilnujący jednej z najodleglejszych rogatek, nie wypełniwszy w porę rozkazu cofnięcia się z posterunku, dostał się w ręce Moskali z całym swoim oddziałem przeszło 20 ludzi pieszych.

Mieszkańcy wszyscy prawie opuścili miasto razem z siłą zbrojną. Ci którzy zostali, niemiłosiernie byli katowani. Szpieg jeden moskiewski, przez zbytęcną wspaniałośćomyślność powstańców, mimo oczywistych dowodów zbrodni, uwolniony od kary, najwięcej przyczynił się do prześladowania obywateli. Wydał skompromitowanych, jeżdżąc z kozakami, męczył kogo złapał, albo rabował domy nieobecnych.

Widząc porządną nasz odwrót, Moskale po zajęciu miasta nie poszli w pogoń za nami. Wypocząwszy więc nieco w Lubaniu, przybyliśmy 26 kwietnia do Miadzioła. Tu Radziszewski założył główną swoją kwaterę i wydał odezwy do wszystkich mieszkańców powiatu, żeby nie opuszczając przedsięwziętej sprawy, wypełniali rozporządzenia dawnego komitetu. Mimo to, że powiat w znacznej części był już pod władzą moskiewską, mimo zły przykład członków rządu naszego i mimo zajęcia Wilejki przez kozaków, wszystkie klucze niedosięgnięte jeszcze przez nieprzyjaciela, ubiegały się najśpieszniej czynić zadość rozka-



KAROL HR. PRZEDZIECKI
wódz powstańców w pow. zawilejskim.



STANISŁAW RADZISZEWSKI
wódz powstańców wilejskich.

zom, a raczej prośbom naczelnika siły zbrojnej, położenie bowiem powstańców było już takie, że niechętnych do posłuszeństwa zmusić nie mieliby sposobu.

W Miadziole więc, ubezpieczeni leśną i niedostępną pozycją, trudniliśmy się organizowaniem przysyłanych z powiatu kantonistów. Jazda osobliwie znacznie się powiększyła. Mielśmy przeszło trzysta dobrych koni, po większej części ze stajen obywatelskich. Ale osiodłanie było nędzne, a co gorsza ludzie niewprawni. Lubański, Wołodkiewicz i Zawierski czynnie starali się, ile możność dozwalała, zaprowadzić porządek w kawalerji; niezmordowany Radziszewski wziął na siebie organizowanie piechoty. Było jej więcej trzech tysięcy; lecz w tej liczbie mało bardzo znajdowało się ludzi z bronią ognistą, reszta miała tylko piki i kosy łada jak osadzone. Strzelcami dowodził Lewkowicz, kosynierzy byli pod rozkazami Stanisława Wańkowicza, Ignacy i Feliks bracia Odachowscy, wysłani do Wołkołaty, zbierali nowe zaciągi.

Pewna znakomita obywatelka przysłała nam w darze dwa spiżowe czterofuntowe działka, które niegdyś były własnością jej ojca, a po rozbiorze kraju zakopane w ziemi przechowały się od bystrego wzroku policji moskiewskiej. Sporządzono do nich naprędce lawety i zaraz zaczęto robić ładunki z prochu robionego przez nas samych. Do dwóch spiżowych przydano parę dział dębowych, okutych obręczami żelaznemi. Armaty drewniane śmieszna dziś niejednemu wydadzą się rzeczą. W istocie mały z nich był użytek, bo po kilku wystrzałach pękały; ale przy niedostatku broni nie godziło się powstańcom i taką pogardzać. Nad tą improwizowaną artylerją objął dowództwo dawny z czasów jeszcze Kościuszkowskich major artylerji Tański, siedemdziesięcioletni starzec. Pomagał mu gorliwie Piotr Snida, były oficer francuski.

Wszystko to działło się prawie pod okiem Moskali spokojnie w Wilejce osiadłych. Kozacy posunęli się w oszmiańskie, a miejsce ich zajął oddział regularnej piechoty z pół szwadronem kawalerji, który po ostatecznem rozpedzeniu powstańców oszmiańskich pod Rumem przybył do Wilejki. Dowodzili nim: generał Safinow i pułkownik Czap-

liński. Ten ostatni, Polak rodem, lecz niepomny na ojczyznę i ziomków, okrucieństwem przechodził samych Moskali. Codzień odbieraliśmy bolesne wiadomości o barbarzyństwach popełnianych w mieście i okolicach. Obywatelka jedna z dwiema córkami schroniła się była do klasztoru. Dosięgli ją i tam prześladowcy patriotyzmu, a religja, cnota i ludzkość zarazem przez nich zelżone zostały.

Pocieszyła nas nieco wieść o powstaniach w powiatach sąsiednich. Zawilejskiemu przewodniczył wicemarszałek Bortkiewicz; dziśniejszy pod naczelnictwem byłego pułkownika Brochockiego, chociaż ze znaczną stratą, zdobył swoje miasto powiatowe. Z dwóch tedy stron zasłonięni, mieliśmy tylko pilnować się od Mińska.

Tymczasem obywatele dręczeni przez Moskali przyśyłali licznych emisariuszów do Radziszewskiego, błagając, żeby uderzył na nieprzyjaciela i oswobodził Wilejkę. Młodzież też w szeregach naszych niecierpliwie żądała boju. Znał to dobrze Radziszewski, że powstańcy aczkolwiek przewyższają liczbą, nie mogli mierzyć się z regularnem wojskiem w otwartem polu. Ale dojęty widokiem cierpień współrodaków, odważył się próbować losu i na radzie wojennej otworzywszy swój zamiar, wydał rozkazy do marszu pod Wilejkę.

Dnia 2 maja siła zbrojna opuściwszy Miadzioł stanęła w Lubaniu, a w tymże czasie Odachowscy wyszli z Wołkołaty, żeby z drugiej strony przyciągnąć pod miasto i dnia 4 maja o świtanu wspólnie rozpocząć atak.

W wigilję ułożonego ataku dano nam znać do Lubania, że o pół mili od naszego stanowiska Moskale rabują wieś Kurzeniec. Wysłano przeciw nim Wołodkiewicza z jego oddziałem jazdy, lecz nie stawiając oporu cofnęli się śpiesznie do Wilejki i uwiadomili Safinowa o zbliżaniu się naszym.

Tegoż dnia część powstańców oszmiańskich rozproszonych pod Rumem złączyła się z nami.

Maszerowaliśmy całą noc 3 maja. Zawierski ze szwadronem jazdy udał się na trakt, którędy nieprzyjaciół wedle wszelkiego podobieństwa mógłby rejterować z miasta, żeby nań w potrzebie uderzył i przeciął możliwość odwrotu.

O świcie 4 maja rozpoczęła się bitwa. Strzelcy nasi odparli strażę moskiewską u bramy miejskiej i pędząc za uchodzącymi wpadli do miasta. Wślad strzelców ruszyła jazda Wołodkiewicza. Kilkadziesiąt ludzi, wiele koni i część bagażów dostała się w ręce nasze. Nieprzyjaciel z całą siłą i resztą bagażów zwinął się na drugą stronę Wilejki i obróciwszy przeciw nam dwa swoje działa, rozpoczął szybką kanonadę. Ogień ten źle kierowany mało był szkodliwy; mieliśmy tylko kilka koni ubitych i jednego człowieka ranionego kartaczem. Jednakże zmieszało to trochę kosynierów, którzy w swoją broń nie mieli ufności. Strzelcy przytem nasi zaniechali osadzić głębokich, lecz suchych rowów otaczających miasto. Korzystali z tej nieuwagi Moskali, i gdy jeden ich oddział posunął się ku nam na strzał karabinowy, razem nagle piechota ich pokazała się z rowów. Tak tedy jazda nasza wzięta we dwa ognie, po kilku nic nieznaczących szarżach, musiała się cofać. Zrazu odwrót ten był dość porządnym, ale gdy dwaj dowódcy plutonowi S. i H., straciwszy odwagę i przytomność, poczęli haniebnie zmykać, krzycząc: uciekaj kto może! niezwyuczajny popłoch ogarnął naszych. Złamały się szyki i cały tłum pędem wpadł na własną piechotę. Usiłowania Wołodkiewicza, żeby przywrócić porządek, były daremne; ledwo czterdziestu jeźdźców przy nim zostało. Natenczas pomknęły się kolumny moskiewskie i prąc zmieszana piechotę naszą, nie dając jej czasu uszykować się do obrony. Szczęściem, że u mostu na małej rzeczce, która przerywając miasto wpadała do Wilji, stanęły dwie kompanie strzelców pod dowództwem Ignacego Tukały i walcząc z niesłychaną odwagą przez parę godzin zatrzymały nieprzyjaciela; inaczej cała siła zbrojna wilejska poniosłaby ostateczną klęskę. Zagrzewał ich przykładem swoim dzielny Radziszewski, który narażał się na największy ogień. Pierzchający ochłonęli z przestachu, zebrali się w szeregi, i odtąd odwrót odbywał się porządnie.

Bitwa trwała od godziny 3 z rana do południa. Strata z naszej strony w ubitych i rannych była bardzo mała; w niewolę jednak dostało się wielu, mianowicie tych co za pierwszym popłochem kolumn swoich odbiegli i już

później złączyć się z niemi nie zdążyli. Najboleśniej nas dotknął zgon starego majora Tańskiego, który w tej potrzebie ostatek życia dla ojczyzny chlubnie położył.

Ile później dowiedzieć się mogliśmy, Moskałe stracili przeszło sto ludzi, a między tymi dwóch oficerów niższych i jednego sztabs oficera. Różnica tak znaczna między naszą i nieprzyjaciół stratą, da się łatwo wytłumaczyć dla tych, którzy wiedzą, że piechota moskiewska nie słynie z celnego strzelania, a powstańcy mieli najwięcej myśliwych, rzadko marnujących naboje.

Po nieszczęśliwej do Wilejki wyprawie wkradła się wielka w szeregi nasze demoralizacja. Dezercja szczególnie kosynjerów była tak znaczna, że w krótkim czasie więcej tysiąca ludzi ubyło. Niektórzy też obywatele, nikczemnie opuszczając sprawę narodową, gorszący z siebie dali przykład. Jednakże poświęcenie się innych i gorliwość dowódców, jakby czerpiąc nową moc w samych przeciwnościach, nie dały się niemi zrazić.

Brak jazdy nie pozwolił Moskałom korzystać z odniesionego zwycięstwa. Powstańcy, nie ścigani, cofnęli się do Wołkołaty i rozłożyli się obozem.

Wołodkowicz z oddziałem jazdy i piechoty poszedł ku Dunifowiczom dla zbierania nowych zaciągów i strzeżenia tej strony od generała Chiłkowa, który w tym czasie opanował Święciany i zmusił powstańców zawilejskich uchodzić w powiat dziśnieński. Dzisiaj, lubo ciągle atakowana przez oddział moskiewski wysłany z Witebska, była jeszcze w ręku Brochockiego.

Otrzymawszy nowe posiłki tak w jeździe jak w piechocie, Moskałe posunęli się z Wilejki do Dokszye, popełniając w przechodzie zwyczajne bezprawia i rabunki. Kto z obywateli nie mógł, albo nie chciał wcześniej ratować się ucieczką, tego schwytawszy brali na powrót za szyję i wlekli z sobą, pletniami przyganiając do pośpiechu.

Posunienie się to do Dokszye miało na celu odcięcie powstańców wilejskich od Dżisny, oraz od Łużek, gdzie stanął Bortkiewicz z siłą zawilejską. Żeby zniweczyć ten zamiar nieprzyjaciela, Radziszewski uwiadomiwszy pierwaj Brochockiego i Bortkiewicza, przeszedł z Wołkołaty do

Głębokiego. Dnia 12 maja połączył się tu z nim Wołodkowiec.

Od dwóch dni trwały już ciągle utarczki z Moskalami, w których drugi szwadron jazdy naszej pod dowództwem Zawierskiego dzielnie się odznaczył. Z rana 13 maja nieprzyjaciół przypuścił silniejszy atak, lecz równie ze stratą odparty, musiał czekać na nowe posiłki, które mu w tymże dniu nadeszły.

Radziszewski także oczekiwał pomocy od dzisieńczanów i zawilejczan. Ale Brochocki ciąglemi napadami turbowany nic nie mógł udzielić; Bortkiewicz zaś zamiast coby miał przybyć z całą swoją siłą, przysłał tylko 50 koni, a sam pozostał beczynnym w Łużkach na traktzie pocztowym między Dżisną i Głębokiem, o pięć mil od jednego i drugiego miejsca.

O wschodzie słońca 15 maja kolumny moskiewskie zbliżyły się do Głębokiego. Stanęliśmy pod bronią gotowi przyjąć bitwę. Cztery działa moskiewskie zaczęły rżęsisty ogień, ale bądź doświadczenie, że armaty nie tyle szkody co huk robiły, bądź rezygnacja rozpacz, sprawiły to, że powstańcy nie dali się ustraszyć. Owszem z wielkim krzykiem rzucili się na nieprzyjaciela i dwakroć go odparli. Jazda zawilejska złamała też kolumnę piechoty moskiewskiej i w tej świetnej szarży straciła kilkunastu ludzi, najwięcej z młodzieży akademickiej.

Po trzech godzinach walki, jedynie dla braku ładunków powstańcy zmuszeni do odwrotu, zaczęli ustępować w najlepszym porządku, pod zasłoną jazdy Wołodkowicza. Mały oddział strzelców zasadził się jeszcze w domach i dopiero wyparty przez masę nieprzyjaciela, opuścił miasteczko. Kawalerja moskiewska szła za nami trzy mile; żadnej jednak nie zadała nam szkody, i gdyśmy zajęli pozycję leśną, musiała zostawić nas spokojnie. W ciągu odwrotu odznaczył się szczególnie odwagą młody obywatel Szalewicz.

Dnia tego straciliśmy tylko kilkunastu ludzi. Moskale w dwójnásób większą ponieśli stratę. Ale opanowawszy Głębokie, własność pułkownika Brochockiego, pozwolili za to sobie uciechy ze zwycięstwa. Opite sołdactwo doka-

zywało co tylko swawola i dzikość podszeptać może; oficerowie sami dawali przykład gwałtów i łupiestwa.

W drodze spotkaliśmy Borkiewicza i Brochockiego ciągnących ku nam; Brochocki bowiem po długim i krwawym oporze opuściwszy Dżisnę na parę dni przed naszą bitwą pod Głębokiem, przyszedł do Łużek. Tym sposobem połączyły się powstania trzech powiatów: wilejskiego, zawilejskiego i dziśnieńskiego, licząc razem i szczątki szeregów oszmiańskich, które znajdowały się przy nich.

Zgromadzone w Łużkach siły wynosiły przeszło 4000 ludu. Ale w tej masie ledwo było 600 porządniejszej jazdy i niespełna 1000 piechoty w broń ognistą opatrzonej. Przytem dawał się czuć brak amunicji i ledwo po 10 ładunków mieliśmy na strzelbę; a niedostatkowi temu trudno było zaradzić, bo wszelkie zapasy prochu na wiele mil wokoło wyczerpały się już dawno. Nakoniec mogło zabraknąć i żywności dla takiej liczby skupionej w jedno miejsce, a prawie ze wszęch stron oblężonej przez nieprzyjaciela.

Tysiąc Moskali z trzema działami było w Dziśnie, tyleż w Głębokiem. Od stron wileńskich, w Święcianach, stał Chiłkow z tysiącem piechoty, pułkiem jazdy i sześciu działami; w Widzach pułkownik Kachowski miał bataljon piechoty i cztery działa. Od Dźwiny, nie tylko twierdza Dyneburg mogła wysłać jaki oddział, ale nadto w gubernji witebskiej zbierała się rezerwowa armja moskiewska pod dowództwem Tołstoja, i do Druż, Drysy i Połocka codzień ściągaly nowe siły.

Kiedy tak każdej godziny należało spodziewać się napadu od nieprzyjaciela, wewnątrz naszego obozu nie było zgody i jedności. Każdy powiat miał oddzielnego dowódcę i pod ogólną władzę jednego przejść nie chciał. Dnia 16 maja naczelnicy wszystkich trzech powiatów i celniejsi obywatele powiatu dziśnieńskiego zebrali się dla rozważenia coby w tak krytycznych okolicznościach przedsięwziąć należało. Rada była burzliwą i podobniejsza do wrzawy sejmikowej niż do rady wojennej. Czas jednak był drogi, upamiętano się i zamknięto rozprawy postanowieniem: ciągnąć w województwo wileńskie i połączyć się

z powstańcami, którzy licznie trzymali się w powiecie wiłkomirskim.

Żeby to skutecznie, trzeba było przemknąć się między Święciany i Widze, a raczej otrzeć się o ostatni z tych punktów, gdzie Kachowski miał dość siły na zastąpienie nam jedynej drogi ratunku. Wszystko więc zależało od pośpiechu i tajemnicy. Uchwalono tegoż samego wieczoru opuścić Łużki. Nadto żeby obserwującego nas nieprzyjaciela w niepewność wprowadzić, cała nasza siła podzieliła się na dwie kolumny. Pierwsza pod dowództwem Ignacego i Feliksa Odachowskich, zawierająca sto jazdy, sto strzelców pieszych i wszystkich kosynjerów, przedsięwzięła po awanturniczemu rzucić się w głąb kraju zajętego przez Moskali, wkroczyć w gubernję witebską. Druga pod wspólną władzą Brochockiego, Bortkiewicza i Radziszewskiego, złożona z 650 jazdy, 600 strzelców pieszych i 1000 ludzi opatrzonych w kosy oraz topory i inne narzędzia do naprawy dróg i mostów, miała puścić się ku Wiłkomierzowi. Rozrzewniający był widok kiedy nadeszła chwila, w której bracia i towarzysze musieli już pożegnać się z sobą, bez nadziei zejścia się znowu, bez żadnej pocieszającej wróżby na przyszłość. W nocy 15 maja obadwa oddziały wyruszyły z Łużek, udając się każdy w swoją stronę i wzajemnie uważając się za stracone na zawsze. Różny los je spotkał.

Odachowscy niespodziewanie wpadłszy do miasta powiatowego Lepła, znieśli garnizon, zatknęli chorągiew powstania i obudzili ducha w obywatelach. Ale niedługo cieszyli się powodzeniem. W kilka dni cały ich oddział przez Moskali otoczony i rozbity zupełnie został. Co nie zginęło na placu, dostało się w ręce nieprzyjacielskie. Ze smutkiem wyznać przychodzi, że Odachowscy, a osobliwie Ignacy, w niewoli moskiewskiej bynajmniej nie okazali tej odwagi i mocy charakteru, które zdawały się ich odznaczać. Owszem wyznaniami swemi na inkwizycjach skompromitowali mnóstwo niewinnych nawet obywateli, jakby starając się umyślnie wszystkich do wspólnej zguby pociągnąć. Ta słabość, czy wyrachowana nikczemność, zaćmiła ich rewolucyjne zasługi i podała złorzeczeniu

rodaków; ale zato zjednała im łaskę rządu moskiewskiego, który po kilku miesiącach więzienia uwolnił ich od wszelkiej innej kary.

Nieprzyjaciół, który nazajutrz po wyjściu naszym oparował Łużki, dowiedziawszy się żeśmy rozdzieleni poszli w dwie różne strony, nie wiedział za którą połową udać się naprzód w pogoń. To przy śpiesznym marszu dało nam uzyskać parę dni czasu. Jednakże na drodze ku powiatowi wiłkomierskiemu ścigani ciągle, mieliśmy niebezpieczeństwa i przed sobą. We wsi Kaczergiskach, gdzie trzeba było trakt pocztowy wpoprzek przeżynać, stał oddział piechoty moskiewskiej. Potyczka z nim tym gorsze mogła mieć skutki, że miejsce to tylko o pół mili od Widz jest odległe. Wypadało zatem ile możności starać się spokojnie wieś okrążyć. Nie obeszło się wszakże bez bitwy. Moskałe, spostrzegwszy naszą kolumnę, przepuścili jej czoło i uderzyli na straż tylną, złożoną ze strzelców wilejskich i jazdy Wołodkowicza. Gdy ogień, zrazu, rzadki począł się wzmacniać, Radziszewski z mocnym oddziałem piechoty posunął się polem dla zajęcia tyłu nieprzyjacielowi. Szczęśliwie skierowany ogień naszych armatek zmieszał Moskali i zmusił ich do odwrotu. Naówczas Wołodkowicz przypuścił szarżę, która chociaż nieporządnie wykonana, udała się pomyślnie. Nieprzyjaciół opuścił wieś, śpiesznie przebiegł na drugą stronę rzeki Dżisny ku Widzom i most zrzucił. Zabraliśmy mu kilkadziesiąt ludzi i wszystkie bagaże. Zwycięstwo to kosztowało nam tylko trzech ubitych i kilku ranionych, których, idąc dalej, musieliśmy w domach obywatelskich zostawić.

Po ośmiu dniach trudnego i ciągłego marszu, uszedłszy w rozmaitym kierunku siedemdziesiąt mil drogi, dostaliśmy się szczęśliwie w powiat wiłkomirski do Wiżun, a następnie do Kupiszek.

Tu połączone trzech powiatów siły rozdzieliły się znowu. Radziszewski wspólnie z oddziałem wiłkomirskim Michała Lisieckiego zajął pozycję w Androniskach; Brochocki i Bortkiewicz pociągnęli do Traszkun. Odkąd powstańcy przybyli, wraz z miejscowymi prowadzili partyzancką wojnę i szczególnie ucierali się z oddziałem gene-

rafa Chłkowa, aż do przejścia na Litwę wojsk polskich pod dowództwem generała Chłapowskiego i Giełguda.

Wówczas skończyły się cząstkowe zbrojnych mieszkańców usiłowania. Jednych wcielono do pułków starych, z drugich nowe pułki formowano. Z piechoty wilejskiej powstał 26 pułk linjowy pod dowództwem Radziszewskiego; z zawilejskiej i dziśnieńskiej utworzono bataljon Zawilejsko - Dźwińskim zwany, któremu przewodził pułkownik Brochocki, a który później dopiero należał do 19 pułku linjowego. Jazda wilejska weszła w skład 12 pułku ułanów i 6 strzelców konnych i jej dowódca, Wołodkiewicz, do sztabu generała Giełguda przeniesionym został.

Tak rozrządzeni powstańcy dzielili trudy i klęski regularnego wojska polskiego. Załedwie uformowany pułk 26 miał czynny udział w bitwach 19 czerwca pod Wilnem, 18 lipca pod Szawłami. W odwrocie generała Dembińskiego z Kurszan do Warszawy ciągle jego straż tylną składał i walczył świetnie na murach stolicy. Obok wszystkich nieszczęść, których doświadczył oręż polski, cząstka wielkiej jego sławy należy się powstańcom.

W POWIECIE DZIŚNIEŃSKIM.

W czasie, kiedy po całej gubernji wileńskiej szerzyło się poruszenie zbrojne, jeden tylko powiat brasławski nie zdołał pójść za przykładem innych. Ostrożność, a raczej niegorliwość marszałka Michała Wawrzeckiego, i opieszałość możniejszych obywateli dały czas rządowi użyć silnych i surowych środków. Powiernik wojennego gubernatora, pułkownik Kachowski, rozgospodarował się w mieście powiatowem Widzach. Mając bataljon piechoty i parę armat, zastraszył, zahamował cały powiat, mniej obszerny od przyległych. Ci więc, którzy w domach poczęli uzbrajać się, ujrzeni wkrótce niemożność skupienia w tych stronach sił znaczniejszych, a razem własne niebezpieczeństwo. Kachowski rzucał się na każdego, kto mu się zdawał podejrzanym; wszystkich znakomitszych właścicieli dóbr sprowadził do Widz i trzymał jak zakładników. Zaczyn jeden patryjota, uniknąwszy ręk jego, potrafił później rozwinąć partyzanckie działanie w częście swego powiatu; inni chwycili się naprędce tej myśli, żeby wybiec w okolice swobodniejsze od nieprzyjaciela i tam zatknąć chorągiew narodowej wojny. Pierwszych dni kwietnia dwaj młodzi Łopacińscy, Józef i Kazimierz, ze szwagrem swoim Józefem Kozięm i kilku przyjaciółmi we dwadzieścia koni puścili się zbrojno do sąsiedniej gubernji mińskiej. Tym sposobem zostało zaniesione hasło w powiat dziśnieński, gdzie obywatele równie jak wszędzie byli usposobieni, ale że powstanie Litwy nie wskutek ogólnego planu rozpoczęło się na Żmudzi i dopiero za dojściem wieści z miejsca do miejsca wybuchało cząstkowie, nie mieli gotowości do jednoczesnego poruszenia się w masie. Przybyli z brasławskiego zbrojni powstańcy musieli schronić się na czas u krewnych, nimby jawne podniesienie broni mogło być przedsięwzięte. Miasto powiatowe Dzisnę, leżące przy ujściu Dzisiejki

do Dźwiny, zajmował mały oddział kozaków i zwyczajny garnizon inwalidów. Patrjoci za punkt główny zgromadzenia się powiatu obrali miasteczko Łużki, o mil 5 od Dżisny. Pomiedzy innymi familje Łopacińskich i Kłotów najgorliwiej przyczyniały się do wsparcia publicznej sprawy. Ich przykładem i staraniem rzecz posuniona zbliżała się do dojrzałości, kiedy uboczna okoliczność nowy jej nadała popęd. Podchorążowie z Dyneburga prowadzeni do armji działającej zostali zatrzymani w Dziśnie z powodu powstania w Wilejce, kędy przechodzić mieli. W liczbie ich kilkudziesięciu, połowa prawie, było Polaków...

...
...Staliśmy obozem koło Łużek, wszyscy w polu pod szafasami, prócz komitetu, urzędników dla swoich zatrudnień obowiązanych zostawać w miasteczku i niektórych panów obywateli, co nie radzi byli pożegnać się z dachem. Brochocki sam często wśród dżdżystej nocy opatrywał posterunki i ten piękny przykład bardzo dobre uczynił wrażenie na prostym ludzie. Budowano się, widząc poważnego starca na koniu, kiedy niejednen młodzik schroniony od słoty wypoczywał spokojnie. Cały ciężar utrzymywania straży spadł na nas, uboższą szlachtę i chłopów. Łańcuch pikiet był jednak zawsze porządnym. Mieliśmy przytem niemało trudu z organizacją i musztrą żołnierza, którego liczba zwiększała się ciągle. Nadewszystko przyczyniał kłopotu niedostatek broni. Ledwo gdzie niegdzie błyszczał karabin z bagnetem, strzelby myśliwskie różnego kalibru po większej części były bardzo liche, kosy i piki osadzone niegodziwie. Trzeba było zaradzić temu jak można. Przyjęliśmy szyk bojowy wedle instrukcji, w kopjach pisanych kursującej i podobno z Królestwa przysłanej. Pierwszy szereg składali strzelcy, drugi kosynjerzy, trzeci ludzie z pikami tak długimi, żeby aż do pierwszej linji dosięgać mogły. Piechota nasza, podzielona na bataljony i kompanje, umiała już maszerować i wykonywać potrzebniejsze obroty. Rządca dóbr Łużek przysłał dla niej sztandar trzykolorowy przez jego żonę zrobiony z napisem: Za Wolność, Wiarę i Ojczyznę. Duch naszego ludu był dobry, prawie każdy chłopak mówił: „My s achwotaj pojdzem bić proklatoho

Moskała, tylko sztoż u niaho puszek nie było. Kab i nam choć malinkuju jakuju puszkę!“ (My z ochotą pójdziem bić przekłętęgo Moskała, byleby on armat nie miał. Żeby to i nam jaką choć maleńką armatkę!) Otóż na uspokojenie, tej troskliwości Brochocki dostał gdzieś wiwatówkę spiżową, a w sklepach klasztornych znalezione kartacze, od 1812 roku pozostałe, wybornie przypadły na kule do niej. Mogliśmy tedy spodziewać się, że żołnierz nasz dotrzyma placu; obywatele zaś zapał i odwaga obiecywały najświetniejszą walkę; ustawicznie wołano: do Dżisny! do Dżisny! Jakoż wkrótce dało się postrzec, że naczelnik zamierzał dogodzić tym gorącym życzeniom.

Dnia 1 maja przypadła Wielkanoc, którą obchodziliśmy jeszcze podług kalendarza rosyjskiego. Wzniesiono ołtarz na polu pod otwartem niebem. O godzinie dziesiątej zrana wystąpiliśmy w paradzie na nabożeństwo. Wojsko uszykowało się w czworokąt, za piechotą stała jazda z zdobytą bronią — wszyscy bez czapek. Mszę odprawiał sekretarz komitetu, ksiądz Tatur, muzyka marszałka Chrapowickiego, którą do szeregów powstańskich przyprowadził, grała podczas nabożeństwa; potem ksiądz Franciszek miał kazanie, czyli patrijotyczną mowę. Nakoniec wszyscy za przykładem Brochockiego ponowili przysięgę bronić do ostatka ojczyzny, i wzniosłszy oręż do góry wykrzyknęli trzykroć: wolność, albo śmierć! Po tym obrzędku uroczystym prezes komitetu zaprosił oficerów do siebie na święcone, a wojsko częstowano w obozie...

Dnia 6 maja wyruszyliśmy z obozu. W Łużkach pozostał komitet, przy nim nasz kolega Obuchowicz dla robienia prochu i dozoru nad arsenałem, a Rudolf Klot, słaby podówczas, z oddziałem piechoty dla straży wewnętrznego porządku. Komendant placu, marszałek Bujnicki objął ogólną władzę wojenną z pierwiastkowej stolicy powstania. Siła zbrojna na zdobywanie miasta powiatowego przeznaczona udała się dwiema drogami, to jest: bataljon 3-ci Tomasza Łopacińskiego i oddział jazdy Chrapowickiego poszły traktem pocztowym, żeby z prawego brzegu Dżisienki od Łuż czyli Łuk, majątku pułkownika moskiewskiego Frołowa, przybyć do Dżisny; Brochocki zaś resztę poprowadził do

Hermanowicz, żeby połączyć się z awangardą i przeprowadzić się na lewy brzeg Dzisienki. O godzinie drugiej po południu przyszlismy z Brochockim do Hermanowicz i znaleźliśmy stanowisko obozu wytknięte przez Rypińskiego, wedle danej mu instrukcji, oraz przygotowaną dla nas żywność, słomę i t. d. Wkrótce spostrzegliśmy drogą do Dzisny pędzącego w cwał jeźdźca, za którym służący prowadził kilka luźnych koni. Był to Stanisław Mihanowicz, dziedzic Mikołajowa. Zatrzymany przez pikiety i zaraz przyprowadzony do kwatery wodza, oznajmił on, że Piotr Wazgird ze swoimi ludźmi dworskimi napadł w karczmie Mikołajowskiej, o milę od Dzisny, na placówkę kozaków, zabrał im konie i odsyła do obozu powstańców, a samych trzyma w obłączeniu, ponieważ zamknęli się z bronią i poddać się nie chcą. Zaraz sześciu powstańców pod przewodnictwem dwóch Siemaszków pośpieszyło w pomoc.

Dnia 7 maja przeprawiliśmy się przez Dzisienkę przy odgłosie muzyki. Brochocki, zostawiwszy pod dowództwem podchorążego Szulca jedną kompanję dla strzeżenia w tyle nas przeprawy, z resztą pociągnął dalej. Mieliliśmy z sobą i nasze działko. Rypiński, jako artylerzysta, zdał komu innemu swoją kompanję, a objął kierunek tej jednokonnej baterji, za kanoniera służył mu szewc Ordyński. Prawdziwe to przysłowie, że w potrzebie szydło goli. Zbliżając się do Mikołajowa, powzięliśmy wiadomość o kozakach. Ludzie Wazgirda dwóch ich zabili, a trzech wzięli żywcem. Uriadnik, który najwięcej dodawał swoim odwagi i zaczął strzelać, najpierwszy dostał kulą w łeb. Wypadek ten zaalarmował garnizon Dzisny. Moskale pod bronią czekali na nas. W Mikołajowie spotkał nas ksiądz z ceremonją kościelną. Przechodząc przez wieś, widzieliśmy w karczmie żydka, który nam służył za przewodnika w ucieczce z Dzisny. Witął nas z radością i opowiadał, że był napastowany od rządu, ale się szczęśliwie wyłumaczył.

Dnia 8 maja raniutko wyszliśmy z Mikołajowa znowu jeszcze podzieleni na dwie części. Ponieważ zamiar płynienia wodą spełził na niczem, bataljon drugi Leopolda Klota, nieco pierwej udał się poza samym brzegiem Dzisienki, a Brochocki z bataljonem pierwszym Wołow-

skiego i z jazdą Mikołaja Kłota wziął się bardziej w lewo. Tak tedy z trzech punktów w jednej umówionej godzinie siły nasze miały uderzyć na Dzisnę: Łopaciński Tomasz z Chrapowickim od Łuż, z prawego brzegu Dzisienki; Leopold Klot prosto od Mikołajowa z lewej strony tej rzeczki; Brochocki od Doroszkowicz drogą wiodącą do Drui.

Byłem w oddziale środkowym Leopolda Kłota. Mieśliśmy po drodze przykre przeprawy przez strumienie, z których Moskale mostki porzucali. Kompanja moja narzekała bardzo ile razy trzeba było w bród maszerować. Chłopi chcieli jeszcze zdejmować obuwie i odzież, ale widząc, że szedł prosto naprzód i oni mówili jedni do drugich: „Kali użo panicz paszou, tak i nam nada ici — my usiudych za im pajdziom” (Kiedy już panicz poszedł, to i nam iść trzeba — my wszędzie za nim pójdziemy). Brochocki także trafił na wiele podobnych zawad i lubo ułatwiała mu niemało kompanja saperska, opóźnił się cokolwiek. Najpierwsi stanęwszy w przeznaczonym miejscu, czekaliśmy innych oddziałów. Jeszcze o kilka wiorst od Dzisny widzieliśmy na prawym brzegu Dzisienki konne rozjazdy. Wypadało mniemać, że to były wywiady Łopacińskiego; ale że nieco przedtem słyszeliśmy już strzały, nawijały się stąd różne domysły. Przy folwarku Górkach, oczekując Brochockiego, którego jeszcze nie było widać, rozwinęliśmy nasz front, tak jednak, żeby Moskale z miasta nie mogli nas spostrzec. Lecz siedzący na najwyższej wieży kościoła ich dobosz zoczył nas i uderzył na trwogę. Zaraz ujrzeliśmy za Dzisienką wysuwającą się porządnie z lasu piechotę Łopacińskiego, która również uformowała się do boju. Rozciągnęła jej linja, najeżona długimi rękojeściami pik i kos połyskujących od słońca, przedstawiała nam bardzo rycerski widok. Zapewne i my wydawaliśmy się tak innym. Ponieważ trzeci oddział z wodzem i armatką jeszcze nie nadciągnął, wszystko stało spokojnie. Wtem przybiega do nas raniony Bartoszewicz i opowiada co stało się przed godziną, właśnie kiedy słyszeliśmy strzały. Chrapowicki, będący przy Tomaszu Łopacińskim ze swoją jazdą, pośpieszył naprzód, i jak zawsze był trzpiot, tak i w tej ważnej sprawie postąpił nierozmyślnie. Przybywszy od Łużek nad Dzisienkę, nie

miął cierpliwości, wedle danych wszystkim oddziałom rozkazów, czekać hasła do ogólnego ataku; a gdy powziął od Żyda przewoźnika fałszywą wiadomość, że Moskale nie masz już w Dziśnie, chciało mu się wyłącznie zyskać dla siebie chlubę opanowania miasta. Wybiera więc kilkudziesięciu ludzi i posyła ich za rzeczkę. Wielu z młodzieży obywatelskiej rzuciło się ochoczo do tego oddziału. Żyd zdrajca pośpieszył ich przewieźć. Zaledwo stanęli na drugiej stronie, z za ścian i okien domów posypał się rzęsyستی ogień i Moskale zewsząd wysunęli się hurmem. Nie było ani nadziei zwycięstwa, ani sposobu cofnienia się do swoich, walczyli z rozpaczą. Pierwsza prawie kula przeszła nawskroś szczękę Ludwikowi Łopacińskiemu. Nim utracił siły położył jeszcze trupem kilku nieprzyjaciół. Jeśman padł także okryty ciężkimi ranami. Obadwa wzięci i zaraz przesłani za Dźwinę, przed zgonem doświadczyli całej mściwości barbarzyńskiej. Poległo wielu, dwudziestu pięciu dostało się w niewolę, reszta ratowała się wpław przez Dzisienkę. Bartoszewicz, płynąc, został raniony w plecy. Podchorąży Sołohub szczęściem jakimś przechował się w mieście do naszego przybycia. Spotkał go był jeden gwardjak z eskorty, która nas prowadziła z Dyneburga, i poznawszy krzyknął: „Sałahub zdieś! Junkiera zdieś!“ Ale Sołohub pałnął mu w łeb i potem potrafił zręcznie zrejterować się do bliskiego domku pod strzechę.

Chrapowicki, widząc okropną porażkę swojej awangardy, śpiesznie z pozostałym na prawym brzegu oddziałem zwrócił się do lasu, gdzie spotkawszy nadchodzącą piechotę, uformował się znowu i siedł z nią razem.

Wtenczas to Moskale, za danem hasłem przez dobosza z wieży, wzięli się powtórnie do broni, wyszli przeciwko nam na piaski i szykowali swój front, stawiając rzadziutko żołnierzy i junkrów dla pokazania większej siły. Tu widać opierać się nam zamierzali, ale spostrzegłszy Brochockiego nadciągającego od Doroszkowicz, nagle wzięli się do odwrotu. Część ich tylko pozostała w tylnej straży, główna kolumna prędko przeprawiła się za Dźwinę.

Drozdowski przyniósł nam rozkaz od naczelnika, żebyśmy posunęli się najprzód. O ile mocy biegliśmy

z góry. Dwóch chłopów przyłączyło się do mojej kompanji z drągami, mówiąc: „Kali Boh dopomożec, tak my i hetem pobijom praklatych Moskalou“. Przed miasteczkiem zesliśmy się z Brochockim. Uszykował nas porządnie do ataku i kazał wchodzić do miasta od młynu; sam zaś, chcąc przeciąć rejteradę nieprzyjacielowi, udał się za Dźwinę i trafił pod kule, które Moskale plutonami sypali z przeciwnego brzegu. Ponieśliśmy stąd trochę straty, ale lud nasz krzycząc: „hura! nasza uziato, Maskal prapaul!“ (górk nasi, Moskal przepadł) szli śmiało. Rypiński dał kilka razy ognia z działka, Moskale pierzchnęli tak nagle, że nie mieli czasu pościągnać wszystkich swoich sztyldwachów i płacówek. Zabraliśmy kilkadziesiąt niewolnika, resztę niespławionych do Rygi magazynów i część kasy złożonej z samej tylko monety, którą później rozdano naszym żołnierzom.

Skoro tym sposobem opanowaliśmy miasto powiatowe Dżisnę, radość była wielka. Wszędzie zrzucano czarne orły dwugłowe, a zatykano nasze chorągwie. Komendantem miasta został mianowany jakiś sekretarz, dobry patryota Terlecki, który później z nami wyszedł z Dżisny jako żołnierz. Główna nasza siła rozłożyła się obozem na piaskach w stronie południowej, od zachodu w Doroszkowiczach, a od wschodu w Łuhach, posterunki nasze strzegły brzegów Dźwiny. W mieście parę tylko kompanij odbywało warty. Sztab nasz był w klasztorze, lazaret w lazarecie moskiewskim, który ze wszystkimi porządkami i chorymi porzucili. Wieczorem muzyka nasza, ukryta w zaułku przy klasztorze, grała nad Dźwiną. Śpiewaliśmy narodowe pieśni, a Moskale odpowiadali nam strzałami. Niekiedy nasi podchorążowie rozmawiali przez rzekę z dawnymi kolegami. Słowa tamtych były nadto głupie. Strzały moskiewskie dawały się słyszeć jak tylko kto w mieście pokazał się na brzegu, a od wzajemnego strzelania, mimo najsurowsze zakazy wodza, trudno było naszych wstrzymać. Również niemało mieliśmy trudności upilnować żołnierza w obozie: wszyscy rwali się do miasta. Trzeba było częste odbywać apele, co też mordowało nieznośnie; chłopci nie trafiali na swoje miejsca i nawet zapominali swoich nazwisk.

W ciągu pobytu w Dziśnie raz tylko byliśmy zaalarmowani rzeczywiście. Moskale przeprawili się przez Dźwinę pod Łuhami i zachwycili dwóch ospalców z oddziału Tomasz Łopacińskiego, stojących na pikiecie. Ale spostrzegłszy nasz ruch w Łuhach i Dziśnie, zemknęli zaraz napowrót. Jednakże niedługo mogliśmy cieszyć się naszym pierwszym zwycięstwem, trzeba było wkrótce cofać się przed nieprzyjacielem nadchodzącym zewsząd i przebywać coraz smutniejsze koleje...

POCHÓD POWSTAŃCÓW Z NAD DŹWINY KU ŻMUDZI, POŁĄ-
CZENIE SIĘ ICH Z ODDZIAŁAMI WIŁKOMIERZAN I PÓŹNIEJ
Z REGULARNEM WOJSKIEM.

...Kiedyśmy się ze szczątkami powstania oszmiańskiego przedzierałi w powiat zawilejski, dochodziły nas różne najpomyślniejsze wieści o stanie insurekcyjnym tego powiatu. Mówiono, że tysiące ludu porządnie uzbrojonego obozuje koło Święcian, że wewnątrz organizacja wzorowa tworzy regularne pułki, że o nieprzyjacielu ani słyhać. Tymczasem znaleźliśmy zupełnie co innego, to jest jak w każdym innym powiecie, najpiękniejsze poświęcenia się i chęci obok największego bezładu i niedostatku środków, a co gorsza, nieprzyjaciela zbliżającego się zwycięsko; bo i tu jak wszędzie, nieszczęśliwa myśl staczania bitew w otwartem polu, załęczniona i żywiona przez kilku napoleońskich jeszcze oficerów, jednozgodnie, ale niebaczenie przyjętą została.

Nazajutrz po naszym przybyciu, to jest 5 maja, razem z miejscowymi powstańcami musieliśmy opuścić Święciany przed nadchodzącym od Wilna Chiłkowem. Pierwszym zamiarem naszym było udać się w powiat wilkomierski; lecz gdy się pokazało, że drogę w tę stronę nieprzyjaciel już przeciął, naczelnik powstania zawilejskiego, Bortkiewicz, ułożył sobie, rozpuściwszy parę tysięcy niezbrojnego ludu, z wyborem jazdy i strzelców ciągnąc ku Dziśnie, wesprzeć przez to tamecznych patriotów, ubiec twierdzę Dyneburg, i tym sposobem przez silną dywersję nad Dźwiną przynieść ulgę zachodnim powiatom Litwy. Podług niego Żmudź miała być jednym, a okolice Dzisny drugim biegunem, koło których miały lawirować siły moskiewskie, oderwane od głównego teatru wojny w Królestwie. Pocięszając się takimi widokami na przyszłość, ruszyliśmy

w pochód i po czterech dniach marszu leśnemi manowcami stanęliśmy w Łużkach 9 maja.

Komitet dzisieńczanów wyszedł na nasze spotkanie i przyjął nas po bratersku. Wszystko tu przedstawiało piękny i tkliwy widok narodowej wojny. Przed miasteczkiem na rozległej równinie, jak okiem zajrzeć w mgłę chmurnego poranku, zółciały słomiane szafasy siły zbrojnej, która przed kilku dniami wyruszyła z nich do boju i trzymała już zdobytą Dzisnę. Zrzadka tylko kurzyły się ogniska straży pozostałej na miejscu. Przy nich leżał lud prosty w swoich wieśniaczych ubiorach, tak jak rzucił domową strzechę i niwę, skoro usłyszał hasło powszechnej walki przeciw ciemieżcom kraju. Dodawał otuchy ten widok, ale nie obiecywał i tu większego dostatku sposobów albo szczęśliwszych owoców sztuki. Ujrzeliśmy znowu kosy, piki i noże, śpiesznie przywiązane do niedługich żerdzi. Wkrótce też obłyły się o nasze uszy i wieści względem ogólnego stanu rzeczy, bardzo przeciwne rokowanym nadziejom. Brochocki w Dziśnie, Radziszewski w Głębokiem oczekiwali na nieprzyjaciela silniejszego od nich.

W parę dni po naszym przyjsciu, główna siła dzisieńska, opuściwszy opanowane niedawno miasto powiatowe, cofnęła się do Łużek. Trzeba było natenczas widzieć te szeregi ziemiańskie, ten kilkotysięczny tabor rolników koczujących na własnej ziemi, żeby ocenić cierpienia naszego narodu i miłość ku ojczyźnie. W obozie nie było już owej wesołości hałaśliwej, jaka oznaczała pierwsze chwile powstania, tylko wytrwałość, tylko rezygnacja dawała się spostrzegać w jednostajnych, cichych ruchach całej różnokolorowej masy. Kilkunastu podchorążych dyneburskich utrzymywało szczególniej porządek militarny. W krótkich, szarych z grubego sukna ubiorach, z pistoletami za pasem, okryci z tegoż sukna szerokimi kołnierzami, pod gołym niebem dzieląc z poczciwym chłopstwem prosty pokarm i wszystkie niewygody, spędzali oni dzień cały na przeglądach posterunków i ćwiczeniu niezgrabnego żołnierza. Wieczorem, skoro z wieży odezwał się głos dzwonów zwołujący na pacierze, poruszały się od ognisk obozowych tłumy i ciągnęły do kościoła. Kościół i cmentarz nie mógł

ich ogarnąć; daleko wokoło klęczał lud biedny, nieoświecony, ale najpocziwszy w świecie, i modlił się, polecając wyższej opiece dobrowolnie porzucone domostwa, których coraz więcej nie spodziewał się oglądać rychło. Nigdy nie widziałem uroczystsze go nabożeństwa nad tę milczącą, korną modlitwę!

Dnia 15 maja już słońce było wysoko, kiedyśmy wymaszerowali w pomoc Radziszewskiemu. Gdyby dowódcy nasi lepiej byli obrachowali się z czasem i w nocy kazali ruszyć z Łużek, przyciągnęlibyśmy pod Głębokie na samą chwilę bitwy i może nieprzyjaciół, który podobno miał nie więcej nad parę bataljonów piechoty, dwa szwadrony huzarów i dwa działa, nie zdołałby nam dotrzymać kroku. Przynajmniej to pewna, że widok świeżego zasilku w masie, która do trzech tysięcy wynosiła, rzuciłaby na niego postrach, a ten nieraz i silniejszego zwyciężyć pomaga. Ale nie uszedłszy i połowy drogi, spotkaliśmy cofających się ku nam wilejczan. Jak na wymówkę opieszałości pokazywali oni nam prawie jeszcze moskiewskie kule i karta cze. Była zrazu mowa o tem, żeby pójść odbierać Głębokie, lecz słuszne zdania wzięły górę, że kiedy się nie udało obronić tego stanowiska, trudniej je zdobyć. Wróciliśmy więc wszyscy do Łużek i stanęliśmy pod dworem hrabiny Platerowej, skąd nam najuprzejmiej dostarczano żywności, chociaż przez cały czas egzystująca główna kwatera powstania dziśniejskiego znacznie wyczerpała zapasy, a teraz nas było cztery tysiące. Radziszewski miał dwa porządne działa; ale nie używał ich dla braku naboju. Oddano je pod zarządzenie artylerzystów Rypińskiego i Kiersnowskiego, którzy wnet postarali się o ładunki. Gotowi do boju czekaliśmy nieprzyjaciela, jeśliby ośmielił się posunąć ku nam od Głębokiego. Tak przeszła noc i połowa dnia następnego. Tymczasem na radzie wojennej, złożonej z naczelników i celniejszych obywateli, zmieniono postanowienie. Bądź, że doszły wieści, iż Kachowski ciągnął od Widz i był już w Nowym Pohoście, bądź, że z obrachowania tylko sił nieprzyjacielskich wokoło nas rozrzuconych dawało się spostrzegać zastraszające nasze położenie, uchwalono opuścić własne strony,

a dążyć przez powiat wiłkomirski ku Żmudzi, i w ostatku jeśliby tam nie lepiej szły rzeczy, przerzynać się za Niemem do Królestwa. Otóż znowu wędrówka po tyłu zakreślonych sobie planach nad Dźwiną! Przeciwni się tej emigracji prezes Podbipięta, sekretarz Kurowski i niektórzy członkowie komitetu, obstając za powinnością walczenia do upadłego w domowych okolicach. Podbipięta, zacny staruszek, jak ów motyl zastygły w bursztynie, zachował całą barwę dawnego Polaka. Nie pojmował on, co mu nowożytniejsi według prawideł strategii gadali o liniach operacyjnych zajętych przez nieprzyjaciela, tylko ze łzami powtarzał ciągle, że mając tak śliczne pospolite ruszenie, niegodnie było powietników porzucać Moskałom, a uchodzić pod innych chorągwi zasłonę. Mimo łzy i prośby starca, większość na radzie przemogła. Jednak nie ogłoszono zaraz wojsku powziętego zamiaru, owszem urządzając się jakby do uderzenia na nieprzyjaciela, kazano zrobić wybór żołnierza, a lud niezbrojny rozpuścić do domów. Tym końcem z piechoty dziśieńskiej złożono jeden bataljon, który oddano Wołosowskiemu; jazda jego powiatu przeszła pod dowództwo Chrapowickiego, oprócz kilkunastu obywateli, którzy z młodzieżą innych powiatów uformowali osobny hufiec, przezwany później Złotą Chorągwią. Powiat wilejski mniej miał do wybrakowania, zawilejski jeszcze w Święcianach już to uczynił. Z kosynierów i pikinierów wzięto tylko kilkuset dla pomocy w przeprawach. Reszta byłaby się rozeszła, gdyby Odachowscy nie zgarnęli jej na swoje śmiałe przedsięwzięte poruszenia gubernji witebskiej. Dodano im z wyborowej siły sto strzelców i tyleż jazdy. Smutny los spotkał tę gromadę i łatwo było to przewidzieć; ale nikt nie odradzał pięknego poświęcenia się, tem bardziej, że wielce pomagało do ujęcia drugiej połowie z pod oczu nieprzyjaciela. Jeśli w tym razie dowódców powstania można posądzić trochę o egoizm, czyliż nie zdarzyło się i generałom wojsk regularnych, myśląc o swoim odwrocie, mało troszczyć się o innych?

Jakkolwiek bądź, po południu z Łużek ruszono niby ku Głębokiemu. Dopiero nazajutrz zbliżając się do Berezewca, naczelnicy oświadczyli wyraźnie jaki mają zamiar

i zwrócili się w prawo na Udział. Wielu obywateli dziśnieńskich oburzyło się jeszcze na myśl opuszczenia powiatu. Niektórzy, rzucając zaraz pielgrzymkę, namawiali podcharżych i mfodzież do pozostania z nimi i rozpoczęcia cząstkowej walki na miejscu. Ale mniej więcej zaprowadzona subordynacja wojskowa, ufność położona w Brochockim i nareszcie obawa gorszącego przykładu bez użytku z niewczesnych już kroków, nie dały ulec namowom. W marszu jednak następnej nocy niemało chłopów ubyło.

Ci, którzy z drogi wrócili i którzy byli nie ruszyli się w pochód, wkrótce stali się ofiarami moskiewskiej zawziętości. Murawjew, gubernator Mohiłowa, znieważając pamięć nieszczęśliwego Murawjewa Apostoła, lubił mawiać, że jest Murawjewem przeznaczonym do wieszania innych, nie zaś do figurowania na szubienicy, i śpiesząc dać carowi dowód swojej życzliwości, przybył do Głębokiego, żeby męczyć narazie pojmanych powstańców. Drapieżny ten satrapa bez względu na wiek i dostojęństwo osób, pastwił się nad każdym kto wpadł w jego ręce; zniewazał, katował, golił głowy i rozsyłał to do kazamatów dyneburskich, to do pułków armji kaukaskiej. Prezes komitetu Podbiپیęta, jego zastępcą Brzostkowski i gorliwy ks. Tatur, wycierpieli najprzód wszelkiego rodzaju męczarnie. Benedykt Klot, Antoni Korsak i wielu innych wtrąceni do więzień, nie wiem czy dotąd nie pokutują w lochach, albo na Sybirze. Wincenty Korsak, syn Antoniego, i Augustyn Chomski ratowali się ucieczką i połączyli się z nami w Kiejdanach, już po przyjsciu Giełguda.

Co do nas, odbywaliśmy dalej naszą zbrojną wędrówkę, jakiej od czasów Konfederatów Barskich ziemia polska nie widziała. Oddziały powiatowe trzymały się mniej więcej osobno i wewnątrz były jakkolwiek uszykowane. Bortkiewicz miał 300 porządnej piechoty po większej części w karabiny z bagnetami opatrzonej i 150 jazdy. Przy tej sile zawilejskiej trzymało się zawsze 60 strzelców pieszych i 30 desperatów konnych z powstania oszmiańskiego. Jej także asystowała Złota Chorągiew licząca przeszło 30 koni. Brochocki prowadził 160 strzelców, 250

jazdy, kilkaset niby saperów bez broni ognistej i jedną o jednym koniu armatkę. Radziszewski celował swoją artylerją z dwóch dobrze urządzonych działek złożoną, w asekuracji której szło 80 strzelców, nieco więcej kosynierów i do 200 jazdy. Taki był skład naszego korpusu; ale wogóle ta para tysięcy z dworów, chatek i miasteczek, nagle jakby czarodziejską łaską wywołanych wojowników, przedstawiało oku dziwnie pstrą i różnokszaftną gromadę. Harcowali jeźdźcy na dzielnych spasyłych koniach i tuż obok sunęli się na wychudłych szkapach, albo domagali się kłusem na drobnych chłopskich konikach. Każdy był ubrany i uzbrojony jak mógł, jak przypadek zdarzył, lub jak fantazja doradziła. W surdutach, we frakach, w kapotach, w kurtkach, w czamarach, w mundurach swojego pomysłu, w togach ponsowych, w butach i bez butów, przy ostrogach i w łapciach, ruszało razem bractwo powstańców. Ten obwieszał się dwiema parami pistoletów i zatknął jeszcze krucicę za pas, ów ledwo zdobył się na kusz szabelkę. Jedni mieli stare karabele i rapiery, inni tureckie, francuskie pałasze, lance, piki, kordelasy i t. d. Dopieroż ciągnęła się kolumna piesza z karabinami, dubeltówkami, muszkietami i biedna hołota niosąca na ramieniu kosa, siekiery, rydle, motyki. Kto tego nie widział, nie potrafi pojąć jak wielkie było poświęcenie się przy tak nędznych środkach.

Dnia 19 maja przebyliśmy Dzisienkę za Łojkiem. Dniem pierwszej wysłany z jedną kompanją podchorąży Przysiecki rozrzucił jakąś stodołę i związał most pływający dla piechoty i wozów. Jazda wpływ przeszła. Wypocząwszy w bezpiecznem miejscu między jeziorami, maszerowaliśmy nazajutrz śpiesznie do późna w nocy, bo dochodziły wieści, że nieprzyjaciół nas ściga. W istocie zaraz po naszym wyjściu Safianów przyciągnął z Głębokiego do Łuzek i ruszył w pogoń; lecz omylił się co do kierunku i poszedł ku Postawom. My tymczasem przewędrowaliśmy szczęśliwie część powiatu zawilejskiego, znajdując wszędzie dosyć żywności, gdyż Moskale kazali przygotować suchary dla siebie. W Kozianach przeszliśmy znowu na prawy brzeg Dzisienki. Bortkiewicz, który doskonale znał okolice, prowadził nas

bardzo zręcznie i usiłował uniknąć wszelkiej zaczepki, ponieważ to mogłoby dać wygraną w czasie oddziałom moskiewskim, czyhającym z boków i ztyłu. Najtrudniej było przemknąć się przez trakt pocztowy między Chiłkowem i Kachowskim, z których pierwszy stał w Święcianach, drugi w Widzach. Jakoż w tym przesmyku nie obeszło się bez rozprawy, dzięki Bogu, szczęśliwej.

Dnia 21 maja, kiedyśmy byli już tylko o półtorej mili drogi od Widz, a naprost przez bagna daleko bliżej, zaczął dawać się nam słyszeć huk armat. Ranek był pogodny, widzieliśmy wyraźnie dym każdego wystrzału i naliczyliśmy ich kilkadziesiąt. Nie sądzę, by te strzały w miasteczku miały co innego znaczyć, jak tylko, że Moskale obchodzili jakiś swój „prażnik“ (święto). Chcąc ich pominąć cicho, braliśmy się w lewo na wieś Koczergiszki, o kilka wiorst od Widz odległą, lecz i tu znalazł się nieprzyjaciel. Jazda wilejska, idąca w naszej awangardzie schwytała mały patrol, od którego dowiedzieliśmy się, że we wsi jest oddział złożony z kompanji piechoty i kilkudziesięciu ułanów i kozaków. Nic nie pozostawało zatem, jak iść przebojem. Wyprawiono najprzód nasze liczne bagaże pod zasłoną znacznej części piechoty. Nie wiem czy rachuba w tem była; ale furgony przeszły niezaczepione. Zbliżywszy się na pół wiorsty do wsi, spostrzegliśmy piechotę moskiewską biegnącą od karczmy do okopów z piasku usypanych na gościńcu. Kawalerja szykowała się przed okopami. Bortkiewicz i Brochocki otoczeni Chorągwią Złotą stanęli na stronie, a Radziszewski ze swoją artylerją i strzelcami zawilejskimi, posunął się grzbietem góry panującej nad drogą, żeby nieco z boku zająć nieprzyjacielowi. Przez niego kierowane działka wkrótce rzecz zdecydowały. Od pierwszego strzału nabojem kul karabinowych, zamiast kartaczów, kawalerja moskiewska pierzchnęła za karcznię. Dwa następne strzały wypłoszyły piechotę z okopów. Wysłany natenczas przez Brochockiego i Bortkiewicza hufiec naszych konnych ochotników uderzył na nie, lecz nie mogąc nic dokazać cofnął się w porządku. Skuteczniej wystąpili strzelcy zawilejscy. Po kwadransie gęstego ognia, kolumna moskiewska, nie mogąc dotrzymać ręcznym i działowym

strzałom, poczęła rozsypywać się i zmykać za rzeczkę, na której most zrzućwszy mogła sobie spokojnie uchodzić ku Widzom, bośmy nie mieli zamiaru gonić za nią, chociaż strzelcy nasi tak się zapalili, że mimo odwoływania dowódców, brnąc w wodę, strzelali do zbiegów. Wołodkowicz i Zawierski szarżowali jeszcze na kawalerję moskiewską, której pluton rozpuszczony we flankiery wpływ już przeprowadzić się musiał. Podczas bitwy jakiś stary wyszedł ze wsi z białą chorągwią i ciągle nią wywijając zachęcał walczących. Co niemało dodawało im odwagi i zapału. Po skończonej utarczce słyszałem rozprawiających chłopów, że to nie był człowiek, ale jakiś posłannik niebieski, bo inaczej musiałby koniecznie być ubitym, narażając się w najręźsistszym ogniu na strzały obu stron przeciwnych. Nieprzyjaciół stracił kilkunastu żołnierzy i jednego oficera; z naszej strony czterech czy pięciu było ranionych. Odnieśliśmy tedy zwycięstwo, a nawet mieliśmy i zdobycz. Wszystko co było w obozie dostało się w ręce nasze: żywność, konie pociągowe, bagaże oddziału i ruchomość oficerska. Moskale nie spodziewali się napadu, a tem bardziej nagłych wynosin. W kwaterze komendanta znaleziono ogromny samowar z wrzącą wodą na czaj i rozłożoną książkę — romans Puszkina: Kirgiz Chazak. Wiele innych książek walało się po ziemi. Pan komendant nie tylko był literat, ale i człowiek lubiący żyć wygodnie: miał dobry zapas araku, wina, cukru, waksztafu. Jezdni i strzelcy nasi, którzy pierwsi do wsi wpadli, zabrali sobie prawem wojennem manatki oficerów moskiewskich: mundury, szlify, szarfy, szlafroki, buty z ostrogami, siodła, szabraki, a nawet i szable pięknie wypolerowane. Później nadciągający pocieszała się zapasem wódki i ogórków solonych. Baryłka prochu i magazyn sucharów zostały tylko nabytkiem rzeczy publicznej. Piwnica i apteczka komendanta przez delikatną wstrzeźliwość szeregowych przypadły w podział młodym ich dowódcom.

Po takim zwycięstwie, a mianowicie zdobywszy takie *spolia optima*, zaczęliśmy przepędzać wieczór bardzo wesoło na pierwszym wypoczynku w Mirszczyźnie. Ale nieszczęściem zaraz kazano siadać na koń. Mówiono bo-

wiem, że usłyszawszy huk strażów pod Koczergiszkami, Chifkow ruszył na nas ze Święcian, a Kachowski z Widz wysłał oddział do Sołoka, dla zaskoczenia nam zprzodu. Spalono zaraz most na rzece, którą mieliśmy za sobą, i maszerowaliśmy noc całą. Stało się jednak, że ani Chifkow nas dognał, ani Kachowski nie przejął. Rano 22 maja wytchnęliśmy w Rymśzanach, a pod wieczór z muzyką paradnie weszliśmy do Sołoka. Nazajutrz nocowaliśmy już w powiecie wiłkomirskim koło Dowgieł, a 24 stanęliśmy w Wiżunach i rozłożyliśmy się obozem pod lasem. Nieprzyjaciel lubo w kilka godzin po naszym wyjściu przybył do Rymśzan, jednak czy zrażony porażką pod Koczergiszkami, czy zbyt uprzedzony o naszych siłach i pomocy, jaką mogliśmy znaleźć w tych stronach, nie nastawał na nas zbliżka. W istocie powstanie wiłkomierskie było liczne; a im bardziej częstkami rozrzucone, tem więcej odpowiadało swemu przeznaczeniu i słusznie trwożyło Moskali. Główna kwatera siły zbrojnej wiłkomirskiej była natenczas w Woldach, nieopodal Leoniszek. Tytuł naczelnika powiatu nosił Medard Kończak; jenerałnym sekretarzem nazywał się Michał Pietkiewicz; inni obywatele, szczególnie Adam i Benedykt Kołyszkowie, przewodniczyli radzie wojennej. Osobnemi oddziałami dowodzili: Lisiecki, Ferdynand Grotkowski i inni. Ile widziałem później, lud tu był dobrze odziany i uzbrojony. Piechota była w szarych kurtkach z niebieskimi kołnierzami i w okrągłych z takiegoż sukna czapkach; wszystka miała ładownice i tornistry. Jazda obywatelska, składająca mianowicie oddział tak zwany geryłasów, na dobrych koniach i dobrze umontowana, nosiła granatowe czamarki z amarantowemi belkami na kołnierzach i granatowe konfederatki. W innych hufcach dawały się spostrzegać rozmaite, nieraz ciekawe, fantastyczne ubiory: płaszcze hiszpańskie, botforty, ogromne czarne i szare kapelusze. Najwięcej wszakże figurowały sine kapotki z sukna na huzarach zdobytego.

W Wiżunach tedy, mając naokoło narodowych współwojowników, a nieprzyjaciela nie czując na karku, mogliśmy wypocząć trzy dni po siedemdziesięciomilowej wędrówce.

Przy swobodniejszych chwilach obudziły się zaniechane kwestje względem urzędzeń wewnętrznych, pod którymi może kryły się i widoki miłości własnej. W ciągu marszu władza najwyższa spoczywała bez podziału na trzech naczelnikach powiatów i póki niebezpieczeństwo było nagłe, nie zawadzało to bynajmniej. Każdy w potrzebie znalazł się na swoim miejscu, czynił co mógł najlepiej uczynić. Bortkiewicz znał dokładnie okolice zawilejskiego i brasławskiego powiatu; prowadził cały orszak zbrojny, jak doświadczony żuraw stado w przelocie. Starsi nie zaprzeczali mu wyboru drogi, młodsze nazywały go swoim Mojżeszem. Brochocki i Radziszewski pilnowali porządku, czuwali nad bezpieczeństwem stanowisk. Wszyscy trzej podczas utarczki byli na czele, a gdy jeden z nich wziął ster boju, inni milczącym ustąpieniem pierwszeństwa oddali słuszość jego zdolności i talentom. Ale dopiero chodziło wcale o co innego, o zdanie względem rozmaitych projektów nadał, i zgoda była trudniejsza. Niektórzy dowódcy oddziałów wiłkomirskich wzywali żeby iść szturmować Rakiszki, gdzie znajdował się okopany bataljon moskiewski z dwoma działami; inni inne podawali plany. Dla układów z naczelnictwem obcego powiatu, dla większej łatwości poruszeń niedość spojonej masy, dla zatarcia rozdrażniających się niesnasek między powstańcami trzech osobnych chorągwi trzeba było wybrać jednego ogólnego wodza. Nazajutrz po przybyciu do Wiżun zwołano obywateli wszystkich oddziałów na radę wojenną celem wyboru naczelnika. Musieliśmy przecież mieć i sejniki w naszym obozie. Delikatność nie dozwoliła wprowadzić rozstrzygnięć rzeczy przez większość głosów; ale co gorsza, niesforność zniweczyła dobre skutki pierwszego popędu pięknych uczuć. Po krótkim gwarze, uradzano zostawić w izbie obrad samych naczelników, żeby ci z pomiędzy siebie jednemu najwyższą władzę przyznali. Radziszewski otrzymał to dostojęństwo, i rzeczywiście bez ujmy dwom innym rzec można, że on najlepiej mógł odpowiedzieć obowiązkowi wymagającym równie cnót obywatelskich, jak znajomości wojennych i sił niestarganych. Bortkiewicz przy podeszłych latach miał dosyć jeszcze ognia: o wschodzie

słońca zawsze był na koniu, nie dospał, nie dojadł kiedy tego była potrzeba, jak najmłodszy żołnierz; ale zacnemu wojakowi staropolskiego kroju zbywało na nowszych wiadomościach militarnych. Brochocki, wysłużony weteran, świeżo z wojska przyniósł usposobienie taktyczne, pełną zimnej krwi odwagę i przezorność doświadczenia, ale nie łatwo dźwigał ciężar własnego wieku, stawiał się przez to niedość czynnym, a niekiedy i odrętwiałym. Z tych powodów, przy różnych zasługach poświęcenia się i zaletach charakteru, władza najśluszej przypadała Radziszewskiemu; lecz wielu obywateli dziśnieńskich i zawilejskich nie chciało przejść pod wyłączne jego rozkazy i opierając się na wdzięczności za szczęśliwe przewodnictwo w pochodzie, żądało mieć wodzem wspólnym Bortkiewicza. Gdy znowu wilejczanie na to się nie zgadzali, przyszło do rozdziału. Radziszewski pozostał przy siłach swego powiatu; Bortkiewicz i Brochocki zamierzili sobie trzymać się razem, i pierwszy objął jazdę, a drugi piechotę zawilejską i dziśnieńską.

Właśnie w tym czasie ułożono się z wiłkomierzanami, że powstańcy przybyli z nad Dźwiny mieli utrzymywać linię obronną od północnych granic powiatu kowieńskiego aż do Rakiszek, stawiać oddziały po kilkaset ludzi wynoszące w takiej jedne od drugich odległości, aby i same skutecznie działać i w razie potrzeby łatwo łączyć się mogły. Po trzech dniach tedy wypoczynku, to jest 27 maja, wyszliśmy z Wiżun. Odtąd Radziszewski obracał się osobno, my zaś z Brochockim i Bortkiewiczem przybyliśmy na noc do Świadościa, nazajutrz nocowaliśmy w Szymańcach, a 29 stanęliśmy w Kupiszkach, gdzie była komisja wiłkomierska trudniąca się zbieraniem kantonistów i koni, pod przewodnictwem porucznika Morycza, jednego z inżynierów polskich, którzy przed powstaniem wytykali szosę z Kowna do Dyneburga. Wysłany z Kupiszek do Poniedela po furaz i żywność z niewielkim oddziałem naszym Terlecki, wpadł niespodzianie na Moskali i rozbity ledwo w kilka koni ująć zdołał. Następnego dnia wymaszerowaliśmy do Subocza, a 31 maja zajęliśmy przeznaczone nam stanowisko w Traszkunach.

Znaczne siły powstańców w tych stronach, miejsce z położenia swego obronne, a nadewszystko coraz większej pewności nabierające pogłoski o zbliżaniu się wojsk z Królestwa, obudzały w nas ufność i niejaką spokojność, która tem bardziej dozwalała kosztować rozkoszy wypoczynku po tylu znojach i troskach. Staliśmy w Traskunach cały tydzień. Ćwiczenia wojskowe odbywały się za miasteczkiem, kwatery po większej części były w miasteczku, a sztab główny, czyli raczej centralny punkt naszego obozu był w klasztorze ks. bernardynów. Tu wszystkie obywatelstwo zbrojne schodziło się na obiady i wieczery. Był to znowu malowniczy widok, konfederację barską albo i dawniejsze jeszcze wieki przypominający. Poważni ojcowie z dziarską swoją młodzieżą, wszyscy przy karabelach staroświeckich, prostych rapirach, krzywych tureckich szablach, z pistoletami za pasem, w różnych dziwnych ubiorach, z brzękiem i szczękiem obsiadali długie stoły w refektarzu. Na przeciwnej drzwiom ścianie, rżnięty z drzewa wisiał ukrzyżowany Chrystus. Wokoło poglądały świątobliwe figury z okopconych obrazów. Okna wychodziły na ciche mury kościoła i cienisty ogród czyli sad wiejski. A tu gwarliwa rzesza rycerska biesiadowała ochoczo. Szare było nakrycie, cynowe naczynia, ale gęsto stały kufle z piwem, obficie wkręcano przez koło z kuchni półmiski mięsiwa, i uprzejmy gwardjan, lubo ociążały od zbytniej otyłości, skrzętnie nadskakiwał swym gościom. Jak te sceny wtrącone, któż wie skąd w pasmo zwykłych naszych obyczajów, unosiły nieraz moją imaginację w czasy dawno upłynione! Gdyby jeszcze tylko jaka Alcyna, sądziłbym się być całkiem w zaczarowanej krainie Ariosta. Nie byliśmy wprawdzie klauzurą od półci pięknej przedzieleni. Zjeżdżały się z okolic kobiety dla powitania powstańców z odległych stron. Mieliśmy rozrywki, śpiewy, muzykę, tańce. Lecz nasze pocziwe patriotki nie przypadały na miejsce romantycznych ideałów. Same gotując i nosząc potrawy dla zatrudnionych służbą lub strażą, opowiadając nam z czystą serdecznością, jak mężów i braci wyprawiały z domów, jak kawalerom nieskorym siadać na koń rozsyłały kądziołki w skórę zajęczą oszyte, zdawa-

ły się mieć w sercu jedno tylko uczucie miłości ojczyzny. Przy nich człowiek wychodził z ognistych marzeń poetów włoskich i wpadał w rzeczywistość wspaniałe płonącej wojny narodowej na własnej ziemi.

Sprawdziły się na koniec tylekroć próżne wieści o przybyciu wojsk regularnych z Królestwa do Litwy. Przyjechał do nas 6 czerwca stary Niepokojczycki z radosną nowiną, że syn jego i Konstanty Zaleski od generała Chłapowskiego przysłani, są tego niezaprzeczonym dowodem. Wkrótce też Kończą, naczelnik powiatu wiśkomierskiego, i jako taki rozciągając swą władzę do nas znajdujących się w tym powiecie, przysłał rozkaz Bortkiewiczowi, Brochockiemu i Radziszewskiemu, żeby natychmiast ze swemi oddziałami szli na Wieprze pod Wilno, dla połączenia się w drodze z Chłapowskim. Rozkaz ten brzmiał surowo. Zawarta w nim groźba rozstrzelania we 24 godzin nieposłusznym zaleceniu Kończy, oburzyła naszych dowódców. Postanowili przeto udać się wprost do korpusu Giełguda. Ruszyliśmy z Traszkun na Leoniszki, Szyły, Wodałeki ku Kiejdanom. W Pogirach, w powiecie upickim, miejscowy proboszcz w kościelnym ubiorze, z monstrancją w ręku, pod baldachimem i z zapalonymi świecami, wyszedł procesjonalnie na nasze spotkanie. Następnie kiedyśmy się do Szat zbliżali, zasłży nam drogę damy, jak na największą uroczystość wystrojone i sypały nam kwiaty i wieńce pod nogi. W Szatach przyjęto nas również z oznakami czci i radości. Żydzi nawet, witając naszych wódców z chlebem i solą, na całe gardło wykrzykiwali vivat! Izraelską uprzejmość możnaby mieć w podejrzeniu, że była skutkiem dostrzeżonej natenczas przewagi na naszej stronie. Po południu wychodziliśmy już dalej, kiedy Chłapowski przysłał zawiadomienie, żebyśmy już nie do Kiejdan, ale do Żejm do Giełguda dążyli. Wróciliśmy więc i zanocowaliśmy w Szatach. Posłańcem od Chłapowskiego był podoficer 4-go pułku strzelców konnych, Łana. Co też to za radość powstała na widok polskiego żołnierza! Wszyscy cisnęli się, żeby go widzieć zbliżka, wszyscy zadawali tysiące pytań, wszyscy śpieszyli go częstować czem kto mógł; a kiedy przejeżdżał koło obozu,

chłopstwo samo porwało się do broni i bębnow, żeby oddać cześć wojskową. Ucieszony wiarus, mając w oczach łzy rozrzewnienia, z uśmiechem prostodusznej rubasznosci mówił do nas: „a już to psysięgam Bogu, dzisiaj jeżdżem więcej niż jednorazem!“ Cały wieczór zszedł najweselsiej w towarzystwie kobiet, które ciągle jechały za nami, żeby także oglądać wojsko regularne. Przy porządnej muzyce powstania dziśniejskiego, młodzież śpiewała wszystkie piosnki patriotyczne, jakie przechowywały się w pamięci z dawnych czasów, albo świeżo przekradły się z Warszawy.

Naczelnicy nasi wyprawili przodem w delegacji od powiatu dziśniejskiego Michała Kłota, a od powiatu zawilejskiego Adolfa Kublickiego, dla zdania raportów Giełgudowi. Rano 10 czerwca wyszedłszy z Szat, zatrzymaliśmy się o parę wiorst przed Żejmami, żeby się oczyścić i porządnie zaprezentować generałowi. W godzinę później dano rozkaz podstąpić pod miasteczko. Giełgud otoczony liczną świtą wyjechał nas oglądać i ze zwykłą sobie nadętością przesunął się poza naszym frontem. Najprzód zainteresowali go fantastyczni Desperaci oszmiańscy. Przemówił do nich łaskawie żartobliwym tonem, że już nie mają czego desperować i obrócić się do piechoty. Jadąc z wolna mimo szeregu, pytał Rohlanda i pułkownika Oborskiego, co to za jeden ten pan Brochocki, co tymi ludźmi dowodzi? Ci, znając Brochockiego jeszcze w wojsku, dali zaraz o nim najlepsze świadectwo. Kazał potem komenderujących kompanjami podchorążych dyneburskich przed front wywołać i w kilku słowach oddawszy im pochwałę za piękne poświęcenie się, obiecał nie zapomnieć o przyzwoitej nagrodzie. Na tem skończył się powstański zawód oddziałów dziśniejskiego i zawilejskiego powiatu. Z piechoty uformowano bataljon Zawilejsko-Dźwińskim nazwany. Jazdę rozdzielono do nowych pułków 10-go i 11-go ułanów, zostawując wszakże wolność młodzieży obywateli zaciągania się, gdzie sobie kto życzył.

Zapisałem się do jazdy poznańskiej, która miała przyjąć nazwisko pułku Litewsko-Poznańskiego. Samo to połączenie w jednym hufcu zbrojnym dwóch prawie skraj-

nych prowincyj polskich, przez tyle lat dwoma jarzmami rozdzielonych, było już pełne uroku i nadziei godłem. Wyznać przy tem muszę, że wśród tylu wielkich, czarujących wrażeń, jakich każdy z nas na widok narodowych wojsk regularnych doznawał, szczególny entuzjazm we mnie wzbudzało poświęcenie się młodzieży poznańskiej. Synowie znakomitych i dostatnich rodzin, rzuciwszy na pierwszy głos powstającej ojczyzny wszystko do czego uczucie i nałóg w domu przywiązywać może, z objęć rodziców, żon i dzieci, z wygod spokojnego życia, wydarli się za strzeżone granice, przynieśli w ofierze dla narodowej sprawy zupełne zapomnienie samych siebie, z najczystszym usunięciem miłości własnej oddali wyższe stopnie doświadczeńszym i z całym rygorem pełnili obowiązki prostego żołnierza. Widząc tę młodzież, w której rozmowach i każdym obejściu się przebijało się wyższe ukształcenie, gotującą sobie strawę w kociołkach na obozowisku, karmiącą i pojącą konie; widząc te delikatne twarze zmiedniałe od skwaru słońca, te wytworne z cienkiego sukna mundury zszarzałe w kurzu i rosie, niepodobna było nie pomyśleć sobie ze łzami rozrzewnienia i zapału: cześć tobie, cześć Polska ziemio, co rodzisz takich synów!

Zawróciło mi się w głowie od zbytku szczęścia w owym dniu rajskiego zachwycenia. Upojony rozkoszą biegalem z miejsca na miejsce i wszędzie spotykałem nowe urocze widowisko. Na rozległej, ginącej w lekkim sinawem oddaleniu płaszczyźnie, obozowało porządnie z osiem tysięcy piechoty! Wprawna ręką budowane baraki, długie szeregi broni bagnetowej ustawionej w kozły; czerwono przy blasku słońca żarzące się ogniska, jakież to obraz dla malarza, jaki widok dla powstańca, a nade wszystko jaki przedmiot radości dla polskiego serca! Anioł zwycięstwa unosił się nad tym spoczywającym zastępem, widziałem jasność jego czoła odbitą w każdym oku doświadczonego już wojska. W innej stronie migwały kolorowe chorągiewki jazdy. Rzeźwo uwijał się tłum żołnierzy z wiązkami siana albo sakwami obroku na plecach; rżały wesoło nadwiślańskie rumaki, które wkrótce spodziewaliśmy się w Wilji za Wilnem napoić. I któżby

z Litwinów nadziejom swoim kładł wówczas granice, poglądając na wspaniały szereg dział dwudziestu ośmiu, na świetne grupy oficerów obwieszonych znakami dostojności i zasługi? Przechodząc przez miasteczko, słyszę w jednym domu głośne śmiechy i śpiewanie. Wchodzę i spostrzegam kilkunastu akademików wileńskich w obszernej izbie zasłanej słomą. Jedni leżeli, drudzy siedzieli lub stali, a pośród nich z braterską poufnością mieszały się starzy wojskowi. Jakiś wolny strzelec w szarej z zielonemi na piersiach ładunkami czamarcie, w czerwonej na głowie z pawiem piórem krakusce, pokręcając wąsa śpiewał rubasznie: „Kostusiu kochany, z Warszawy wygnany, daj pokój kłopotom“ i t. d. Wszyscy chórem odpowiadali: „ram-tam-ta-to-tom, ram-tam-ta-to-tom“. Brzmi jeszcze mi w uchu ta nuta pierwszy raz słyszana, widzę przed sobą dzielnego strzelca; żadnej opery scena nie została mi tak żywo w pamięci. Wracając do mego stanowiska, pomijałem cmentarz wilejski. Przy rozwalonym omszałym parkanie stało uwiązanych wiele koni rozmaitej szerści, rozmaitego wzrostu i rozmaicie umontowanych. Wypoczywał tu oddział powstańców. Jedno pomiędzy nimi grono ściągnęło szczególniej moją uwagę. U ściany drewnianego kościołka, kilku hoźych z fręzlistemi szlifami oficerów polskich otaczało dwóch młodziutkich wojowników litewskich. Obadwa mieli zgrabnie wpadające w kibić szaraczkowe ubiory, granatowe okrągłe czapki, od niechcenia włożone nabakier, dwukolorowe kokardy u piersi, lekkie szable u boku i za wąskim pasem małe krucice. Strój i uzbrojenie obu zupełnie były podobne, ale jeden miał twarz bladą, pociągłąwą, błękitne oko poglądające z zadumaniem i niekiedy posępny uśmiech na ustach; drugi okrągłej rumianej twarzy, czarnych oczu z pod szerokich brwi patrzących żywo, uśmiechał się ciągle, jak gdyby jego dusza we wszystkim widziała tylko igraszkę wesołą. Wyraz twarzy i układ postawy różnił bardzo tych dwóch interesujących towarzyszy. Pierwszym była Emilja Platerówna, drugim Raszanowiczówna...

O zmroku wróciłem do mojego konia i wśród hucnie krzątających się kolegów, przy obozowem ognisku, zasną-

łem na garstce słomy. Z marzeniami tej nocy połączyły się na zawsze chwile dnia słodko upłynione. Nigdy już na jawie nie doświadczyłem nic równego. Były jeszcze czasem pogodne godziny, ale ich wspomnienie błyszczy tylko nakszałt rzadkich przerw w zachmurzonej odtąd przeszłości...

CHRONOLOGICZNE ZESTAWIENIE WYPADKÓW NA LITWIE W R. 1830—1831.

OPRACOWAŁ STANISŁAW PEREŚWIET-SOŁTAN.

ROK 1830.

17 grudnia — Rewizja nocna u akademików wileńskich, dokonana przez profesorów Uniwersytetu z polecenia Nowosilcowa.

ROK 1831.

- 6 lutego — Zawiązanie związku tajnego w Wilnie — Pol, Staniewicz i in.
Luty — Ruchawka wśród włościan pow. telszewskiego.
17 marca — Zebranie przedpowstaniowe w Cytowianach, pow. rosieński.
u Przeciszewskiego (termin powstania — 26. III).
23 marca — Dybicz odmawia pomocy Chrapowickiemu.
24 „ — Jawtok zajmuje Kielmy, pow. rosieński.
25 „ — Wybuch powstania w pow. szawelskim.
25/26 marca o północy — powstańcy zajmują Rosienie.
27 marca — Wybuch powstania w pow. telszewskim.
„ „ — Wybuch powstania w pow. kowieńskim.
27/28 (28—29) marca w nocy — Powstańcy zajmują Telsze.
27 (28, 29) marca — Powstańcy zajmują Szawle.
28 marca — Wybuch powstania w powiecie upickim.
„ „ — E. Staniewicz przybywa do Rosieñ.
„ „ — Urbanowicz zajmuje Taurogi, pow. rosieński.
„ „ — Płk. Bartholomei wyrusza z Kowna.
29 „ — Wybuch powstania w Poniewieżu.
„ „ — Wybuch powstania w Dusiatkach, pow. wiłkomierski, E. Platerówna.
„ „ — Akt konfederacji i ustanowienie rządu w Telszach.
„ „ — Personel komory celnej z Jurborga, (pow. rosieński), ucieka do Prus.
„ „ — Wollmer zajmuje Gorzdy, pow. telszewski.
30 „ — Akt konfederacji i ustanowienie rządu w Poniewieżu.
„ „ — Potyczka E. Staniewicza z płk. Bartholomei pod Eyragołą, pow. rosieński, (pod Plemborgiem?).
„ „ — Szemioth i Herubowicz wyruszają do Rosieñ.
„ „ — E. Platerówna zajmuje st. Daugiele, pow. wiłkomierski.
30 (31) marca — Pierwszy atak na Połagę, pow. telszewski (nieudany).
31 marca — Powstańcy opuszczają Rosienie.

- 2 kwietnia — Drugi atak na Połagę (nieudany).
- „ „ — E. Platerówna pod Ucianami, pow. wiłkom., zmusza Rosjan do ucieczki.
- 3 „ — W. Matusiewicz zajmuje Troki.
- „ „ — Data raportu Gadona, wysłanego do Warszawy.
- 4 „ — Wybuch powstania w Oszmianie.
- „(8) „ — E. Platerówna zwycięża pod wsią Jeziorosy, pow. wiłkomierski.
- 5(6) „ — Trzeci atak na Połagę (zwycięski).
- 6 „ — Gen. Biezobrazow opuszcza Wiłkomierz.
- „(8) „ — Napad na gen. Biezobrazowa.
- 7 „ — Gen. Biezobrazow przybywa do Wilna.
- „ „ — Dybicz wysyła wojska na stłumienie powstania litewsk.
- „ „ — Wybór K. Załuskiego na dowódcę sił zbrojnych powiatu upickiego.
- „ „ — Wybuch powstania w Niemenczynie, pow. wileński, — K. Parczewski.
- 8 „ — Wzięcie Połagi przez Rosjan.
- „ „ — Z Poniewieża wyrusza pomoc zbrojna do Wiłkomierza.
- „ „ — Atak powstańców na Kowno (nieudany).
- „ „ — Rozstrzelanie H. Łobanowskiego w Wilnie.
- 10(9) „ — Wyśłanie podchorążych z Dyneburga.
- „ „ — Powstańcy powtórnie zajmują Rosienie, wypierając pfk. Bartholomei'ego.
- „ „ — Wybuch powstania w pow. zawilejskim.
- 11(12) „ — Wybuch powstania w Święcianach.
- 12 „ — Powstańcy wypierają pfk. Bartholomei'ego z Parzawant do Prus. Potyczka pod Paszwanteniem.
- „ „ — Termin powstania, wyznaczony przez Komitet Wileński.
- 13 „ — Chrapowicki wysyła pfk. Wiersilina do Oszmiany.
- „ „ — Władze rosyjskie opuszczają Wilejkę.
- „ „ — Wybór E. Staniewicza na naczelnika powiatu rosieńskiego.
- 14 „ — K. Niemcewicz wysyła Kraskowskiego do puszczy Białowieskiej.
- „ „ — Powstańcy zajmują Wilejkę.
- 15 „ — K. Załuski wyjeżdża do Wiłkomierza na spotkanie z A. Goreckim w sprawie wyprawy na Wilno.
- „ „ — Potyczka Lisieckiego i Grotkowskiego z Schirmanem pod wsią Kaleki.
- 16 „ — Przygotowania do wyprawy na Wilno.
- „ „ — Rzeź Wiersilina w Oszmianie.
- „ „ — Powstańcy zajmują Mołodeczno, pow. wilej.
- 16 i 17 „ — Ustanowienie władz powstańczych w Wilejce.
- 17 „ — Załuski przeprowadza się przez Wilję koło Czabiszek.
- „ „ — Załuski pod Kowganami, koło Wilna.
- 18 „ — Potyczka M. Prozora z garnizonem kowieńskim pod Kormiałowem (Kumiałowem?).

- 18 kwietnia — Akt konfederacji w Wilejce.
„ „ — Wybuch powstania w Radoszkowiczach, pow. wilej.
„ „ — K. Niemcewicz z dr. Szczepińskim wyjeżdżają z Grodna do puszczy Białowieskiej.
19 „ — Powstańcy zajmują m. Uciany, pow. wiłkom.
20 „ — Bitwa zjednoczonych powstańców z pfk. Litwinowem pod Owsianiszkami (koło Wilna).
„ „ — Napad gen. Rennenkampfa na m. Dorbiany, pow. telszew.
„ „ — Powstańcy oszmiańscy w Wiszniewie, pow. oszmiań.
„ „ — K. Niemcewicz u Szpinka w puszczy Białowieskiej.
21 „ — Spotkanie K. Niemcewicza ze Szretterem.
22 „ — Ucieczka rządu powstańczego cywilnego z Wilejki.
ok. 22 „ — Powstańcy dziśniejscy zbierają się w Łużkach, pow. dziśnieński.
23 „ — Wyjście pierwszej partii młodzieży z Wilna.
„ „ — Wzięcie Kretynki, pow. telszew., przez gen. Rennenkampfa.
„ „ — Potyczka powstańców oszmiańskich z awangardą gen. Otroszczenki pod Wiszniewem.
„ „ — Ucieczka 18 podchorążych z Dżisny do powstania.
„ „ — Narada K. Niemcewicza z obywatelami brzeskimi u podkomorzego Aleksandra Buchowieckiego w Hryszczycach.
24 „ — Zjednocz. powstańcy opuszczają obóz pod Kowganami.
„ „ — Wybuch powstania pow. dziśńskiego w Łużkach.
„ „ — Radziszewski opuszcza Wilejkę.
25(27) „ — Załuski w Szatach, pow. wiłkom.
ok. 25 „ — Powstańcy zajmują Głębokie, pow. dziśnień.
25 „ — Potyczka pod Onikszami, pow. wiłkom.
25/26 w nocy — Wyjście drugiej partii młodzieży z Wilna.
26 kwietnia — Radziszewski przybywa do Miadzioła, pow. wilej.
27 „ — Wybór Brochockiego na dowódcę sił zbr. pow. dziśń.
„ „ (?) — Gen. Pahlen rozbija powstańców szawelskich pod Janiszkami, pow. szawelski.
28 „ — Gen. Offenberg, Malinowski i Sulima wychodzą z Kowna.
29(1.V), „ — Bitwa M. Prozora z gen. Offenbergiem nad Niewiażą pod Kiejdanami.
„ „ — Gen. Chłikow rozbija powstańców wileńskich pod Mejszagołą.
„ „ — Załuski w Szadowie, pow. upicki.
„ „ — Potyczka powstańców z pfk. Siewastjanowem pod Rumem, pow. oszmiański.
„ „ — Wyjście najliczniejszej partii młodzieży z Wilna.
30 „ — Próba rozbicia Schirmana pod Szawlami.
„ „ — Zajęcie Giedroyć, pow. wileń., przez gen. Chłikowa.
„ „ — Załuski w Poniewieżu.
„ „ — Powstańcy oszmiańscy w Cielatkach dzielą się na drobne hufce.
2 maja — Radziszewski w Lubaniu, pow. wilejski.

- 2 maja — Zafuski wyjeżdża z Poniewieża do Smitg, pow. upicki.
3 „ — Wrotnowski przybywa do Warszawy.
4 „ — Bitwa zjedn. powstańców z Sulimą pod Prystawianami (koło Szadowa).
„ „ — Atak Radziszewskiego na Wilejkę (nieudany).
„ „ — Resztki powstańców oszmiańskich przychodzą do Święcian.
5 „ — Zjednocz. powstańcy w Dowgodach i przechodzą Dubisę. Prozor ochrania odwrót pod Bejsagotą, pow. szawelski
„ „ — Powstańcy opuszczają Święciany.
6 „ — Gen. Chłapowicz zajmuje Święciany.
„ „ — Wrotnowski u Skrzyneckiego w Jędrzejowie.
7 „ — Pahlen z Schirmanem łączą się w Szawlach.
„(5) „ — Jacewicz jednoczy swe siły celem atakowania Połagi.
8 „ — Sulima przybywa do Szawel.
„ „ — Rząd telszewski ustępuje z Telsz do Pflugian.
„ „ — Zdobyte Dżisny przez powstańców.
9 „ — Borkiewicz z powstańcami święciańskimi przybywa do Łużek.
10 „ — Potyczki Jacewicza z płk. Kurolesowem pod Dorbianami oraz z gen. Rennenkampffem pod Kretynką (pow. telszewski).
„ „ — Radziszewski cofa się z Wołkofaty, pow. wilej., do Głębokiego (pow. dziśnieński).
12 „ — Gen. Pahlen zajmuje Telsze.
„ „ — Powstańcy opuszczają Dżisnę.
13 „ — Atak Jacewicza na Połagę.
„ „ — Radziszewski w Głębokiem.
14 „ — Jacewicz w Szweksznjach, pow. rosieński.
„ „ — Ogłoszenie powstania w puszczy Białowieskiej (ostęp Podcerkiewne).
15 „ — Gen. Pahlen w Kretyndze.
„ „ — Bitwa Radziszewskiego z Sałjanowem pod Głębokiem.
16(18) — Powstańcy opuszczają Łużki.
„(17) — Atak ppłk. Sarabii na obóz powstańców w puszczy Białow., ostęp Podcerkiewne.
„(17) — Powstańcy rozbijają transport ros. w puszczy Białow. koło Hwożnej.
18 „ — Potyczka Jacewicza nad rzeką Szuniją pod Taurogami, pow. rosieński.
„ „ — Chłapowski wyrusza z Księżopola na Litwę.
19 „ — Ppłk. Krahelski atakuje akademików wil. w lesie Rudnickim pod Długowisną, pow. trocki.
20 „ — Malinowski rozprasza oddział Staniewicza pod Erżwiłkami, pow. rosieński.
21 „ — Chłapowski przechodzi granicę Król. Pol. pod Mieniem.
„ „ — Potyczka pod Koczergiszkami koło Widad, pow. brasławski.
22 „ — Chłapowski w Bielsku.
„ „ — Zjednocz. powstańcy dziśnieńscy, wilejscy i święciańscy przychodzą do Rymszan, pow. brasławski.

- 22 maja — M. Prozor przechodzi Niemen pod Wieloną, pow. kowieński
23 „ — Chłapowski rozbija gen. Lindena pod Hajnowszczyzną, puszcza Białów.
„ „ — Akademicy rozbijają kap. Widińskiego pod Ozieranie.
„(24) — Zjedn. powstańcy dziśn., wilejscy i święc. przychodzą do Wiżun, pow. wifkom.
24 „ — Chłapowski w Masiewie, gdzie spotyka po raz pierwszy oddział powstańców z 60 ludzi.
„ „ — Matusiewicz łączy się z akademikami wil. w Barbaryszkach.
„ „ — K. Przedziecki z tow. przybywa do Truskowa, pow. upicki.
25 „ — Chłapowski w Rudni, puszcza Białowieska.
26 „ — Chłapowski w Hrynkach.
27 „ — Chłapowski w Mścibowie (koło Wołkowyska).
„ „ — Giełgud otrzymuje rozkaz i wyrusza z Łomży na Litwę.
28 „ — Giełgud w Grajewie.
„ „ — Chłapowski przechodzi Niemen pod Zelwianami (pod Mostami?)
28/29 maja w nocy — Rozbicie oddziałów Puszcza i Prozora nad rzeką Hańczą pod Lejpunami.
29 maja — Bitwa Giełguda z Sackem pod Rajgrodem.
30 „ — Giełgud w Augustowie.
„ „ — Chłapowski pod Orlanką i na noc w Lidzie.
„ „ — Rozproszenie oddziału akademików wil. przez Sewastjanowa i in. w lasach Wosztartańskich (Worszteńskich?).
31 „ — Giełgud w Suwałkach.
„ „ — Potyczka Chłapowskiego pod Lidą.
„ „ — Chłapowski atakuje Żyrminy (koło Łidy).
„ „(?) — Bortkiewicz z Brochockim wyruszają do Traszkun, powiat wifkom.
1 czerwca — Giełgud w Kałwarji.
2 „ — Giełgud w Marjampolu i Dzieciołównce.
„ „ — Chłapowski przechodzi Mereczankę pod Oranami.
3 „ — Dembiński przychodzi do Aleksoty naprzeciwko Kowna.
„ „ — Chłapowski pod Stokliszkami, pow. trocki.
4 „ — Chłapowski w Kietowiskach, pow. trocki (Ogiński i Matusiewicz).
„ „ (5.VI?) — Potyczka Chłapowskiego w Użugociu, pow. trocki.
„ „ — Gen. Sulima nadchodzi do Wilna.
5 (?) „ — Giełgud w Giełgudyszkach (nad Niemnem).
„ „ — Chłapowski w Gabrjelowie i w Zofach.
6(7) „ — Giełgud przechodzi Niemen pod wsią Łączką koło Jurborga i na noc we wsi Raudany.
„ „ — Chłapowski przechodzi Wilję pod Janowem.
„ „ — Gen. Kuruta z gwardją nadchodzi do Grodna.
7 „ — Giełgud w Czekiszkach.
„ „ — Chłapowski w Żejmach, pow. kowień. Połączenie obu korpusów polsk. i powstańców lit.

- 8 czerwca — Giełgud i Chłapowski naradzają się w Kiejdanach.
 „ „ — Sacken opuszcza Kowno.
 8/9 w nocy — Szymanowski otrzymuje rozkaz wymarszu na Żmudź.
 9 czerwca — Giełgud wyrusza z Kiejdan.
 „ „ — Chłapowski przechodzi rzekę Świętą w Wieprzach, pow. wiłkomierski.
 „ „ — Chłkow przybywa do Wilna.
 10 „ — Kuruta z gwardją wyrusza z Grodna.
 „ „ — Chłapowski przechodzi Wilję pod Czabiszkami.
 „ „ — Ustanowienie Rządu Centralnego Litewskiego.
 „ „ — Brochocki i Bortkiewicz łączą się z Giełgudem w Żejmach.
 „ „ — Śmierć Dybicza.
 „ „ — Prozor zajmuje Kowno.
 11 „ — Chłapowski przechodzi Wilję koło Jewja, pow. trocki.
 „ „ — Radziszewski łączy się z Chłapowskim w Czabiszkach.
 „ „ — Szymanowski nadchodzi do Rosień.
 12 „ — Giełgud organizuje Rząd Centr. Lit. w Żejmach.
 „ „ — Chłapowski organizuje 26 pułk piechoty.
 „ „ (11.VI?) — Sacken przychodzi do Wilna.
 „ „ (13.VI?) — Szymanowski wyrusza z Rosień do Cytowian.
 13(14) „ — Chłapowski w Rykontach nad Waką, pod Wilnem.
 14 „ — Atak Rosjan na straż pod Waką, koło Wilna.
 „ „ — Otroszczenko nadchodzi do Wilna.
 „ „ — Kuruta z gwardją przeprawia się przez Mereczankę.
 15 „ — Dembiński przez Szyrwinty idzie do Wilna.
 „ „ — Chłapowski wysyła rekonesans na Ponary i przynagla Giełguda.
 16 „ — Rosjanie atakują Wakę.
 „ „ — Kuruta z gwardją przybywa do Wilna.
 „ „ — Atak Szymanowskiego na Szawle (nieudany).
 17 „ — Dembiński, atakowany przez Rosjan, cofa się do Powi-
 daków.
 „ „ — Matuszewicz i Zaliwski w Trokach.
 18 „ — Giełgud łączy się z Chłapowskim w Rykontach. Bunt 300
 oficerów.
 „ „ — Ustanowienie Rządu Centralnego Żmudzkiego.
 19 „ — Bitwa na górach Ponarskich pod Wilnem.
 „ „ — Dembiński w Kałwarji pod Wilnem i w Podbrzeziu, pow.
 wileński.
 20 „ — Chłapowski w Żyżmorach, pow. trocki.
 „ „ i nast. — Armja rezerwowa Tołstoja nadchodzi do Wilna.
 21 i 22 czerwca — Chłapowski w Kownie.
 22. VI — 1. VII — Dembiński w Wiłkomierzu.
 22 czerwca — Bitwa pod Szawłami.
 23 „ — Chłapowski w Łabanowie.
 „(26) „ — Szymanowski zajmuje Szawle.
 24 „ — Chłapowski w Kiejdanach.

- 24(25) czerwca — Rosjanie rozpoczynają pościg za Giełgudem.
25 czerwca — Chłapowski mianowany szefem sztabu.
26 „ — Chłapowski w Iszwunach.
„ „ — Szymanowski zajmuje Szawle.
27 „ — Chłapowski w Rosieniach.
„ „ — Śmierć w. ks. Konstantego.
28 „ — Giełgud wjeżdża triumfalnie do Rosień.
„ „ — Chłapowski organizuje w Rosieniach oddział na Połagę.
„(29) „ — Kłeska Kiekiernickiego pod Kownem. Gen. Malinowski
zajmuje Kowno.
„ „ — Kuruta zajmuje Janów.
29 „ — Dembiński atakowany przez Rosjan w Wiłkomierzu.
„ „ — Skrzynecki mianuje Chłapowskiego wodzem naczelnym
na Litwie (otrzymano przez Chłapowskiego w Prusach).
30 „ — Giełgud wraca do Kiejdan.
„ „ — Chłapowski w Eyragołę.
1 lipca — Chłapowski w Kiejdanach.
„ „ — Dembińskiego w Wiłkomierzu atakuje Dellingshausen.
1/2 lipca w nocy — Dembiński opuszcza Wiłkomierz.
1/4 lipca — Dembiński w Leoniszkach.
2/3 lipca — Narada nocna w Szawlach co do dalszej obrony miasta.
3 lipca — Szymanowski pod naciskiem płk. Kriukowa cofa się z Szawel do Podubisia.
„ „ — Giełgud cofa się z Kiejdan na Eyragołę.
„ „ — Chłapowski cofa się z Kiejdan na Iszwuny.
4 „ — Chłapowski w Gajtowie.
„ „ — Dembiński w Poniewieżu.
„ „ — Płk. Kos wyrusza z Czekiszek nad Niemen.
5 „ — Bitwa pod Plemborgiem — Dellingshausen atakuje Giełguda.
„ „ — Dembińskiego w Poniewieżu atakuje Kabłukow.
„ „ — Płk. Kos nad Niemnem.
„ „ — Tołstoj w Kiejdanach.
6 „ — Giełgud łączy się z Rohlandem i Szymanowskim w Cytowianach.
6 „ — Dembiński opuszcza Poniewież.
7 „ — Giełgud dochodzi do Dubia pod Szawłami.
„ „ — Dembiński zbliża się do Szawel.
8 „ — Atak wspólny wojsk pol. na Szawle. Noc w Kurszanach.
9 „ — Narada w Kurszanach i wymarsz.
„ „ wiecz. — Giełgud za Worniami przyłącza się do Chłapowskiego.
10 „ — Chłapowski między Worniami a Krozami.
11 „ — Chłapowski w Żoranach, pow. telszewski.
„ „ w nocy — Rohlanda pod Powendeniem (pow. telszew.) atakuje
Dellingshausen.
„ „ — Rohland w Worniach, pow. telszewski.
„ „ — Dembiński w Johaniszkielach, pow. upicki.
12 „ — Chłapowski pod Gudawą (Wywierzanami) i wieczorem nad
granicą (pow. rosieński).

- 12/13 lipca — Rohland w Gorzdech, pow. telszewski.
13 lipca — Śmierć Giełguda. Chłapowski przechodzi do Prus pod Gudawą (Schlaugsten).
„ „ — Dembiński w Poniewieżu zwołuje radę wojenną.
14 „ — Rohland w Deguciach, pow. rosieński.
15 „ — Rohland przechodzi do Prus pod Deguciami (Pakemomen).
15(16) lipca — Dembiński pod Owantą, pow. wiłkomierski.
19 lipca — Dembiński w Żodziszkach, pow. zawilejski, przechodzi Wilję.
20 „ — Dembiński w Smorgoniach.
22 „ — Dembiński przechodzi Niemen.
24 „ — Podjazd Dembińskiego w Nowogródku.
25 „ — Dembiński wyrusza ze Zdzięcioła, pow. słonimski.
26 „ — Dembiński w Zelwie.
27 „ — Dembiński mija Porozów.
„ „ — Bortkiewicz przybywa do Warszawy.
3 sierpnia — Dembiński przybywa do Warszawy.
-

UTWORY POETYCKIE NA TLE POWSTANIA LITEWSKIEGO.

PIEŚŃ LEGJONU LITEWSKIEGO.

Litwa żyje! Litwa żyje!
Słońce dla niej błyszczy chwałą,
Tyle serc dla Litwy bije,
Tyle serc już bić przestało.

Trzeba być głazem! trzeba być głazem,
Cierpieć te więzy rdzawione pleśnią,
Myśmy się za nie mścili żelazem
I wolną myślą, i wolną pieśnią.

Zadrzały wrogi,
Pieśń to ponura
Te żmudzkie rogi.

Jezus Marya! naprzód hop, hop, urra!

Nauczyli nas Teutony
Śpiewać, jako nam śpiewali.
Legjony! Legjony!
Na Ruś! na Ruś! dalej! dalej!

Bo gdy nam każą znów iść ku Włochom,
Jakże się rozstać z ojców grobami?
Chyba odwiecznym powiemy prochom:
Powstańcie z grobów! chodźcie za nami!

Zemsta na wrogi, etc.

Gdy car groził Olgierdowi
Odrzekł posłom Olgierd stary:
Nieście pochodnię carowi,
Nim zgaśnie, powitam cary.

I za posłami tej samej nocy
Obozem stanął na Moskwy górach,
Panował miastu jak orzeł w chmurach,
Wszedł z jajkiem kraśnem w dzień Wielkanocy.

Zadrzały wrogi,
Pieśń to ponura,
Te żmudzkie rogi.

Na grom Perkuna! naprzód! hop, hop! urra!

Jagiellońskiej mur stolicy
Nam rozkwitnie kobiercami;
Trud zapłaci wzrok dziewczycy
Pomiészany śmiech ze łzami.

A kędy baszta mchami okryta,
Zbudzony pieśnią kamień z tej wieży
Może się zerwie, do stóp przybieży
I Giedymina wnuków powita.

Dalej na wrogi, etc.

Nikt nas teraz nie obwini,
Nikt na świecie nie zapyta:
Czy jeszcze żyją Litwini?
Oto Pogoń nasza świta!

Lecz nie pytajcie, czemu tak mała
Garstka chorągwią mężnych powiewa?
Więcej nas było — lecz z tego drzewa
Burza niejeden liść oberwała.

Zemsta na wrogi, etc.

Ho? zaszummy proporcami,
Co wolności barwą świecą;
My lecimy, a za nami
Orły! orły! orły lecą.

Na nasze głowy jak szronu kiście
Spadają gromy... legion umiera,
Jak laur zdobiący grób bohatera.
Kto chciwy sławy — rwie lauru liście.

Zemsta na wrogi,
Pieśń to ponura,
Te żmudzkie rogi.

Jezus Marya! naprzód! hop, hop, urra!

Juljusz Słowacki.

ZAJĘCIE ROSIEŃ.

W miasteczku Rosieniach, na rynku wokoło,
Moskiewscy żołnierze hulają wesoło,
A w domach starszyzna, swym dawnym zwyczajem,
Gra w karty, przepija szampanem i czajem; —
I dymiąc wagstafem, rozprawia w zapędzie,
Jak Dybicz Bałkański Warszawę zdobędzie!

Na drodze do Kielmów grzmi tętent po moście,
Zapewne od Rosień zjeżdżają się goście?
O! goście to jadą — lecz nowa drużyna,
Nie będzie grać w karty, pić czaju, ni wina!
Bo dzisiaj z rozpaczą przysięgła w skrytości
Moskiewską krwią wypić za zdrowie wolności!

I coraz to bliżej kurzawa na błoni,
O coraz wyraźniej chrzęst jeźdźców i broni,
I błysły proporce, i nagle zagrzmiały
Myśliwskich janczarek niechybne wystrzały.
I pieśń staropolska, serdeczna, wesoła,
Ozwała się wrogom, jak trąba anioła!

Przerwana hulanka — zostały na stole
Kielichy z szampanem, zagięte parole;
Grzmi hasło na odwrót! Moskale strwożeni
W największym nieładzie pierzchnęli z Rosieni,
Lecz długo ich, długo, ku Wilnu ścigały
Dwubarwne proporce i trafne wystrzały!

A jacyż kuligiem zjechali się goście?
I czyż rumaki tętniły po moście?
I któż budzi wolność? — i ręką to czyja
Chorągiew z Pogonią i Orłem rozwija?
Kto z miasta swych ojców najeźdźców wygania? —
Trzydziestu młodzieńców żmudzkiego powstania!

Konstanty Gaszyński.

RZEŻ OSZMIAŃSKA.

Na oszmiańskim kościele,
W drugą kwietnia niedzielę,
Dzwon zwoływał na ranne modlitwy.
I lud tłumnie zebrany
Błagał Pana nad Pany
O opiekę dla Polski i Litwy.

W Chrystusowej świątnicy
Niemasz stanów różnicy:
Chłop z szlachcicem szedł w jedno podwoje.
Przy nich żony i matki,
Jak aniołki ich działki,
I jak róże dorodne dziewoje!

Kapłan schylon latami
Przed ołtarza stopniami
Kończył święty obrządek Kościoła;
A głos kmiotków i panów,
Przy rozdźwięku organów,
Płynął w niebo na skrzydłach anioła!

Wtem szczęk broni i strzały
Pośród miasta zabrzmiały,
Bruk zatętnił pod koni kopytem.
We drzwiach słysząc już krzyki —
I czerkiesów tłum dziki
Wbiegnął w kościół z kindziałem dobytym.

I oprawcy bez duszy,
Których serca nie wzruszy
Ni płacz dziecka, ni starca włos biały —
Nie spoczęli w swem dziele,
Aże w całym kościele
Trupy tylko w krwi strugach zostały!

Przez niemowląt konanie,
Przebaczbójcom, o Panie,
Świętokradztwo nad Twoją świątynią!
Bo te cara sołdaty,
Tak jak rzymskich wojsk katy,
Nie wiedzieli bezumni co czynią.

Ale w sądu godzinie,
Niechaj gniew Twój nie minie,
Niechaj piorun Twój tego ukarze,
Co wypuścił te hordy,
Co nakazał te mordy,
I niewinną się codzień krwią maże!

A wdów, starców i dzieci
Rój męczeński niech wzleci,
Obok ofiar pierwszego powstania,
Co pod Rusów żelazem,
Za carycy rozkazem,
Legły w Pradze i w gruzach Humania!

By ukoić gniew nieba,
Jeśli lackiej krwi trzeba,
Wszak płynęła i płynie obficie.
By zmyć grzechy wieczyste,
Weź i naszą, o Chryste!
Ale matce Ojczyźnie wróć życie!

Lud nasz wiernie Ci służy,
Sfołguj, nie karz go dłużej,
Racz usłyszeć pokornych wołanie!
Już to przeszło pół wieku
Polska cierpi i czeka
Zmiłowania Twojego, o Panie!

Konstanty Gaszyński.

NOCLEG.

Nasz Naczelnik *) nad Trockiem jeziorem,
Po kowgańskiej potyczce, nocuje.
Strzelcy leżą na kępie taborem:
Jeden rany swe mchem opatruje,

Drugi strzelbę przeczyszczają, nabija,
Kaptur z brzozy na zamek nasuwa,
Ten wpół senny pod głowę płaszcz zwija.
I usnęli. Straż stoi, wódz czuwa.

On pod drzewem coś duma w pomroce;
Drzewo suche — lecz miało owoce;
Najgłodniejszych ten owoc odstrasza:
Wiszą na niem dwie gruszki Judasza.

W górę szpiegi! Cesarskie to sługi:
Jeden Prusak, z nogami długimi
W białych wisi pończochach; a drugi
Żyd, pejsami zamiata po ziemi.

*) Wincenty Matuszewicz podczas powstania na Litwie 1831 roku wstąpił się zajęciem miasta Trok; 21 kwietnia 1831 r. niedaleko Kowgan, o kilka mil od Włna przyszło do krwawej bitwy, w której Matuszewicz zwyciężył.

Nie śpi wódz. Na kolanach broń trzyma,
Wzrokiem szuka pagórka znanego,
Ten za wodą: na wzgórku dom jego.
Dom w ciemności on żegna oczyma.

Wtem błysnęło nad wzgórkciem... Czy piorun?
Piorun u nas nie bije w tę porę:
„O Najświętsza! O Maryo z Borun!
Ratuj ich... ratuj dzieci... dom gore“.

„Gdzie jest patrol? Na konia! Do dworu!..“
Wtem słuchają... Łom trzeszczy, gwar ludzi,
I „kto idzie!“ głos ozwał się w boru.
Patrol wraca, i obóz się budzi.

„Wodzu! wielka dla ciebie żałoba;
Wraca patrol z wieściami Hijoba.
Jeden mówi: zarżnęli twą żonę,
Drugi mówi: twe dzieci spalone.

„Lecz pojмали dowódcę Moskali“.
„Kto on?...“ „Francuz, niestary, przystojny;
I w moskiewskiej on służbie wsie pali,
Za pieniądze lud siecze niezbrojny!...“

Wódz, jak gdyby rażony od gromu,
Na dom patrzył i milczał i słuchał,
Z okien wszystkich żar sypał się z domu,
Z oczu wodza straszniejszy żar buchał.

I w obozie zbudzonym, zdumiałym,
Było głucho milczenie i zgroza.
Milczał wódz, jako broń przed wystrzałem;
Na dom patrzył — i krzyknął: „powroza!...“

Przyskoczyły dwa katy rozkoły*),
Stryczek mieli gotowy ze sznura,
Zakasali rękawy za poły
I oddarli mu kołnierz z mundura.

Wtem ktoś leci... „Kto idzie?“ „Lud z Bogiem!
Nasze hasło: poznajcie wiarusa!“
Zrzuca mundur... Ach, to mundur Krakusa:
Biały surdut z czerwonym wyłogiem!

„Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem Rozena, Gejsmara,
Nabrał jeńców i dział coniemiarą,
Idzie w Litwę... Skrzynecki niech żyje!“

*) Rozkoły — odszczepieńcy.

Krzyczał żołnierz i śmiał się i szlochał...
Ach! kto miłej ojczyzny nie kochał,
Biedny! łzami nie płakał takimi...
A Naczelnik?... on leży na ziemi.

Leżał krzyżem i długo się modlił,
Wstał i rzekł do Francuza: „Idź wolny!
Precz od nóg mych — byś nóg mych nie podlił!
Jam dziś karać nikogo niezdolny...”

Adam Mickiewicz.

29 marca 1832 r.

PO BITWIE POD KOWGANAMI, POD WILNEM

(w kwietniu 1831 r.)

Żegnajcie lasy, przestrzenie,
Gdzie nasi legli rycerze;
Żegnaj Zawiszo, Hoppenie,
Fabrycjuszu i Szlagierze!

Już wasze imię zasłynie,
Wspomni potomek daleki,
My, Bóg wie, w jakiej krainie
Idziemy zawrzeć powieki.

Już grzmią bębny, huczą rogi —
Dalej, zacznijmy śpiewanie;
Niechaj słyszą i drżą wrogi,
Litewskie idzie powstanie.

Nie ufajcie w moc siarczystą,
Hukł dział nas nie zastraszą,
Zdobędziem ziemię ojczystą,
Albo legniem z bracią naszą.

Antoni Gorecki

PRZEJŚCIE NIEMNA.

Witaj kraju za Niemnem, bohaterska Żmudzi,
Coś pierwsza z ziem litewskich wzniosła broń powstania.
Oto uderza wielka chwila zmartwychwstania,
Do nowego cię życia głos wolności budzi.
Do broni! nieodrodne Gedymina dzieci,
W pomoc bratniej Pogoni Biały Orzeł Jeci!

Rozpacz was na nierówny z wrogiem bój wywiodła,
Zaciemniane przemocą, błysło zemsty słońce;
Lemiesz na miecz przekuli wolności obrońce,
I brzeg Niemna obaczył dawnej chwały godła.
Do bronii! nieodrodne Gedymina dzieci,
W pomoc bratniej Pogoni Biały Orzeł leci!

Cześć wam, wieczna cześć, mężni! próżno wyrok cara
Szlachetną winę waszą w pokoleniach ściga;
Na głos ten oświecona Europa się wzdyga,
Męczennicy wolności, chluba wam ta kara.
Do bronii! nieodrodne Gedymina dzieci,
W pomoc bratniej Pogoni Biały Orzeł leci!

Jeden zapął nas łączy, jedne cele wiodą,
Dziedzice wspólnych dziejów, wspólnej matki syny,
Spójmy łańcuch od Wisły, do Dniepru i Dźwiny.
Chwała naszym zaszczytem, a wolność nagrodą.
Do bronii! nieodrodne Gedymina dzieci,
W pomoc bratniej Pogoni Biały Orzeł leci!

Konstanty Gaszyński.

6 czerwca w Wielonie nad brzegiem Niemna.

OBÓZ POD KOWNEM.

O ojczyźnie i o sławie
Nuci młodzię po Warszawie,
A pod Kownem gwar (bis).
W pochód, w pochód, nuż rebiata,
Na podbicie reszty świata
Szle nas Bóg i car (bis).

Jak daleko wzrok zasięże
Błyszczą ognie i oręż
Pośród nocnej mgły.
A w pałatkach światła gorą
I starszyzna nocną porą
Zasiadła do gry.

Szumią, dymią samowary,
Ruble sypią się bez miary,
Żwawo idzie gra.
A przy grze brzmi pieśń ponura!
„Hej rebiata, ura! ura!
Polszcza złota da!”

„Kto w Warszawie był, panowie,
Przyzna, że tam, jako zdrowie
Dziewcząt coniemiar.
Nam to lica krasawicy,
A wam Sybir buntownicy,
Ura! ура! Car!”

„Na Warszawie zrośnie trawa,
Głośno gruchnie carska sława
A nam zejdzie plon.
My miatieże uśmierzymy,
I Poleczki obejmujemy,
Ura! Polszczy zgon!”

„Dosyć tego już, panowie“,
Rotmistrz Doniec w gniewie powie,
„Nie piję za zgon!
Im tak miła Wisły woda
Jak nam Donu! Niech swoboda,
Niechaj żyje Don!”

„Nikt nie powstał? — Co nikt?” wrzasnął
I puhałem o ziem trzasnął,
Na padleców zgon.
„Oj! nie winem dziś, panowie,
Trzeba wypić Donu zdrowie,
I biesiady wron!”

Rzekł — nim od gry jeszcze wstali
Słysząc było dzwonek w dali —
W Sybir poszedł chwyt!
A Kozacy zcicha rzekli:
„Szkoda, w Sybir go powlekli!
Szkoda, to nasz brat!”

Wincenty Pol.

BEZIMIENNY.

Przez Platerów Dusiaty cofa ku Ucianie
Wiłkomierskich ziem powstanie.
Świszczą kule, grzmią działa jak powódź z płomieni,
Wróg ich ściga po przestrzeni.

Lud nieszczęśliwy zbrojny w kosy, piki,
Temi wstrzymuje srogie najeźdźniki;
Niema dział, żeby grom odeprzeć gromy,
I strzelb niewiele — z temi po za domy,
Choć ciągly opór stawia młódzież śmiała,
Zewsząd ją Moskwy wypiera nawała.

Jakiż to, jakiż niedorostek młody
Przybiegł krew oddać za ziomków swobody?
Ze strzelbą w rękę wmieszał się w szyk bratni,
Walczy i zawsze cofa się ostatni.

Już nieraz wszyscy powstańce go miną
I próżno krzyczą: „Chodź z nami, chłopczyno!”
On odpowiada: „Nasza sprawa święta,
Nie my napadli, Polska napadnięta!”

I w nadchodzące tuż nieprzyjacieł
Strzela i trupem dowódcę ich ściele.
I wrogi kul go obsypują gradą,
Ale on w łaskach jest u śmierci bladej.
Nim go zabójczym ciosem ma ugodzić,
Pozwała mu bezkarnie po swem państwie chodzić.

Gdzie most na Świętej rzece, tam sparł się mord krwawy;
Nasi przechodzą, wrogi chcą nie dać przeprawy,
Chcą ich odciąć od mostu, już, już są przy wodzie,
Gdy im Polska dziecina stanie na przeszkodzie.
„Ognia wiara! i naprzód!” na strzelce zawoła,
I grzmiać celne wystrzały, zwraca Moskwa czoła.

Lecz jak zły duch wyparty, nie przestaje swego,
Siedmiu innych prowadzi złośliwszych od niego;
Tak trzykroć odepchnięty, z coraz większą siłą
Wracać wróg, aż się pole od wojsk ich czerniło.
Szedł, jak z piekła miotając ogień kartaczowy,
Wszystko padało, próżno stawiać opór nowy.
Sam strzelając, „strzelajmy!” krzyczał wódz nasz mały,
Już go snem śmierci śpiące strzelce nie słuchały.

On sam jakby się zbudził, patrzy, most zrucony,
Powstańce już za rzeką, wróg tylko z tej strony.
„Nie ujdiesz!” dzicz wołała, „nasz już ty na wieki!”
A on im na odpowiedź w nurty skoczył rzeki.
I nasi z drugiej strony skoczą, by go bronić,
Lecz zewsząd kul plutonem wzięty wrogi gonić.
I widziano jak trysły krwi jego potoki,
A śmierć do ciemnej głębi pociągnęła zwłoki.

O imię jego — ratujcie choć imię!
Niech wieszczce wasi głoszą je w swym rymie.

Niech pieśń ich, lecąc od sioła do sioła,
Pocieszy siostrę lub matkę sędziwą:
„To brat mój!” rzeknie, albo „syn!” zawoła.
A lud odpowie: „Jak jesteś szczęśliwą!”
O! ratujcież to imię! — ma pójść w zapomnienie
Imię tego, co Polsce poświecił swe technienie?!

Próżno wołam, nikt nie wie, męstwo tylko słynie,
Ale wiedzą i imię w Niebieskiej krainie.
O! tam gdzie w chwale ty wiekujesz wiecznej,
Módl się za nami, ziomku nasz waleczny!

Otoczonego anioły,
Widzisz już Boga swojemi oczyma,
Który rzekł: „Umrzeć za swe przyjaciół,
„Już nad tę większej miłości nikt nie ma“.

Antoni Gorecki.

ŚMIERĆ PUŁKOWNIKA.

W głuchej puszczy, przed chatą leśnika,
Rota strzelców stanęła zielona;
A u wrót stoi straż Pułkownika,
Tam w izdebce Pułkownik ich kona.
Z wiosek zbiegły się tłumy wieśniacze:
Wódz to był wielkiej mocy i sławy,
Kiedy po nim lud prosty tak płacze
I o zdrowie tak pyta ciekawy.

Kazał konia Pułkownik kulbaczyć,
Konia w każdej sławnego potrzebie:
Chce go jeszcze przed śmiercią obaczyć,
Kazał przywieść do izby — do siebie.
Kazał przynieść swój mundur strzelecki,
Swoją kordelas i pas i ładunki;
Stary żołnierz, — on chce, jak Czarniecki,
Umierając, swe żegnać rynsztunki.

A gdy konia już z izby wywiedli,
Potem do niej wszedł ksiądz z Panem Bogiem;
I żołnierze od żalu pobledli,
A lud modlił się, klęcząc przed progiem.
Nawet starzy Kościuszki żołnierze,
Tyle krwi swej i cudzej wylali,
Łzy ni jednej, — a teraz płakali,
I mówili z księżami pacierze.

Z rannym świtem dzwoniono w kaplicy;
Już przed chatą nie było żołnierza,
Bo już Moskał był w tej okolicy.

Przyszedł lud widzieć zwłoki rycerza.
Na pastuszym tapczanie on leży —
W ręku krzyż, w głowach siodło i burka,
A u boku kordełas, dwururka.

Lecz ten wódz, choć w żołnierskiej odzieży,
Jakie piękne dziewicze ma lica?
Jaką pierś? — Ach, to była dziewica,
To Litwinka, dziewica - bohater,
Wódz Powstańców — Emilja Plater!

Adam Mickiewicz.

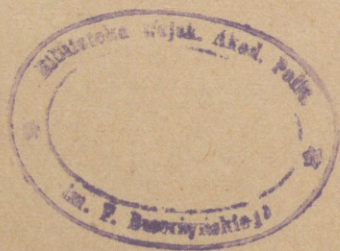
SPIS ILUSTRACYJ.

	Str.
1. Józef Ks. Giedroyć	X
2. Gabrjel Ogiński, członek Rządu Centr. lit.	X
3. Emilja Platerówna	1
4. Marja Raszanowiczówna, towarzysza E. Platerówny	1
5. Konstanty Parczewski, wódz powst. w pow. wileńskim	16
6. Cezary Plater, wódz powstańców żmudzkich	16
7. Konstanty Herubowicz, wódz powst. szawelskich	32
8. Włodzimierz Gadon, wódz powst. telszewskich	32
9. Ezechjel Staniewicz, wódz powst. rościeńskich	80
10. Wincenty Matuszewicz, wódz powst. trockich	80
11. Maurycy Prozor, wódz powst. kowieńskich	96
12. Jerzy Soroka, powstaniec w pow. oszmiańskim	96
13. Rzeź w Oszmianie (według obrazu Wł. Łuski)	104
14. Karol hr. Przezdziecki, wódz powst. w pow. zawilejskim	120
15. Stanisław Radziszewski, wódz powst. wilejskich	120

SPIS RZECZY.

	Str.
Henryk Mościcki: „Powstanie listopadowe na Litwie“	V
Ignacy Domejko: „Powstanie 1830—31 r. na Litwie“	1
Onufry Jucewicz: „W powiecie telszewskim“	29
„W powiecie upickim“	61
Maurycy Prozor: „W powiecie kowieńskim“	85
J. Klukowski: „W powiecie oszmiańskim“	96
„W powiecie zawilejskim“	107
„W powiecie wilejskim“	111
„W powiecie dziśnieńskim“	130
„Pochód powstańców z nad Dźwiny ku Żmudzi, połączenie się ich z oddziałami wiłkomierzan i później z regularnem wojskiem“.	138
Stanisław Pereświat-Sołtan: „Chronologiczne zestawienie wypadków na Litwie w r. 1830—31“	155
Utwory poetyckie na tle powstania litewskiego:	
Juljusz Słowacki: „Pieśń Legjonu litewskiego“	163
Konstanty Gaszyński: „Zajęcie Rosień“	165
„ „ „Rzeź oszmiańska“	166
Adam Mickiewicz: „Nocleg“	167
Antoni Gorecki: „Po bitwie pod Kowganami, pod Wilnem“ .	169
Konstanty Gaszyński: „Przejście Niemna“	169
Wincenty Pol: „Obóz pod Kownem“	170
Antoni Gorecki: „Bezimienny“	171
Adam Mickiewicz: „Śmierć pułkownika“	173
Spis ilustracyj	175

60. -
1534/1914





40329/
12.